

Elisa Albert

Od urodzenia

Przekład
Aleksandra Weksej



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Dla mojego męża

*Odkryłam kolejną dziwną rzecz,
ale tym razem nie powinnam nic mówić!
Nie jest dobrze za bardzo ufać ludziom.*

Charlotte Perkins Gilman, *Żółta tapeta*
(tłum. K. Naszkowska)

*Jak to jest, że kiedy kobieta opowiada straszną historię,
to nikt, nawet jej własna matka, jej nie wierzy?*

Viva

1 Listopad

W tym zaszranym mieście są genialne budynki.

Szeregowce z końca osiemnastego wieku. Kolonialne cudenka z klepiskami w piwnicach. Wiktoriańskie cacka z wysokimi sufitami. Szalunki. Piece na drewno, syfiasta instalacja, wyważone proporcje. Miniona świetność, połowiczny rozkład. Wanny na lwich łapach ze starą mosiężną armaturą zardzewiałą jak cholera. Tu i tam dziwny błysk renowacji. Jakaś nowobogacka kuchnia w marmurach.

Mój ulubieniec to czteropiętrowy ceglak, szeroki na trzy okna, oznaczony jako pomnik Towarzystwa Historycznego. Zbudowany w 1868 roku. Ma kunsztowny gzyms pomalowany na różne odcienie zieleni. Moi znajomi, Crispin i Jerry, remontowali go ponad pięć lat. Teraz pojechali, dranie, na roczny urlop naukowy do Rzymu. Podnajmuje od nich ta genialna poetka, która wykłada gościnnie na uniwersytecie. Mina Morris. Mam na jej punkcie małą obsesję, czyli tak naprawdę wielką, a to chyba właśnie świadczy o obsesji.

Zasłony w salonie są odsłonięte, a światła pogaszone.

Odwiozłam Crispa i Jera na lotnisko, gdzie Crisp wręczył mi wylicytowaną kiedyś papierośnicę z masy perłowej, wyłożoną równiutko dziewięcioma starannie zwiniętymi skrętami.

Miałam łzy w oczach.

– Uzdrowicielu ty mój, nie odchodź, proszę.

– Posłuchaj. – Ujął mnie za podbródek i spojrzał mi w oczy po ojcowsku, jak to on. – Przeszłaś już długą drogę. Dasz sobie radę – powiedział powoli, tak jakbym była bardzo stara, bardzo głupia, albo jedno i drugie.

Zostało mi jeszcze pięć skrętów.

Zbliżają się pierwsze urodziny dziecka. Mimo to zdarzają się gorsze dni. Dzisiaj nie jest tak źle. Dzisiaj zrealizowałam dwa obowiązkowe punkty programu: pierwszy – dziecko śpi; drugi – jesteśmy na spacerze, kilka przecznic od domu.

Wracając do Miny Morris. Crisp dał mi do niej kontakt, bo ja i Paul mamy reprezentować właścicieli i zajmować się wszystkim, co może się zdarzyć z domem pod ich nieobecność.

Mina Morris. O mało co nie zasłynęła jako basistka zespołu The Misogynists, girlsbandu z Oregonu, z końca lat osiemdziesiątych. Kilka bardziej znanych girlsbandów było podobno pod ich wpływem.

Zimno się zrobiło w tym tygodniu i wcześniej zmierzcha. Dopiero późne popołudnie, a już jest ciemno. Czyli zaczyna się: miesiące krótkich i chłodnych dni. Wrócił listopad, kolejny. Poprzedni to zamazany koszmar: noworodek szwy łzy antybiotyki brak snu zaparcia łzy rana łzy brak snu brak snu brak snu kuśtykanie łzy krzyki łzy krzyki gównu siki rzygi łzy. Kolejne tygodnie mojego życia organizowały się wokół okazjonalnych wycieczek do drive-thru z pączkami koło supermarketu, z dzieckiem drzemiącym na tylnym siedzeniu. Samochód wrzucony na luz na starym zasyfionym

cmentarzu żydowskim po drugiej stronie autostrady, włączone ogrzewanie, czytanie nazwisk na powykrzywianych płytach, sączenie wielkiego, przesłodzonego latte, stukanie w rozczarowujące światło ekranu telefonu.

Cichy gwizd. Jedzie pociąg. Pewnie w stronę miasta. Piętnaście po czwartej. Za późno na drzemkę dla dziecka, za blisko wieczornego snu. Ale ja już nawet nie próbuję kontrolować tego gówna. Jeśli masz jakieś plany, jakieś własne potrzeby albo pragnienia (na przykład wziąć prysznic, wysrać się, pójść gdzieś na konkretną godzinę, usiąść i pomyśleć), to masz przerąbane. Dowcip polega na tym, żeby zupełnie się poddać: łapać chwile, kiedy się zdarzają, i nawet nie marzyć o niczym więcej.

Mina Morris: poetka, dawna gwiazda rocka. Tutaj, w domu Crispa i Jerry'ego. Już na samą myśl przechodzi mnie dziwny dreszcz, naprawdę. Chcę się zaprzyjaźnić.

Na trzecim piętrze zapala się światło i jednocześnie dziecko zaczyna pojękiwać. Czas działać. Wózek musi być w ruchu, bez przerwy w ruchu, mam już zwierzęcy odruch kołysania. Byłe przedłużyć chwilę przerwy. Wykręcam i jadę wzdłuż zabudowań w stronę rzeki, skręcam w Chestnut i do domu. Kładę plasterki sera na suchara i nazywam to obiadem.

Kolejny dzień za mną, dobra, już wiem, już rozumiem: skończyłam się. Przestałam istnieć. To stąd to starożytne prawo, że kobiety bezdzietne nie mogą zajmować się mistycyzmem religijnym. Stąd ta cała gadka, że posiadanie dzieci to prosta droga do iluminacji. Można medytować, można się szprycować, ćpać peyotl na pustyni o wschodzie słońca albo składać ofiary z samego siebie, a można zwyczajnie urodzić dziecko i zniknąć.

– Nic mnie nie interesuje.

– Ari. Skarbie.

– Co miałyby sens, gdybym była kompletnie pochłonięta gotowaniem zupek, robótkami ręcznymi, metodami usypiania i markami bujaczków, ale ja naprawdę nie potrafię się emocjonować całym tym gównem. Więc zupełnie nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić, Paul.

– Kochanie. Daj sobie trochę czasu.

– Jasne, super, tylko ile czasu? Paul, on ma rok.

– No właśnie skarbie, on ma rok.

– Powinieneś po prostu gdzieś mnie odesłać. Powinieneś wyprowadzić mnie za dom i zastrzelić.

– Ari.

Utrecht w stanie Nowy Jork: trzymająca się dzielnie, ale obrzydliwa knajpa Bottomless Cup, brudny sklep z antykami otwierany o nieprzewidywalnych godzinach, bar burrito z zaparowanymi oknami. U Ozzy'ego nie ma okien, to najbardziej obskurny bar na świecie, ucieleśnienie speluny, dowcipna

karykatura speluny: mężczyźni o poźółkłej cerze, z rzadkimi włosami, ubrani w wyblakłe dżinsy wiecznie palą papierosy i o jedenastej rano grają w bilard na rozpadającym się stole. Tycia knajpa z przedstawieniami burleski prowadzona przez dzieciaki (śmieszne uczucie, jak człowiek zaczyna ich nazywać dzieciakami), które kilka lat temu skończyły studia i zależy im na ożywieniu miejscowego życia kulturalnego. Palą trawkę, całymi dniami smażą i zachowują się, jakby byli na hajju, kiedy ktoś wchodzi i prosi o kawałek karmelowego toffi i herbatę. Witryna pusta od dawna, witryna pusta od niedawna, witryna pusta od dawna.

Dokładnie trzysta kilometrów od ujścia rzeki, na wschodnim brzegu, czterdzieści pięć minut drogi za uroczymi antykami stoją letnie domy. Coś w rodzaju miasta, które dawno, dawno temu było miastem, kilka kwartałów fantastycznych, tanich, przeważnie podniszczonych domów, domagających się rozpaczliwie remontu od ludzi takich jak my. Jest nam niezmiernie miło wyświadczyć im przysługę (tym domom). Mieszkamy jak królowie. Kiedy Paul dostał tę posiadłość, byłem w szóstym miesiącu ciąży i pomyśleliśmy: dobra, okej, pieprzyć Brooklyn! Wydaliśmy jakieś sto dolarów na neorenesansowe cudo z 1872 roku z czterema sypialniami i zabójczym gankiem i gratulowaliśmy sobie wspaniałej estetyki całości, braku „dobrej” szkoły w promieniu wielu kilometrów, niewielkiego stężenia hiperambitnych, kreatywnych osób oraz cierpliwych parkietów skrzypiących mądrze pod stopami.

Nasz doradca finansowy pracuje w trzeszczącej kamienicy w stolicy stanu, Albany, gdzie Herman Melville spędził część swojego dzieciństwa. Mamy niezłą palarnię kawy, maciupęnką winiarnię, jeszcze mniejszy antykwariat i badziewny sklep całodobowy. A dwie miejscowości dalej – sklep kooperatywy spożywczej, w którym pracuję w piątki, jak przystało na porządną obywatelkę. Czasami chodzę tam nawet z dzieckiem w chuście.

Tutejszy uniwersytet ma swoją specyfikę – bogate dzieciaki, które nie dostały się do (uzupełnij brakującym słowem) – a miasto, czy raczej niby-miasto, od jakiegoś czasu przechodzi kolejne etapy rozkładu. Część wykładowców mieszka w tych kilku fantastycznych, okresowo zaniechanych domach, które stoją na zboczach nad zarośniętym brzegiem rzeki; inni mieszkają na beznadziejnie nieatrakcyjnych przedmieściach, które rozchodzą się promieniście od słońca supermarketu. Jest też kilku upartych, którzy dojeżdżają z miasta, nie chcą się rozstać z tym pieprzonym miastem nawet w zamian za niedrogie drzwi przesuwne, witraże, misterne gzymsy, wiekowe dachówki i niemodne/modne unicestwienie towarzyskie.

Na początku dziewiętnastego wieku Utrecht był ośrodkiem produkcji mankietów. Wielka, tętniąca życiem fabryka stanowiła źródło utrzymania dla całego miasta do czasu, kiedy kolejne patenty na zawsze zmieniły przemysł mankietowy, weszła masowa produkcja, outsourcing i co tam jeszcze, a Utrecht zaczął się sypać. To dziura, bez wątpienia, ale jednak wyjątkowo urocza dziura w Hudson Valley. A uniwersytet został założony w 1845 roku przez jakiegoś ważnego gościa od mankietów, podobno dlatego, że jego syn nie dostał się na Harvard.

Pozostałości z mankietowych czasów jest sporo. Cudownie zachrypnięty, stary girlsband o wdzięcznej nazwie The Cuffs¹. Pusta skorupa fabryki w dole rzeki. Raz na jakiś czas odżywa pomysł, żeby zrobić tam coś w rodzaju przestrzeni artystycznej, taki dom kultury w stylu „zrób to sam”, który nazywałby się „W Dole Rzeki”. Miejscowi urzędnicy za każdym razem blokują jednak tę zasraną odbudowę i burzą nadzieje naszych uroczych, wstawionych artystek burleskowych.

Parę przecznic w którąkolwiek stronę człowiek natyka się na koszarne slumsy, a w niedzielę w promieniu dwóch kilometrów nie da się kupić nawet gazety. Ale mamy malutki, skromny targ, który rozstawia się na skraju miasta, na placu przed opuszczonym minimarketem. Kawał drogi od nas przy głównej ulicy otworzyli właśnie aptekę sieciową i zajęli od dawna pustą witrynę, która przez sto lat służyła jubilerowi. Można jeszcze zobaczyć resztki starych połączonych liter: BARLOW AND SONS, EST. 1893. Apteka sieciowa nie zdobyła się nawet na całociowy remont. Walnęli tylko neonowy szyld nad drzwiami i wyłożyli wewnątrz karton-gipsem.

Pierwsza oficjalna obserwacja Miny Morris. Moje serce wykonało olimpijski skok. Dział produktów na wagę w sklepie kooperatywy. Ma nieumyte włosy spięte w luźny kok i napełnia woreczek miodowymi karmelkami bio. Patrzyłam, jak rozwija jednego z papierka i wrzuca go sobie do ust. Całkowity brak zahamowań. Cudowna istota. No i! Jest w duuużej ciąży. W takiej ciąży, że spróbuj się nie gapić.

Napisałam do niej parę miesięcy temu, że „hej”, „gdybyś czegoś potrzebowała”, „witaj w naszej dziurze”, „nie wahaj się”, bla bla bla i starannie sformułowałam luźną propozycję, żeby wpadła „kiedyś na herbatę czy coś”. Siedziałam nad tym zdaniem z pół godziny, próbując nadać mu swobodny ton, okroić je z nadmiaru myśli kłębiących się w mojej głowie. Żenujące, mam tu dosłownie zero przyjaciół.

Odpowiedziała od razu, cytuję w całości: „spoko, dzięki”.

Tymczasem pochłonełam jej książkę. Dziwaczne, piękne, zakręcone, nieduże poematy prozą głównie na temat lata 1990 roku, czyli zaraz po rozpadzie The Misogynists. Mina włóczy się po Europie, daje sobie w żyłę, regularnie pozwala obleśnemu typowi o imieniu Ivan płacić sobie za posuwanie jej w dupę, usycha z tęsknoty za jakimś bezimiennym draniem z żoną w Paryżu. Potem rodzina sprowadza ją do domu i zamyka w psychiatryku. Elektrowstrząsy. A najlepsze jest to, że książka właściwie urywa się w tym momencie i czytelnik zastanawia się, czy Mina wyjdzie z tego cało. I wygląda na to, że raczej jej się udało, ale Chryste! Przy tym wszystkim moje własne popieprzone życie to domowa sielanka.

Kiedy skończyłam czytać, ścisnęłam mocno książkę, właściwie to przytuliłam ją do siebie. Miałam ochotę wyrwać którąś stronę i połknąć ją z tego samego powodu, dla którego ludzie robią sobie tatuaże: żeby stały się ich częścią i już na zawsze ich określały.

Paul nie ma pojęcia, kim były The Misogynists. Cały Paul. Za to potrafi powiedzieć, po jakich potrawach Whitman miał wzdęcia.

– Nazwa brzmi chyba znajomo – stwierdził na wiosnę, kiedy na wydziale zapowiedzieli przyjazd Miny. To był przyjemny wieczór, niemalże ciepły, najzimniejsze dni były już za nami.

Była u nas koleżanka Paula, Cat. Wyprostowała się gwałtownie i postawiła kieliszek na podłodze.

– No nie, nie mów. Nie znasz The Misogynists? *Wyliż mnie, zanim zdecyduję? Nie przestaję pragnąć? Kim ty, kurwa, jesteś?*

Paul wzruszył ramionami. Cat oburza się za każdym razem, kiedy okazuje się, że ktoś nie reprezentuje dokładnie takiego samego kontekstu kulturowego jak ona. Crispin tak to kiedyś ujął. Jestem prawie pewna, że chciał być złośliwy, ale właściwie jest to jedna z tych cech, które lubię u Cat: chciałyby, żebyśmy wszyscy mówili tym samym językiem, i zachowuje się, jakby była zła albo zdradzona, kiedy wychodzi na to, że jednak nie mówimy.

– Czekaj – powiedziała, stukając w telefon. – Czekaj, czekaj. O, właśnie.

Podłączyliśmy szybko głośniki i uderzyły w nas radosne dźwięki któregoś kawałka The Misogynists. „Na na na hej hej hej wyliż mi cipkę i będzie okej”.

– Subtelne – stwierdził Paul.

– Widziałam je w 1989 w Paradise – powiedziała Cat. – Tuż przed tym, jak się rozpadły, a Kelly zmarła.

Cat zależy na tym, żeby wszyscy wiedzieli, że dużo widziała, ma znajomości, była we właściwym miejscu o właściwym czasie, nawet jeśli chwilowo jest w niewłaściwym miejscu, i to przez cały czas.

Paul poszedł na górę się położyć.

– Bawcie się dobrze, moje panie.

Zwykle, kiedy jesteśmy z Cat wystarczająco pijane albo naćpane, udaje nam się nawet dosyć przyjemnie spędzić czas, mieć z tego przynajmniej odrobinę zabawy, ale czasami próbujemy i próbujemy, a kończy się tylko na tym, że siedzimy obok siebie ponure i pijane/naćpane. Potem nie widzimy się przez jakiś czas i kiedy następnym razem się zobaczymy, jest tak, jakbyśmy się w ogóle nie widywały. I wściekam się na Paula, bo jak mógł mi to zrobić, żeby zamienić mnie w zdesperowaną, samotną kurę domową, która żebrze o sympatię w tej zabitej dechami dziurze?

Pierwsza dziewczyna, którą pokochałam, nazywała się Nora Pulaski. Była to rozkoszna, zwinna ślicznotka o sarnich oczach. Pierwszego dnia w przedszkolu usiadła koło mnie z całą stanowczością sześciolatki, spojrzała na mnie znacząco i oznajmiła, że będziemy najlepszymi przyjaciółkami.

Oszalałam. Wybrała właśnie mnie. Chyba nawet nie zastanawiałam się dlaczego.

Bawiłyśmy się Barbie i robiłyśmy przemeblowania w misternie wykonanym domku dla lalek, który ojciec kupił mi, kiedy matka po raz pierwszy zachorowała. Przeszłyśmy wszystkie poziomy

kociej kołyski, ćwiczyliśmy robienie gwiazdy w nieumeblowanym salonie wynajmowanego mieszkania Nory przy East Fifty-Seventh, stworzyliśmy wspólnie hymn pochwalny na cześć chłopca z trzeciej klasy, szczupłego, piegowatego rudzielca, którego obie kochałyśmy. To był dziwny wybór. Rany, jak my go kochałyśmy! Potrafiłyśmy po setki razy wypisywać ozdobnymi literami jego imię.

Nora była pewna siebie, dobrze się czuła we własnej skórze. Jej mama była spokojna i piekła nam muffinki. Usłyszałam raz, jak Nora powiedziała do niej „Mamusiu”, co zaskoczyło mnie, bo moja była zawsze tylko Janice. „Mamusia” brzmiało tak czule, tak bezceremonialnie. Ja prędzej rzuciłabym się na szyję jakiemuś nieznanemu w metrze, niż powiedziałabym do swojej „Mamusiu”.

Chyba w piątej klasie miałyśmy zabawę, w której ja byłam Hugo, a Nora Nancy. Hugo po całym dniu pracy wracał do domu „napalony”, a Nancy czekała na niego w łóżku i gziłyśmy się przez jakiś czas.

Raz, kiedy oglądałyśmy telewizję, mama Nory położyła się z nami na kanapie. Pogłaskała mnie po głowie i zapytała szeptem:

– Jak tam twoja mama, kochanie?

A ja zamarłam. Zaniemówiłam ze strachu, że to stracę (co stracę?), że wydam z siebie jakiś kompromitujący pierwotny skowyt.

Do początku gimnazjum, kiedy zmarła moja mama, Nora zdążyła znaleźć sobie nowe przyjaciółki. Bystre dziewczyny. Pewne siebie. Dziewczyny z porządnymi matkami. Takie, które nie zamierzały wychodzić poza system i miały pokazać, co potrafią na uniwersytecie. Nadal mówiła mi cześć, nigdy nie była dla mnie nieprzyjemna ani nic, ale już nie byłyśmy przyjaciółkami.

Uwielbiam pieprzyć się z Paulem.

Czasami czuję się wtedy, jakbym stała w łagodnym wietrze na pływającym pomoście; czasami jakbym żegnała się z życiem na pokładzie spadającego samolotu. Dziś wieczorem przypomina to raczej mocny uścisk dłoni na zgodę.

Przed Paulem spotykałam się z kilkoma skończonymi skurwysynami, takimi, co to chcą wyobrazić laskę, żeby ją bolało, i nie patrzą za dużo w oczy. Myślałam, że dobrze się bawię.

Mieliśmy z Paulem takie piękne początki. Cudowny, potajemny zapach jego ciała w mojej pościeli. Intelkt nie miał tu nic do rzeczy, po prostu chciałam zatopić twarz w jego skórze, odetchnąć nim. Cała aż drżałam. To typ faceta, który potrafi posuwać powoli i delikatnie. Ale piękne początki to żadne wyzwanie, prawda?

Przez prawie rok utrzymywaliśmy ten związek w tajemnicy. Miał w sobie posmak skandalu: on, profesor nadzwyczajny, ja, piętnaście lat młodsza doktorantka. Podobno ludzie ciągle się krzywią na takie rzeczy. Idiotyzm, poza tym on już miał etat na uniwersytecie. Ale była też kwestia jego

długoterminowej, długodystansowej dziewczyny, teoretyczno-teoretycznej laski, która utknęła na posadzie wykładowcy starającego się o etat w jakiejś zapadłej dziurze w Indianie.

– Boi się zaangażować – ostrzegła mnie moja najbardziej zdzirowata koleżanka, Subeena. – Ile on ma lat? Od jak dawna są razem?

– Mamy umowę – powiedział mi Paul. – Każde z nas ma swoje życie.

Ale kiedy w końcu z nią zerwał, była wściekła, kompletnie zdruzgotana, a on nie mógł pojąć dlaczego.

– Przecież mieliśmy umowę – przypomniał jej.

– Dla ciebie zrezygnowałam z posiadania dzieci – powiedziała i zaczęła szlochać.

– Mówiłaś, że nawet nie chciałybyś mieć dzieci – odpowiedział.

I jak tu nie uwielbiać kobiet, które lekceważą sobie wszelkie prawa czasu i natury, a po czterdziestce zachowują się, jakby przeżywały wielką tragedię? No, bądźmy szczerzy.

Dziś wieczorem tulimy się do siebie nadzy pod pierzyną i śmiejemy się z tego, co dziecko ostatnio zrobiło zabawnego. To fajny chłopak, co do tego jesteśmy zgodni. Jest rozbrajający. Mało czego jesteśmy tak pewni jak tego, że jest uroczym, kochanym, zabawnym słoneczkiem. Kiedy się do nas uśmiecha, robi taką charakterystyczną, cwana minę. Uwielbiamy go. Jeszcze jak! Jesteśmy szczęśliwi. Jesteśmy obdarowani. Jesteśmy jesteśmy jesteśmy jesteśmy. Odpukać w niemalowane, splunąć trzy razy, rzucić czosnkiem, sypnąć szczyptę soli i co tam się jeszcze znajdzie.

– Ciągłe powtarzasz, jaka jesteś szczęśliwa – powiedziała mi w zeszłym roku przy kawie moja ulubiona profesor, Marianne, kiedy spotkałyśmy się, żeby porozmawiać o doktoracie. – Ciągłe to powtarzasz. Przed chwilą cztery razy mi powiedziałaś, jaka jesteś szczęśliwa. Cieszę się, że jesteś taka szczęśliwa.

Minutę albo godzinę później budzę się zlaną potem: kuzyn Jason przyprowadził prostytutkę do domu rodzinnego mojego ojca w górach Berkshire i rznęli się tak głośno, że wszystkich pobudzili. Już dawno nie widziałam ich wszystkich razem. Moi dziadkowie, ciotka Ellen, kuzyn Jason i kuzynka Erica. Była nawet moja matka, trochę przypominająca upiora, ale zdrowa. prostytutką była Mina Morris sprzed dwudziestu lat: włosy w strąkach, ciemna szminka, dziki wzrok, uzależniona, na skraju szaleństwa.

– Ja tu spałam! – krzyczała na wszystkich moja matka ubrana w cienki różowy szlafrok. Widziałam zarys jej pełnych piersi. – Obudziliście mnie, bezmyślni gówniarze! – Kiedyś mówiła tak do mnie, kiedy chciała być miła.

– Zamknij się, pieprzona suko – powiedziała zimno Mina Morris, a moją matkę przynajmniej ten jeden raz zatkało.

Ojciec sprzedał tamten dom w górach wiele lat temu. Ciotka Ellen prawie się do mnie nie odzywa,

od kiedy wyszłam za Paula, chociaż przysłała ręcznie napisany list, w którym było dużo „rozczarowania”, „historii” i „naszego ludu”, który „dosyć się już nacierpiał”. Najpierw udawałam, że list nie zrobił na mnie wrażenia, a potem podarłam go w przypiływie wściekłości i spuściłam w toalecie. Kuzyn Jason jest głęboko religijny, mieszka w Arizonie, pracuje dla rządu i domaga się więcej dowodów na to, że prezydent Obama urodził się w Stanach Zjednoczonych. Na zdjęciu profilowym jest ubrany w bajerancki T-shirt z logo Armii Izraela i ma śmiertelnie poważną minę. Erica mieszka w mieście i pracuje z zapalem dla jednego ze szmatławców o modzie, które czytują dziewczyny walczące o tytuł Najlepiej Ubranej w szkole kosmetycznej. Kiedy miałyśmy po dwadzieścia lat, chodziłyśmy razem na drinki. Przysłała bardzo fajne ubranko dla dziecka.

Ale wracając do rzeczy, obudziłam się, leżę zlana potem, a na górze słyszę jakieś tupanie, potem drapanie, a potem znowu tupanie.

– Cholera! – szepcze Paul.

– Mysz?

– Coś większego. Wiewiórka. Nie wiem. Szop. Kurwa!

Paul jest w gruncie rzeczy zdrowym, stoickim, idealnie cierpliwym nie-Żydem. Niełatwo wytrącić go z równowagi. Nigdy nie miał kataru. Raz, ale tylko ten jeden jedyny raz, udało mi się tak go wkurzyć, że na mnie nawrzeszczał, i byłam perwersyjnie podekscytowana tym, że ma to w sobie. Uprawialiśmy potem niesamowity seks.

– Myślałam, że zwierzę uwięzione w ścianie domu to tylko taki zabieg literacki.

Paul wsuwa mi rękę między uda, mamrocze coś, żeby zadzwonić rano po Willa, i znowu zasypia.

Mnie jednak zajmuje to trochę więcej czasu, bo w tym stropie, ścianie, czy gdzie tam to siedzi, jest dosyć głośno, a poza tym nie mam za bardzo ochoty na ponowne spotkanie z matką.

Tym razem śni mi się, że jest lato, a promienie słoneczne wychodzą spomiędzy moich nóg i rozchodzą się delikatnie wokół bioder. Jestem w bardzo, bardzo dużej ciąży i jestem bardzo, bardzo szczęśliwa. Słońce w środku, słońce na zewnątrz, złote i ciepłe. Ale z domem jest coś nie tak. Przychodzi Will. Przynosi mi wiecheć polnych kwiatów i kładzie go na blacie. Wskazuje mój świecący środek, zasłania oczy.

– Genialna robota, Ari. Coś niesamowitego.

Nie wiem, gdzie jest Paul. Will schodzi do piwnicy, żeby obejrzeć piec, który, jak sobie nagle uświadamiam, jest zbyt rozgrzany i tylko potęguje ciepło słoneczne. W całym domu, w każdym pokoju jest nieznośnie gorąco, wszystko rozpływa się i stapia w jedno: radosną, żółtą, pachnącą woskiem i spermą maź.

W ten sposób upływa kilka godzin albo minut, a potem Moje Szanowne Dziecko zaczyna wyć do bladego, chłodnego świtu.

– Szop! – woła Will, złącząc z Paulem ze strychu. – Prawie na pewno. Pod oknem, przy listwie przypodłogowej jest otwór.

Dziecko przydreptuje i chowa się za moimi nogami. To świetny chłopak, mały równiacha. Ale jednak dziecko, a od dzieci lepsi są nawet opresyjni faszystowscy, łajdaccy, narcystyczni dyktatorzy.

– To co robimy?

Paul siedzi oparty o blat, z głową ukrytą w dłoniach.

– Wyprowadzamy się.

Will wzrusza ramionami.

– Pułapki. Takie lepsze. Wiecie, pogoda się zmienia, szukają wejścia. Robi się zimno. Nie ich wina.

Rodzice Willa wykładali na uniwersytecie. Uciekł od nich, uciekł stąd, został cieślą. Przez długi czas pracował na statkach na południowym wybrzeżu Bostonu i pił, pił, pił i pił. Znalazł drogę do AA, poznał Thich Nhat Hanha i filozofię pełnej świadomości. Wrócił tu, kiedy profesorstwo zmarło. Żeby „się zmierzyć”, jak mi kiedyś powiedział. Nasze spojrzenia się spotkały i zrozumieliśmy się. Musimy z Willem uważać na kontakt wzrokowy. Unikamy go, jak tylko możemy, jak dobrzy żołnierze, sprawa jest czysta.

Wyremontował stary dom rodziców, trzy numery od nas. Potrafi zrobić wszystko, czego potrzeba. Spawa w garażu, pomaga nam w trudnych początkach z bojlerami, z kładzeniem dachu, wykańczaniem piwnicy, malowaniem, instalacją elektryczną, zostaje na kolacji, je moje hipisowskie potrawy z wolnowaru, mówi „nieważne” i „nic takiego”, i jeszcze „cieszę się, że mogę pomóc”. Pięćdziesiąt jeden lat, wysoki, przyklapnięte włosy, ciało biegacza, zmarszczki na twarzy, silne dłonie, śmieszne brudne tenisówki. Regularnie wyobrażam sobie, że pieprzę się z nim przez całe długie popołudnie w motelu przy autostradzie, w którym zapach wybielacza nie tłumi całkiem naszego.

Dziecko przysuwa rękę do piekarnika, upomina samo siebie przybliżoną wersją słowa „gorące” i czeka na pochwałę. Natychmiast z nią spieszę.

– Tak, właśnie tak, greczny chłopiec, ale ty jesteś greczny, ojej, taki greczny chłopiec!

I kto mi powie, że nie jestem dobrą matką? Kto mi powie, że nie czytam nagłówek w książkach? W poradnikach typu *Jak opiekować się dzieckiem, jeśli w twoim otoczeniu nie ma nikogo, kto mógłby podzielić się wiedzą pierwotną*. Albo *Czego się spodziewać, jeśli nikt nie przekazał ci w ogóle żadnej wiedzy*. Trzymam je odłożone w szufladzie, jak pornosy.

– Nie możemy po prostu jakoś zablokować wyjścia temu, co tam weszło? – Paul zdobył doktorat z wiedzy tajemnej i prestiżowe stanowisko, ale nie ma pojęcia, jak usunąć farbę ze ściany, dokręcić kolanko na rurze czy poradzić sobie z gryzoniem.

– Nie, nie chcecie go tam. On tam zdechnie. Macie masło orzechowe?

Paul uśmiecha się i obejmuje mnie ramieniem w talii albo raczej w miejscu, które kiedyś było moją talią.

– Jasne, skombinujemy trochę masła orzechowego. Ari, trzymaj się z daleka od pułapek, dobrze?

Pije do tego, że nie jestem już tak zgrabna, jak byłam, zanim wyprodukowałam i chirurgicznie wyeksmitowałam nową istotę ludzką. Pieprzcie się wszyscy. Lubię wyjadać masło orzechowe łyżką. Jeszcze nie skończył zdania, a już rozumie, że popełnił błąd, i robi przeproszącą minę.

Dupek.

Tak, najwyraźniej nie jestem już tak zgrabna, jak byłam, zanim wyprodukowałam i chirurgicznie wyeksmitowałam nową istotę ludzką. Moja macocha nadal przy każdej okazji robi mi przegląd – może tak to nazwijmy – czyli to klasyczne zmierzenie wzrokiem od góry do dołu, równie często spotykane u przedstawicielek naszego gatunku jak pochwa – po czym spieszy z pokrętnym „nie martw się, kochana, niedługo znowu będziesz wyglądać normalnie”. Suka, no bo, chwila moment: myślicie, że nie wiem, jakie ogromne spodnie mam na tyłku?

Pierwsze urodziny dziecka.

– Dzień operacji – stwierdzam, bo nie potrafię nazwać tego urodzinami. Rocznica wielkiej porażki.

– Ari. Przestań.

Nie jestem w stanie wydać przyjęcia, nie będę robić pieprzonego cyrku. Dziecko nie zauważy różnicy. Po kolacji po raz pierwszy dajemy mu spróbować lodów, śpiewamy, zdmuchujemy za niego świeczkę, klaszczemy, całujemy. Zapominamy o zdjęciach. Radosne dziecko z buzią w czekoladzie, samotna świeczka, a z mojej strony fala rozpaczliwych wysiłków, żeby się cieszyć.

Will wpada z butelką dobrej szkockiej.

– Udało nam się, skarbie – mówi Paul, wznosząc toast. Kogo dokładnie ma na myśli, mówiąc „nam”? I co się udało? Jedyne, co osiągnęliśmy, to przyzwyczajenie.

„Brzdęk” – otaczają mnie urocze samce. Przynajmniej tyle.

Na studiach brałam pigułki szczęścia, ale mieszały mi w pamięci i zaczęłam się robić gruba, więc je rzuciłam. Paul zastanawia się co jakiś czas, czy nie nadeszła pora, żeby wrócić do jakichś leków, może powinnam „z kimś porozmawiać”. Obruszam się na to. Chcę czuć, jak się czuję. Smutna, że nie mam matki i że matka, którą miałam, była prawdziwą suką. Wściekła na swojego pieprzonego gina za to, że bez powodu wypatroszył mnie jak cholerną rybę. Zdziwiona i przybita tym, że nawet najlepszy mężczyzna na świecie okazuje się kiepskim lekarstwem na samotność. Śmiertelnie znudzona swoją własną dogłębną analizą tematu, który kiedyś mnie fascynował. Umęczona wyizolowaniem i mordęgą opieki nad małym dzieckiem.

Przyszedł na świat we wtorek po długim dniu na porodówce, ale nie urodziłam go. Ominął go ten

wielki przywilej.

W zamian za to skalpel.

Był „spóźniony”, tak mówili. Spóźnił się na wyspany z palca termin. Więc go eksmitowali i wszystko wzięło w łeb, a ja byłam zbyt lekkomyślna, żeby protestować, zbyt głupia, żeby kwestionować. Skąd taka głupota? Skąd taka lekkomyślność?

Przecięli mnie na pół, wyciągnęli dziecko z mojego bezwładnego, zięjącego pustką, skauteryzowanego brzucha. Bezlitosne światła szpitalne, zasłona przed nosem. Skuteczny sposób na wyjście z siebie. Zapach przypalanego mięsa. Zostałam zszyta przez grupę ludzi, których nie znałam i którym nie przyszło do głowy, żeby spojrzeć mi w oczy, żadnemu, ani razu. Leżałam rozcięta od biodra do biodra, unieruchomiona, ogłupiona, zacewnikowana, przywiązana do łóżka, i słyszałam rozdzierający krzyk mojej ptaszyny, kiedy wywozili ją gdzieś, do jakiegoś piekła.

Przez kilka dni ledwo mogłam się ruszać, a co dopiero myśleć racjonalnie o małym, miękkim zawiniątku niewyczerpanych potrzeb, które dali mi do rąk później, kiedy obudziłam się z zupełnie niewłaściwym rodzajem bólu.

Odesłali nas do domu po koszmarnym, obowiązkowym wypróżnieniu. Przez kilka następnych szokujących dni oglądałam obowiązkowe okropieństwa: dziecko skrzywdzone, poranione, cierpiące, ciskane o ziemię, walone głową o ścianę, uśmiercane. Niekończące się gorączkowe majaki. Wpadłam w objęcia jakichś złych czarów, na które nie byłam w ogóle przygotowana. Budziłam się z przerywanego snu tylko po to, żeby stwierdzić, że dziecko – Bogu dzięki, Bogu niech będą dzięki – oddycha.

Już dobrze, oddycha, oddycha, już dobrze, oddycha. Już dobrze. Już dobrze. Już dobrze. Zapuściłam się za blisko rozgrzanych do białości korzeni wszechrzeczy. Oszołomiona. Na zawsze złączona z możliwością straty tak niewyobrażalnej, że sama ledwie mogłam oddychać.

W książkach o dzieciach nie było o tym mowy. Dni zmieniały się w noc zmieniały się w dni zmieniały się w noc. W książkach o dzieciach nic takiego nie było! Trzymałam go mocno, przytulałam do siebie. Nie puszczałam. Tak łatwo go skrzywdzić! Wystarczy jeden fałszywy krok! Nie do pomyślenia. Nie do zniesienia. Co teraz? Co dalej?

– Wezmę go, skarbie – mówił Paul. – Daj mi go. Spróbuj trochę odpocząć.

Moja zainfekowana rana ropiała, zaciśnięte w fałszywym uśmiechu wargi sadystycznego potwora. Konieczna była antybiotykoterapia.

Umarłam, byłam trupem, duchem, który nie odszedł do końca. Obserwuj, jak oddycha: oddycha? Przytul go. Żadnych gwałtownych ruchów, otocz go sobą. Delikatnie, delikatnie. Nie zrób mu krzywdy. Ostrożnie. Żyje? Świat jest tak przerażająco niebezpieczny, a dziecko delikatne jak surowe jajko, jedyne w swoim rodzaju.

Matka Paula dzwoniła co trzeci dzień z Ohio.

– Jak tam u ciebie? Nie przeszkadzam?

– Jak u mnie? W sumie nie wiem. Nie wiem, jak ludzie sobie z tym radzą. Nie wiem, jak mam sobie radzić.

– Z noworodkami rzeczywiście jest dużo roboty!

– Potrzebuję pomocy – powiedziałam jej. – Nie poradzę sobie. – Ściszyłam głos. To dobra kobieta. Emerytowana sekretarka, dorastała na farmie, pasjonatka patchworku, uwielbia oglądać swoje seriale.

– Nie opowiadaj bzdur. Oczywiście, że sobie poradzisz.

Kobieta, która od zawsze wiedziała, jak uprawiać owoce i warzywa, jak jesienią przerobić je na przetwory, jak uszyć sukienkę z wykroju, jak zrobić sweter na drutach, jak doglądać chorych. Mistrzyni sztuk kobiecych. Była moim pewniakiem. Na pewno od razu przybiegnie, żeby pokazać mi, jak się to robi. Powie: patrz i się ucz.

– Matka tego dziecka musi się nim zająć – powiedziałam. – Ktoś musi się nim zająć. Wszystko mnie boli. Jestem taka zmęczona.

– A jaka u was pogoda? – zainteresowała się. – No to już ci nie przeszkadzam.

Rok później, teraz – wszystkiego najlepszego, brzdącu – a ja ciągle walczę, żeby trzymać się prosto, całymi dniami chodzę w piżamie, omijam z daleka bliznę i cierpię na te nagłe huśtawki nastroju. A ludzie, których ledwo znam, pytają czasami pogodnie:

– Planujesz drugie dziecko?

Nie zaznamy spokoju, dopóki szop tu jest. Ma tyle możliwości zniszczenia naszego życia i domu: może przegryźć kable elektryczne, obsikać i obesrać wszystkie ściany, przyprowadzić kolegów. Może zdechnąć i zacząć się rozkładać. Może mieć wściekliznę. Może przerazić dziecko na śmierć. Może urodzić młode z wścieklizną, które przerażą dziecko na śmierć.

Will przynosi dwie olbrzymie klatki-pułapki i ustawia je przy przeciwległych ścianach strychu. Przy okazji wymienia moskitiery w oknach na szyby i likwiduje przeciąg. Zostaje na kuskus z grzybami, rozśmiesza dziecko, opowiada nam historię o zwierzaku z jakiegoś domu dwa kilometry dalej w dół rzeki. Coś o zwierzęcej rodzinie w zamurowanej ścianie i o ekipie odkażającej parę miesięcy później.

– E tam, nie martwcie się – mówi. Ścisza Paula za ramię. – Dobranoc, stary. – Ze schodów posyła jeszcze uroczy, smutny ukłon w moją stronę. Will to inteligentny facet. Może nie na poziomie zaawansowanym, ale na poziomie wyczucia sytuacji.

Kolejna obserwacja Miny dziś rano w drodze do opiekunki. Wspinała się po stopniach domu Crispa i Jera z kluczami w ręku. Nie mogłam się zmusić, żeby do niej podejść, więc instynktownie

przypięłam jej etykietkę kompletnej suki. Tak działałam w kontakcie z kobietami. Są winne, dopóki niewinność nie zostanie im udowodniona.

Jej ciąża jest zaskakująca. Ma grubo powyżej czterdziestki, a Internet nie mówi nic o żadnym mężczyźnie. W ogóle mało jest o niej w Internecie, co jest oczywiście jedyną metodą zdalnego wyrobienia sobie szacunku: wystarczy nie wrzucać do sieci za dużo pierdół o sobie samym.

Cztery razy w tygodniu oddaję dziecko pod opiekę Nasreen, żeby móc „pracować nad doktoratem”. Mały zawodzi rozpaczliwie „maaaa-maaaa”, wyciąga rączki i czepia się mnie kurczowo. Czysty koszmar. Całkowita apokalipsa.

– Robi dla pani ładne przedstawienie – mówi Nasreen. Jest z Pakistanu, ma siedmioro dzieci, a czworo najstarszych nadal mieszka tam z jej siostrą. – Jest dobrze, pani idzie, jest dobrze.

Wygania mnie, przewraca oczami. Ach, te głupie matki.

Czuję się, jakby ktoś wrywał mi serce z piersi, a mam po prostu sobie pójść, jak gdyby nigdy nic. Czaję się przez dwie minuty za drzwiami, aż zawrodo przycichnie, po czym wymykam się jak jakiś przestępca. Mdłości, żal, ciemność, światło, ulga, wolność, radość, ból, poczucie winy, zagubienie, euforia: wszystko naraz, jak przy pierwszym orgazmie.

Kiedy jestem z moim kochanym orzeszkiem, marzę tylko o tym, żeby go oddać; kiedy go oddaję, marzę, żeby go zabrać i już nigdy nie wypuszczać.

Mój doktorat to fikcja.

Przez większość czasu czytam ploteczki, śledzę losy znajomych, którym się poszczęściło, sprawdzam, ile gotuje się fasolę azuki, przeglądam nagłówki, ścielę łóżko, przerzucam pierwsze surrealistyczne zdjęcia dziecka, tej malutkiej przerażającej istoty. Ogólnie marnuję czas, tak jakby jutro miało przychodzić w nieskończoność.

Proszę: Mina na zdjęciu zespołu, koło 1988 roku, ubrana w ciuchy z lumpeksu. Ale nie w modne ciuchy z lumpeksu, tylko w brudne, niedopasowane ciuchy. Włosy ma splątane. Są przy wyjściu ewakuacyjnym, w wąskiej uliczce między ceglаныmi ścianami. Kelly siedzi skulona z zimna. Stefani stoi nad nią z założonymi rękami. Mina opiera się o ścianę, obojętna i nieobecna, spogląda w obiektyw, tak jakby był to mało atrakcyjny nieznajomy, który domaga się, żeby mu obciągnęła. Mogła mieć wtedy koło dwudziestu lat. Najmłodsza. Policzki jak u chomika.

Mgliste nagranie z odczytu w jakimś barze, jej głos jest zniszczony i chropawy. Strasznie mi się podoba, że nie szczyrzy się bez przerwy, nie wydaje z siebie okrzyków, nie podskakuje, nie grucha ani nie serwuje gównianej gadki w stylu „lubicie mnie, o boszsz, jak ja bym chciała, żebyście mnie lubili, bo naprawdę warto mnie lubić”, co u wielu kobiet zdaje się tylko nasilać z wiekiem. Jej nie obchodzi, czy ktoś ją lubi, czy nie. Jest ubrana w brzydki T-shirt i ma brudne włosy. Nie zależy jej na tym, żeby podobać się ludziom. Ona czyta wiersz. Dobry wiersz. Możesz zabrać się z nią albo spierdalać.

A tu: lekko zażenowana podczas wywiadu z mizdrzącą się blogerką.

A tutaj: czterdzieści dziewięć sekund ziarnistego filmu z klubu w Eugene sprzed dwudziestu paru lat. Dźwięk jest kiepski. Ona siedzi z tyłu, ledwo widoczna, gra na odwróconym basie, ma zamknięte oczy. Tak jakby próbowała zapomnieć o publiczności. Jakby publiczność była drobną niedogodnością. Stefani wygłupia się do kamery zza swojej perkusji, a Kelly wrzeszczy do mikrofonu, szarpiąc gitarę, wzburzona i zdesperowana. Nigdy nie wyszły poza takie kluby, nie zrobiły nic większego. Jednak u wielu ludzi, którzy je widzieli, wywołały przemianę. Krążyły pirackie nagrania. Pewien zespół, założony w hołdzie dla nich, zyskał spore uznanie.

A tu znowu: pochmurny dzień w stanie Maine, zdjęcie na okładkę książki. Włosy opadają jej na twarz pozbawioną uśmiechu. Ma ubłocone kozaki.

Dobra. Wystarczy. Coś innego. Niedawne badania wykazały dwunastoprocentowy wzrost liczby poronień męskich płodów w skali kraju w ciągu miesiąca od ataków na World Trade Center. Naukowcy odkryli hormon stresu wydzielany w mózgu badanych podczas surfowania po Internecie. Jakaś suka lecąca liniami Southwest Airlines uderzyła dziecko za to, że płakało; bohaterka stewardesa natychmiast przejęła opiekę nad dzieckiem. Pewna kobieta aktualizuje swój status krótką, upstrzoną błędami prośbą o wybaczenie, a następnie razem z czwórką dzieci w samochodzie przebija barierkę na moście. Pszczoły nadal giną. Wzdłuż drogi na szczyt Mount Everestu leży co najmniej 120 zamrożonych ciał. Sztucznie uśmiechnięta kobieta snuje wonną opowieść o dawczyniach jajeczek i surogatkach; dołączone zdjęcie prezentuje „cudowne” bliźniaczki wystrojone jak choinki na święta.

Spędzam jakiś czas na takim gapieniu się w ekran. Słodkie, koszmarne nicnierobienie. A niedługo potem trzeba odebrać dziecko od Nasreen.

Zamiast tam iść, wolałabym posiedzieć tutaj w słabnącym świetle, wpadającym przez duże okno, w dźwięcznych objęciach głośników. Nasreen dobrze się nim opiekuje. Wie, jak się to robi. Jest mu tam dobrze. Pewnie nawet lepiej.

Przychodzi zdawkowy mail od Marianne na temat doktoratu. Jak tam praca koncepcyjna? Jakies decyzje co do konkretnego tematu?

Równocześnie zaczynam tęsknić za słodkim krasnałem – czego dzisiaj dokonałaś podła sukodlaczego nie jesteś ze swoim krasnałem nie wiesz że on cię potrzebuje zbieraj ten gruby tyłek i IDŹ – i dalej siedzę, a mój kochany orzeszek w ramionach innej.

Czy Marianne rzeczywiście myśli, że pracuję nad doktoratem? Nie domyśla się, że lata mi to kołodupy? Jedyne, co jestem w stanie robić, to kąpać się od czasu do czasu, utrzymywać dom we względnym porządku, karmić nas, prac i czasami spać. Dosłownie: jedyne.

A doktorat mi wisi i powiewa.

– Pani energia twórcza jest wykorzystywana gdzie indziej – poinformowała mnie w trakcie ciąży przemiła masażystka-terapeutka. Potem mnie przytuliła, zrobiła akupresurę i reiki.

No więc cały ten doktorat to właściwie oszustwo. Ale człowiek musi mieć jakąś tożsamość, jakies

zainteresowania i zajęcia poza posiadaniem dziecka, po prostu musi. Inaczej dziecko będzie jedynym zainteresowaniem i zajęciem, a wszyscy wiemy, jak kończy się coś takiego.

Nasz dom należał prawdopodobnie do jakiegoś wielkiego przedsiębiorcy z branży tekstylnej, któremu w pewnym momencie przestało się powodzić. Wyobrażam sobie, jak u progu Wielkiego Kryzysu staje się niewypłacalny i wpada w depresję. Strzela sobie w głowę, a na biurku zostawia list do żony (drugiej; pierwsza zmarła przy porodzie) i list do kochanki (może to pomywaczka?). Jego melina musiała być cała we krwi i w mózgu, dzieci krzyczały, dom stał się przeklęty, nieszczęście, jakie się tu teraz czai, to zwyczajny ciąg przyczynowo-skutkowy. Miejsca mają swoją pamięć; trzeba być kretynem, żeby tego nie uznawać. Ciała, domy, ziemia: uczucia, energia, duch. Zaprzeczajcie, jeśli chcecie, one nic sobie z tego nie robią. Nazywajcie to, jak wam się podoba.

Dom ma wbudowane regały i delikatną połączoną tapetę w kwiatowy wzór, tak starą i spłowiałą, że jest znowu śliczna. Zanim się wprowadziliśmy, stał przez trzy lata pusty po tym, jak ostatnia z ciotek, starych panien, zmarła w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat w domu spokojnej starości. Są tu oryginalne okna i ażurowe okiennice z ciemnego mahoni. Kuchnia była pewnie ostatnim krzykiem mody i prawdziwą perełką w 1920 roku, kiedy przyszłość miała jasne barwy. Świeżo upieczeni właściciele dobrze rokowali: młode małżeństwo oczekujące pierwszego dziecka, oboje pełni radości, wszystkie życiowe tragedie jeszcze przed nimi.

Przy okazji badań kontrolnych po szóstym miesiącu życia dziecka pielęgniarka środowiskowa zadała mi serię rutynowych pytań:

– Czy miewa pani myśli o wyrządzeniu krzywdy sobie lub dziecku czy w domu jest broń czy ojciec dziecka kiedykolwiek pani groził czy ma pani jakiegokolwiek objawy depresji?

Nie powiedziałam, że po dwadzieścia razy dziennie rozważam, jak by się tu zastrzelić. Nie powiedziałam też, że te wizje dodają mi dziwnie wielkiej otuchy. Powiedziałam:

– Nie ma w domu broni. – I jeszcze: – Hm, tak, chyba mam parę objawów depresji.

Postawiła zamaszysty krzyżyk na mojej karcie i przysłała lekarza. Miły facet, wegetarianin, potrafi prowadzić inteligentną rozmowę podczas badania, nie próbuje wcisnąć wszystkich szczepionek naraz. Powiedział, żebym postarała się o jak najwięcej pomocy w domu. Powiedział, żebym znalazła sobie grupę wsparcia.

Nie mam pojęcia, jak zorganizować sobie pomoc, ale dobra, przynajmniej ta grupa. Parę razy pojechałam do Albany.

Wiele kobiet z grupy też miało operację. Albo nie mówią o tym wcale, albo mówią tak, jakby to było zupełnie normalne i, zaraz, czekajcie, chyba tak właśnie jest. Rozmawiają o zumbie, o wycofanych modelach wózków, o przedszkolach, o nowym barze hibachi koło super-marketu.

Kto by pomyślał, że macierzyństwo może mieć wymiar przede wszystkim materialny? Przesiadaliśmy w Starbucksie, grzebiąc w pastelowo-wojskowych torbach na pieluchy w poszukiwaniu gryzaczków i pieluch tetrowych, podczas gdy bezdzietne kobiety obdarzały nas nieskończone wrogimi spojrzeniami. Ja i jeszcze jedna cicha, ciemnooka kobieta jako jedyne karmiłyśmy piersią; pozostałe były zajęte eksperymentami chemicznymi: proszki, woreczki termoizolacyjne, butelki.

Biedne dzieci były tu zupełnie od rzeczy, jak na wpół zapomniani staruszkowie powierzeni naszej opiece. Dziewczynki były przystrojone jak drag queen: falbanki i kokardy, diademy z kwiatkami i świecidełkami. Jedna z nich rzucała mi raz po raz zabawne, grymaśne spojrzenia, jakby chciała powiedzieć „Co to ma być, do cholery?”. Fajna była. Mrugnąłam do niej w stylu „sorry, skarbie, rozumiem cię, ale wierz mi, to się jeszcze zmieni”.

Jedna z mam miała operację na życzenie, bo po prostu „nie bardzo jej się podobał ten cały element zaskoczenia” i „tak bardzo chciała, żeby zdążył na swoje pierwsze święta”. Inna, biegaczka maratonów z dowodzącymi tego łydkami, nazwała poród po prostu „niepotrzebnym”.

Mama drag queen powiedziała:

– Nie radzę sobie za dobrze z bólem, a Dave po prostu brzydził się tym wszystkim, więc zdecydowaliśmy, że chcemy mieć to już za sobą.

Potem opowiedziała, jak w trakcie operacji podali jej przez pomyłkę środki zwiotczające. Kiedy zorientowała się, że nie może oddychać, zaczęli gorączkowo wyciągać dzieciaka, zanim jemu też by się dostało, tak że prawie umarła im na stole. Dziecko spędziło tydzień na oddziale dla noworodków, ale „dostaliśmy dzięki temu darmowy pokój i byli dla nas taaaacy mili, bo Dave powiedział, że bali się, żebyśmy ich nie pozwali”.

Jedna została odesłana do domu dwa dni po operacji tylko po to, żeby zasłabnąć w łazience w wyniku wstrząsu septycznego. Musieli zostawić noworodka sąsiadom, których ledwo znali, a sami pojechali na SOR z przeciętym jelitem.

Inna miała źle wyliczony termin, więc kiedy ją rozcięli, dziecko miało niedowagę, nie mogło samo oddychać i spędziło trzy tygodnie na oddziale.

Jeszcze inna, całkiem pozbawiona emocji, wspomniała o ciągłym mrowieniu od kręgosłupa wzdłuż całej prawej nogi i powiedziała, że „teraz nic już nie da się z tym zrobić, więc dlaczego musimy o tym rozmawiać?”.

– Ja miałam szczęście – powiedziała któraś. – Skończyło się tylko na próznociągu.

– No widzisz, właśnie dlatego cieszę się, że poszłam na cesarkę – odpowiedziała mama drag queen. – Podobno te wynalazki strasznie psują cipkę.

Zapytałam je, czy dobrze się czują ze swoim doświadczeniem narodzin. Popatrzyły na mnie krzywo. Jedna zachichotała.

– Doświadczenie narodzin – powiedziała. – Brzmi jak nazwa kolejki w Disneylandzie.

– Dobrze się czujemy, czyli co, cieszymy się, że jest po wszystkim?

– Czy dobrze, bo nam się podobało?

Kilka miesięcy później spróbowałam dołączyć do innej grupy, trzydzieści minut drogi w innym kierunku.

Miałam pozwalać, żeby Walker patrzył, jak ja i jego ojciec korzystamy z toalety, rozmawiać o toalecie, zachęcać do zaprzyjaźnienia się z toaletą. Miałam dbać, żeby zjadał codziennie przynajmniej szklankę warzyw. Mogłam zamknąć go któregoś razu w pokoju na noc, gdyby nie chciał spać. Mogłam rozważyć zapisanie go do stomatologa dziecięcego. W każdym przypadku bez wyjątku istniała możliwość wczesnej interwencji.

Pomyślcie tylko: wydawało mi się, że będziemy ze sobą rozmawiać, że nudne szczegóły rodzicielstwa będą się pojawiać okazjonalnie.

No bo, chwileczkę, przyznajmy w końcu, że da się być dobrą matką i robić coś poza tym. Wiecie, taka wielozadaniowość. Wypatrywanie tygrysów na horyzoncie. Zbieranie ziół. Mieszanie w kociołku. Czytanie pieprzonej gazety.

Nawet wyluzowane pasjonatki granoli własnej roboty i ogniska domowego broniły swojego wyluzowania jak wściekłe suki. Wywiązała się kłótnia mailowa. Różnica zdań na temat marek kubków niekapków płynnie przeszła w awanturę, w której jedna przepowiadała kryminalną przyszłość dziecku drugiej. Były niezmordowane. Zajmijcie się swoimi sprawami, drogie panie. Nie zamieniajcie tego w pieprzone hobby. Karmcie dzieciaka, kąpcie, usypiajcie, przytulajcie, całujcie, uśmiechajcie się i jeszcze przytulajcie, i całujcie, aż będzie na to za duży. A potem spróbujcie wypracować sobie na resztę życia najlepszy model postępowania, na jaki was stać, i następnego dnia tak samo. To żadna, kurwa, filozofia. Znajdźcie sobie inne tematy do rozmyślań.

Nie będę udawać, że moje dziecko jest wyjątkowe, że niby inne dzieciaki głodują, zamarzają, są gwałcone, bite, muszą pracować w fabrykach i dostają raka od wyziewów, jakie to okropne, jakie smutne, ale moje dziecko będzie miało ciepło, ekologicznie, nietoksycznie, bezpiecznie i wszystko, czego zapragnie, kiedy tylko zapragnie, i pójdzie na dobre studia, i świat jest taki piękny! Krótkowzroczne pierdoły. Będzie cierpiał. Z którejś strony mu się dostanie, a ja nie chcę udawać, że mogę przewidzieć z której. Wszyscy żyjemy w tym samym popieprzonym świecie.

Potem były historie o tym, jak to ta czy tamta zwyczajnie nie mogła karmić piersią, jak jej siostra skończyła po dwóch miesiącach albo po sześciu, albo po roku, bo bolało, albo po prostu nie miała już mleka, albo dajcie spokój, ile można, albo nie wydaje wam się niesprawiedliwe, że wywiera się taką presję na kobiety, żeby karmiły, a przecież to powinien być wybór, nie? Tak, moje panie. Gratulacje: macie wybór.

Rozmowa z tymi kobietami była męką. Widziałam, jak kostnieją. Widziałam, jak do pewnego

momentu biegną ile sił w nogach, a potem zatrzymują się i drętwieją, żeby już nigdy się nie ruszyć.

Wyćwiczyłam puste spojrzenie. Jakie to szlachetne z twojej strony, że zapychasz swoje dziecko jakimś modyfikowanym mlekopodobnym gównem sprzedawanym przez tych samych ludzi, którzy dali światu Oreo. Jakie to feministyczne, tak, każda kobieta dokonuje własnych wyborów, jak najbardziej, cóż za wspaniała wolność. Świetny sposób na dokopanie mężczyznom. Jaka to potężna władza, negowanie podstawowej funkcji własnego ciała. Czy mogę uścisnąć twą dłoń? Już ty pokażesz temu swojemu ciału, kto tu rządzi! Radzisz sobie ze swoją spaczoną naturą. Jakie masz śliczne, błyszczące narzędzia Pana! Jak tam ci idzie demontowanie jego domu?²

Piątek. Moja zmiana w sklepie. Pakowanie artykułów spożywczych do pudełek i woreczków, sortowanie plastiku do recyklingu, ustawianie towarów na półkach. (To ostatnie ma zabawną nazwę: „frontowanie”).

Moją szefową jest Naomi. Dwadzieścia trzy lata, po drugim roku wypadła z Uniwersytetu Stanowego Nowego Jorku. Mieszka w opuszczonym dziewiętnastowiecznym budynku banku oszczędnościowego w Troy z trzema studentami sztuk pięknych i z czternastoma kotami. Organizują potężne balangi, które zaczynają się o północy w każdy ostatni piątek miesiąca.

Ciągle rozdaje zaproszenia.

– Będiesz w piątek? – Jest urocza i sprawia, że czuję się staro.

– Postaram się – kłamię za każdym razem.

Moją drugą przyjaciółką była Jenny Jacobson o aliteracyjnym nazwisku i aspiracjach showbiznesowych. Miała własnego agenta, bez przerwy chodziła na castingi do reklam, w końcu wzięli ją do spotu z płatkami śniadaniowymi, naprawdę duża kasa. W szóstej klasie zrobiła się ważna, otaczał ją zarazem strach i szacunek. W drugiej gimnazjum wszystko jej się spieszyło (bulimia, ośrodek w Bellevue), ale kiedy ją poznałam, była u szczytu formy.

Rodzice Jenny właśnie się rozwodzili. Do przeżycia tej apokalipsy została przygotowana przez książki o dziewczynkach, których rodzice brali rozwód, i przez osobistego psychiatrę, Henriego. Mieszkali w stalowo-szklanym apartamencie na najwyższym piętrze wieżowca w dolnej części Park Avenue, a jej ojciec miał ciekawy zwyczaj gapienia się na mnie i odwracania wzroku, kiedy tylko na niego spoglądałam. Dosłownie czułam jego spojrzenie na swoim małym dojrzewającym tyłku. I wcale mi się to nie podobało.

– Henri mówi, że rodzice czasami muszą się rozejść, żeby mogli robić to, co muszą robić, żeby byli szczęśliwi i odnosili sukcesy, a jak mama i tata będą oboje robić to, co muszą robić osobno, cała nasza trójka będzie dużo, dużo szczęśliwsza, więc to jest tak naprawdę radosne wydarzenie,

i będziemy je świętować, a ja bardzo się cieszę, że się rozwodzą, bo jak cała nasza trójka będzie szczęśliwsza, to to będzie nawet lepsze, niż gdybyśmy zostali razem i nie byli aż tak szczęśliwi ani nie odnosili aż takich sukcesów. No więc robimy przyjęcie rozwodowe i w ogóle.

Tak bardzo jej nie cierpiałam, że prawie lubiałam jej towarzystwo. Mój wstręt do niej był zaprawiony uzależnieniem. Była jedną z tych apodyktycznych zdzirowatych panienek, które potrafią tak wszystko poprzekręcać, że zawsze wygrywają, zawsze triumfują, zawsze rządzą. Nigdy nie mają przesrane, nie bywają smutne, nie muszą przeproszać ani być na niczyjej łasce. Była jedną z tych wynoszących się zdzir, które nigdy nie pozwalają sobie na momenty słabości. Zawsze stwarzają pozory idiotycznego panowania nad sytuacją. Jenny i ta jej absurdalna czupryna poskręcanych pomarańczowych loków, te jej bzdurne piegi. Dziewczyna z gatunku tych, co to przez całe życie siłą się, żeby traktowano je poważnie. A tymczasem nikt nie traktuje ich poważnie.

Nie bałam się jej ani trochę i, rany, jak ją to przerażało.

Na wspomnienie o mojej matce robiła wielkie, szkliste oczy, że niby było jej Tak Strasznie Przykro, co miało sugerować, że moja matka była o krok od śmierci – no bo rzeczywiście była – a ze mnie robiło pożałowania godną sierotę.

– Musi ci być bardzo ciężko z tym, że twoja mama jest tak strasznie chora – mówiła z wyrzutem w głosie. Wszechwiedzący ton, poczucie wyższości (jej rodzice właśnie się rozwodzili, co było w gruncie rzeczy świetną sprawą), hierarchia cierpienia, w której wygrywałam, czyli tak naprawdę przegrywałam. Jenny doprowadzała mnie do szaleństwa. Nigdy nie miałam jej dość.

– Chyba tak – odpowiedziałam, bo nie potrafiłam ściemniać. (Mamy w zamrażarce pełno lodów na patyku, bo chemioterapia wywołuje u niej straszne bóle w ustach, super!) Światła w naszym domu były zawsze przygaszone. Moja matka umierała miesiącami. Wiele tygodni chodzenia na palcach, aż do samego ostatecznego końca. Przez nieskończenie wiele dni wydawało się, że może to nastąpić właściwie w każdym momencie.

– Co za tragedeeedia! – Jenny spojrzała przez okno swojej sypialni na dachy budynków. – Jaka okropna sytuacja. Taki ciężar dla młodej dziewczyny.

– Wyjdzie z tego – powiedziałam i o mało co się nie roześmiałam. Nie wyjdzie z tego. Nie pożyje już za długo. Mogła właściwie już nie żyć, a ja dowiedziałabym się o tym dopiero po powrocie do domu. Ale jest coś takiego w tych wynoszących się zdzirach, co sprawia, że człowiek nie może okazać słabości i koniec końców staje się taki jak one – przynajmniej tymczasowo – żeby sobie z nimi poradzić, co jest cholernie smutne. To pułapka. Trzeba za wszelką cenę ich unikać.

– Nie wydaje mi się – powiedziała Jenny. – A jest dopiero po czterdziestce! I ma taką młodą córkę! Bardzo, bardzo smutne. – Wyglądała, jakby próbowała się rozplakać, jakby było to coś w rodzaju ćwiczenia aktorskiego. Wyciągnęła rękę, żeby poklepać mnie po plecach, a co ja na to? Jak to co, walnęłam ją w twarz. Zaciśniętą pięścią. To dopiero była satysfakcja. Niemalże do tej pory

czuję, jak rozchodzi mi się po ramieniu ta niechlubna, elektryzująca przyjemność.

Dziś wieczorem impreza profesorska u Camerona i Betsy. Okazja do włożenia porządnych ciuchów, czegoś, z czym nie będę się musiała szarpać, żeby wyciągnąć cycki na wierzch. Może jakaś biżuteria, a może pójdę na całość i maznę usta czymś błyszczącym. Prawie jak Halloween.

– Proszę, proszę – pohukuje Cam, kiedy w chłodnej mżawce wchodzimy po schodach do ich kamienicy oddalonej o trzy przecznice od naszej, gdzie zostawiliśmy śpiące dziecko pod opieką studentki-babysitterki. Modłę się, żeby babysitterka nie była tak głupia jak styl, w jakim się ubiera. I jeszcze ten jej nieznośny dzwonek w telefonie, i wściekle różowe dresy z napisem na dupie „ZAGLĄDAJ TU CZĘSTO”. Modłę się, żeby dobrze go pilnowała.

Cam ma dobre intencje i chce być wyluzowany, ale nie wie, jak to zrobić, więc przelewa całą swoją głównianą energię w agresywne poczucie humoru, jak wredny starszy brat. Jest chyba z wydziału psychologii. Unikam wchodzenia w szczegóły. Kumpluje się z Paulem i zdaje się, że z tego tytułu należy mu się nieskomplikowana uprzejmość z przyzwoitego dystansu oraz okazjonalna szkocka.

Betsy za to zawsze jest wesoła i równoważą zachowanie Cama. To tak naprawdę całe przedstawienie, a każde z nich gra swoją rolę w prywatnej, życiowej produkcji teatralnej, na którą oboje się umówili. Boję się, że właśnie na tym polegają długotrwałe związki: pełnoetatowe odgrywanie swoich ról, wyuczonych i uwewnętrznionych. Ci dwoje bez przerwy żłopiają kawę, tak jakby chcieli się pokrzepić przed kolejnym podniesieniem kurtyny.

– Wygląda na to, że Paulowi i Ari się udało!

– Na to wygląda, Bets. Na to wygląda.

– Witamy! Wchodźcie, wchodźcie! Co tam u was? Jak żyjecie? Witamy!

Lubię Betsy, naprawdę, ale jest roztrzępana jak cholera i wszystko powtarza po dwa razy.

Nie mają dzieci, a bliżej im do pięćdziesiątki niż do czterdziestki, więc już parę lat temu minął czas, kiedy mogli mieć dzieci, ale zdecydowali albo zdecydowano za nich, że nie będą mieli.

Z jednej strony to nawet kozackie, żeby nie zrobić tej jednej podstawowej rzeczy, do której ciągle się nas namawia, powiedzieć „nie, dziękuję”, odmówić nabycia embrionu od ubranego w biały fartuch osobnika z kompleksem Boga, odmówić zatrudnienia dziwki do upichcenia płodu. Ale z drugiej strony to poczucie, że już za późno, ta stracona możliwość. Pusta przestrzeń. Trzeba z tym jakoś żyć. Właściwie to tak czy inaczej trzeba jakoś żyć. Dobry tytuł na wspomnienia! Pieprzyć doktorat. *Życie: trzeba z tym jakoś żyć.*

Przyszło kilkadziesiąt osób. Jest suka od teorii francuskiej umalowana jak klaun, jest smutny rozwodnik z wydziału anglistyki ze swoją miastową dziewczyną. Ćpun z wydziału sztuk pięknych, seksowny socjopatyczny rzeźbiarz z grupy artystycznej, szalenie spięta para historyków, Cat. Facet od studiów żydowskich, który jest dla mnie super ekstra miły, od kiedy dowiedział się, że moja babcia

ocalała z ostatniej Wielkiej Europejskiej Czystki Żydowskiej.

I jeszcze o, o, o: Mina.

Jest tu, we własnej osobie. Opiera się o słupek balustrady i rozmawia z pyszałkowatym politologiem i jego żoną, która patrzy martwo przed siebie.

– Bierz ją, tygrysie – szepcze Paul.

Cam podaje mu szklankę i odwraca się do mnie.

– Dla ciebie nic, Ari? Nadal bawisz się w to całe... – macha w kierunku moich piersi, jakby chciał strząsnąć z ręki coś lepkiego – dziecięce... coś?

Wcale nie jest tak trudno zgasić Cama: wystarczy trochę poflirtować i od razu się łamie.

Skromny uśmiech, opuść ramiona, cycki do przodu, sięgnij spokojnie po wino, wysoka i dumna, rozchyl delikatnie usta, przytrzymaj jego spojrzenie. Jeszcze... jeszcze... aż zrobi się cały czerwony, odwróci wzrok i zacznie się pocić. Gotowe. Stuknij się z nim kieliszkiem i odejść powoli, spokojnie.

Zawsze miałam problem z odróżnianiem ludzi, którzy mnie nienawidzą, od tych, którzy chcą się ze mną pieprzyć. W końcu dotarło do mnie, że te dwie rzeczy zazwyczaj mocno się na siebie nakładają.

Kieruję się w stronę znajomego rozczarowania pod postacią Cat, która stoi na obrzeżach kręgu Miny. Przygarnia mnie (góra–dół) z tajemniczą mieszanką akceptacji i przygany, zazdrości i wyższości.

– Hej – mówi swoim szorstkim tonem. Cat dostała posadę na uniwerku w zeszłym roku, tuż po tym, jak straciła świetną pracę w Seattle. Natychmiast się zaprzyjaźniłyśmy, a jakieś pięć minut później dotarło do nas, że wcale tak bardzo się nie lubimy. Ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

– Hej! – Ściskam ją niezręcznie.

Mina wygląda mniej więcej tak jak na zdjęciach, tylko jest trochę starsza, bardziej rzeczywista i oddycha. No i jest w wysokiej ciąży.

Pyszałkowaty politolog opowiada o jakimś kandydacie politycznym.

– To takie, kurwa, przewidywalne.

Ludzie kiwają głowami.

Chowam się za swoim kieliszkiem. Rozmowy o polityce są idiotyczne. Można się zgadzać albo nie; ani jedno, ani drugie nie sprzyja wymianie myśli.

Minie porobiły się zmarszczki wokół ust i oczu. Piękne zmarszczki mimiczne. Nadal ma pełne policzki. Włosy w połowie siwe, może w trzech czwartych. Miękkie, wystrzępione, stare džinsy o męskim kroju, nic wspólnego z groteskowo postarzaną lycrą, z której wyłazi tyłek. Stare brązowe kozaki. Asymetryczne granatowe ponczo ze skromnej mieszanki bawełny i kaszmiru – bez wątplenia dobrej jakości, ale należycie zmechacone i kochane. Nowe wyglądałoby pedantycznie. I to jest właśnie

coś, czego większość kobiet nie rozumie w stylu: ubrania trzeba nosić, żyć w nich, stopić się z nimi. Inaczej będą tylko kostiumem.

Na oko metr osiemdziesiąt. Tatuaze wzdłuż obu ramion, kolczyk w nosie. Zmęczona życiem. Włosy na oczach. Zmierzwione, naturalne, nie obchodzi jej to. Nie „próbuję wyglądać, jakby” jej to nie obchodziło, naprawdę gównu ją to obchodzi. Prawdopodobnie jedyna kobieta w tym pokoju, która czuje się swobodnie.

Ja włożyłam durne, uciskające kozaki ze spiczastymi noskami, które dawno, dawno temu były w modzie. Cat ma na włosach farbę i lakier w paskudnym kolorze głębokiego różu; na linii majtek Betsy widać linię majtek. W kuchni suka od teorii francuskiej z twarzą klauna chwieje się na kretyńskich szpilkach przypominających zszywacze. Ktoś powinien zaproponować jej haluksom kieliszek wina.

Wzrok Miny spotyka się z moim. B a m! Tak. Przepływ energii. Uśmiechamy się do siebie.

Politolog robi jej teraz wykład o wpływie The Mysoginists na zespół, który słyszał kiedyś na Brooklynie i który „był dość kiepski, ale w ciekawy sposób przejął od was wyrazistą tekstualność, coś jak Le Tigre, tylko mniej intelektualne, ale bardziej melodyjne niż Sleater-Kinney”. Wygląda, jakby chciała wbić sobie sztylet w ucho. Chyba że to moja projekcja. Żona politologa stoi jak wmurowana. Przez ten pusty wzrok sprawia wrażenie, jakby była na kwasie.

Mina wyciąga do mnie rękę.

– Hej. Mina.

– Pisałyśmy do siebie w sprawie domu Crispina i Jerry’ego. Ari.

– A, no tak. Hej. – Ciepła, prawdziwa. Emanuje tym osławionym blaskiem. Nigdy nie mam dosyć szalonego widowiska ciąży. Jest takie ponadczasowe. Takie elementarne. Takie (kurwa) uświęcone. Czy ktokolwiek pomyślałby dwa razy o dzieciakach Mansona, które zamordowały Sharon Tate? Jeszcze jedna zadżgana laska: następną proszę. Ale biedaczka była w ciąży, więc wydarzenie okrzyknięto autentycznym okrucieństwem.

– Przejdziemy się jeszcze po drinki – oznajmia raptem politolog. Żona idzie za nim.

– Chryste, ja pierdolę – szepcze Mina, kiedy już ich nie ma.

Uwielbiam ją. Spokojni ludzie wydają się zawsze trochę melancholijni, prawda? Jak jestem w towarzystwie i na pięć sekund przestaję się uśmiechać, za każdym razem ktoś mnie pyta, co się stało.

Cat burzy czar tej chwili pytaniem, czy widzieliśmy modny od niedawna serial z wysokiej półki.

– O, mój Boże! – drze się z kuchni Betsy. – Słyszałam, że jest genialny! Jest genialny? Właśnie zdobyliśmy pierwszy sezon. Słyszałam, że jest genialny!

– Jest genialny.

– To muszę go koniecznie obejrzeć. Nie mogę się doczekać. Wszyscy mówią, że jest genialny.

– Bo jest. Naprawdę genialny.

Na takim właśnie poziomie szczegółowości toczą się tu rozmowy na dowolny temat.

Mina tymczasem patrzy na mnie.

– Ari to zdrobnienie od jakiegoś imienia?

– Ariella – odpowiadam z okropnym paniusiowatym zawijaszem. Na studiach, kiedy czytałam Plath, nieoficjalnie zmieniłam imię na Ariel i od razu poczułam się silniejsza, śmielsza, i może nawet znalazłabym kiedyś odwagę, żeby się zabić. Ale kłamstwo wymknęło mi się spod kontroli, jak to z kłamstwami bywa. I już nigdy nie będę miała nawet cienia odwagi, żeby popełnić samobójstwo.

– Ładnie – mówi i bezskutecznie próbuje nabrać głęboko powietrza; nie jest to wcale takie łatwe, kiedy płód miesza się do funkcjonowania płuc.

– Pewnie zastanawiasz się nad imieniem?

Wzrusza ramionami.

– Na kiedy masz termin?

– Na zeszły tydzień.

– Aj!

– No. – Podnosi prawą rękę i obraca ją powoli, przyglądając się swoim opuchniętym palcom.

Niecierpliwie łykam wino, chcę jak najszybciej osiągnąć swój cel, ten związany z winem.

– Pieprzony obłąd, nie? Bezsenność? Dziwne sny? Bóle krzyża, niestrawność? Sikasz na okrągło, masz dosyć, jak ludzie powtarzają, żebyś „cieszyła się każdą chwilą”? A wszyscy zachowują się tak, jakby nie wierzyli, że dasz im znać, jak już urodzisz, prawda?

– O Boże, czasami mam ochotę powiedzieć: dam wam, kurwa, znać, jak urodzę. Nie musicie mnie codziennie pytać, czy już urodziłam to pieprzone dziecko.

– Moje właśnie skończyło rok – wyznaję.

– Tak, Crispin i Jerry mi mówili. Położna sugeruje, żebym teraz przez kilka dni spróbowała pić olej rycynowy.

Położna! Aż się zakrztusiłam. Nie w ciemną bita.

– Słuchaj, myślisz, że się na mnie obrażą, jak sobie pójdę? Powinna być w domu jakieś dziesięć minut temu. Czuję, jak całe ciało mi pulsuje. Wiesz, o czym mówię?

– Jasne.

Dopija to, co zostało w szklance, uśmiecha się do mnie.

– Masz chłopca czy dziewczynkę?

– Chłopca.

– Jak się nazywa?

– Walker.

– Dobrze imię.

Kiwam głową i bełkoczę coś o dawaniu znać, jakby czegoś potrzebowała, i „powodzenia”. Mhm, powodzenia. Tak jakby była wspinaczem, który wyrusza w nepalski świt, żeby już nigdy nie wrócić.

Bądź odważna, a potężne siły przyjdą ci z pomocą – mógłby huknąć przeze mnie kolejny kieliszek wina. Jasne, że położna. Nikt nie rozetnie Miny na pół, jak jakiegoś pieprzonego szczura doświadczalnego; to nie ten typ. Ona robi to tak, jak powinno się to robić. Boginie jej sprzyjają! Trzymaj się, siostró. Nie ma wyjścia, trzeba przez to przejść!

Tyle że ja głównie wiem o przechodzeniu. Nalewam sobie kolejny kieliszek, żeby załagodzić rosnącą migrenę alkoholową. Kilka rozmów i tracę cierpliwość. Facet, od którego czuć schabem i który podchodzi za blisko, potem malarz, który za cholerę nie potrafi zapamiętać mojego imienia, mimo że spotkaliśmy się ze sto razy, dalej francuska suka z cyrkowym makijażem i butami do tortur, a na koniec dupek od studiów żydowskich („jak miło cię widzieć, Ariello!”).

Idę na górę poszukać łazienki, zaglądam do sypialni. Zamykam drzwi, rozgaszczam się. Cam i Betsy nie mają nic ciekawego w szufladach.

Życie na wydziale nauk społecznych wyobrażałam sobie zawsze jako spektakularne orgiastyczne szaleństwo: każdy śpi z każdym, lata ciasnoty sprzyjają dziwnym koligacjom, ogólnie jedna wielka kazirodca, makiaweliczna psychodrama. Wszystkie te potężne, nieuporządkowane mózgi leżą na materacach z cudzymi mężami i żonami i czytają Foucaulta w świetle nowoczesnych papierowych lamp w stylu vintage, w pustych poza tym pomieszczeniach. No może gdzieś jeszcze jakieś drzewko szczęścia czy fikus. Omawiają problemy filozoficzne, sens życia, naturę moralności i ogólnie „jak się sprawy mają” bez uciekania się do pierdół czy powierzchowności. Coś w rodzaju najbardziej nastrojowej i błyskotliwej, najzabawniejszej i najseksowniejszej telenoweli wszech czasów, ze świetną muzyką w tle. Enklawa istot wyjątkowych, które nie podlegają prawom zwyczajnego świata, rozmawiają o tym, co ma znaczenie, i przez to same nabierają znaczenia. Coś jak artyści, tylko jeszcze lepiej, bo wzorcowy artysta powinien być kompletnym świrem i/lub umrzeć młodo.

Ale nic z tych rzeczy. Nikt tu nie uprawia żadnego seksu. Jest grzecznie, ambitnie, sztucznie, pretensjonalnie, krępująco i nudno, a wszyscy dmuchają zapobiegawczo i bez przekonania w ledwo żarzące się węgle czegoś, co kiedyś roznieciło prawdziwą ciekawość czy pasję. Wszyscy są rozgoryczeni ocenami, zebraniami, studentami i rozmawiają o totalnych bzdurach. Banda ograniczonych samozwańczych męczenników, tylko w imię czego się tak męczą?

Paul znajduje mnie minutę albo godzinę później, jak śpię twardo, rozwalona w pościeli Cama i Betsy.

– Myślisz, że się tu pieprzą? – zastanawiam się głośno, wstając z łóżka.

Nie odpowiada. Będą kłopoty.

Dawno się tak dobrze nie bawiłam.

Byłam typową, dużą, okrągłą, szczęśliwą panią w ciąży. Zdajecie sobie sprawę, jacy wszyscy są mili dla kobiet w ciąży? (Pomijając dzieciaki Mansona). Mówię to bez ironii; nie da się lekceważyć takiego błogostanu. Zrobiłam się wielka i pełna życia. Żadnej ironii. Ani ułamka. Ani ułamka ułamka.

Jasne, był jeden czy dwa momenty nagłego olśnienia typu „cholera, to się naprawdę dzieje”. Ale te momenty nie zakłóciły ogólnego błogostanu, ani troszeczkę.

Nadeszła powolność i niewygodność, a potem większa powolność i jeszcze większa niewygodność, a w końcu zniecierpliwienie. Już zaczęłam myśleć, że do końca życia będę w ciąży. Paul grał mi na nerwach. Pewnie miło by było mieć koło siebie jakąś kobietę. Siostrę, matkę, ciotkę, kuzynkę, przyjaciółkę. Może właśnie brak którejkolwiek z nich zaczął w pewnym momencie trzeszczeć i skrzypieć, z początku cicho, ledwie słyszalny i jednostajny. Może wzięłam go za biały szum mojego brzucha, przypominający nieustannie o magii, jaka się w nim dokonuje. A kiedy uświadomiłam sobie, że nie jest dobrze, było już bardzo niedobrze.

Dobra! Okej. Najwyższy czas, żeby nazywać dziecko po imieniu. Ma już ponad rok, a ja ciągle tylko „dziecko” i „dziecko”. Gaworzy sobie przyjemnie, wyciąga do góry szczoteczkę do zębów. Lubi myć innym zęby. Ma obsesję na punkcie książeczki o szczoteczkowym kowboju zwanym Charley. Jego paplanina brzmi jak mowa, ale nie do końca nią jest. Mój ojciec i macocha, nasi goście, obserwują je uważnie.

– W dzisiejszych czasach często występuje autyzm – zauważa Sheryl ze zmarszczonym czołem, jeśli nie zdecydowała się akurat na maskę obojętności. – Czy on nie powinien już (cokolwiek, kurwa, robią wnuki moich wszystkich koleżanek)?

– Walker! – krzyczy mój tata, wyciągając paluszek serowego albo zabawkę albo trzymając banana tak, jakby to był telefon. – Walker, chodź tu! Jak masz na imię? Wiesz, jak masz na imię? – Walker zgarnia łapówkę, olewa starego wariata i idzie dalej. To akurat świadczy o jego niewątpliwej inteligencji.

Sheryl mówi na nas „artyści”, bo mieszkamy tu, gdzie mieszkamy, nosimy wygodne buty, jesteśmy w wieku reprodukcyjnym i jeździmy na rowerach. Wydaje jej się, że jestem wizjonerką w sprawach nieruchomości, bo w 1999 roku przeprowadziłam się do głównianego mieszkania w głównianej okolicy na Brooklynie. Regularnie zwraca moją uwagę na to, co media mówią o Brooklynie.

– Zobacz, nowa restauracja na BROOKLYNIE! Podobno zrobił się bardzo TRENDY.

Rozkoszują się tym, że są dziadkami, albo jakąś projekcją tego stanu, podobnie jak delektują się listą darów otrzymanych od życia: wszelkiego rodzaju pozyskiwaczami funduszy, czymkolwiek, co ma związek z Holocaustem, wszystkim, co pokazują w Muzeum Żydowskim, przesadnym strojeniem się na porywające kazania z okazji Dni Trwogi, w czasie których są wzywani do wysyłania pieniędzy

do Izraela i do głosowania na republikanów, jak dojdzie co do czego.

„Wybaczyli” nam, że nie obrzezaliśmy Walkera, ale Sheryl, jakby w proteście, wzdraga się przed zmienianiem pieluch.

Sheryl prowadzi organizację, która promuje żydowskie książki. O żydowskich matkach, córkach, ojcach, synach, którzy wracają do jidysz i do Izraela. Zwyczajne książki o jedynym ludobójstwie, z których moją ulubioną jest, wcale nie żartuję, *Kuchnia Ocalonych z Holokaustu*. Książki o dzieciach Ocalonych i książki pełne zdumienia dla równowagi emocjonalnej dzieci Ocalonych. O Żydach, którzy biorą ślub z nie-Żydami, o Żydach, którzy brzydzą się ślubów z nie-Żydami, o Żydach, którym własna żydowskość jest obojętna, o ludziach czy instytucjach oskarżanych o nieprzychylność dla Żydów i/lub Izraela. Książki z dowcipami o Żydach, którzy niedojadają/przejadają się albo którzy randkują przez Internet. Egzaltowane debiutanckie powieści o mistycznym zadośćuczynieniu dla zagazowanych kochanków. Literackie cegły, w których odległe sprawy – kręgle, syjonizm – łączą się w nieprawdopodobne metafory. Postapokaliptyczne sagi, w których Na! Świecie! Został! Już! Tylko! Jeden! Żyd!

Wszystko to obraca się właściwie wokół własnego tyłka. Ale rzecz w tym, że Sheryl nie za bardzo czyta cokolwiek poza tym. No bo nie zna za dobrze Malamuda czy Bellowa. Nie wie, kim była Gertrude Stein. W życiu nie słyszała o Paulu Celanie. Często myli beletrystykę z literaturą faktu. A kiedy Philip Roth dostał Pulitzera, potrząsnęła energicznie głową i orzekła: „żydowski antysemita”.

Mój ojciec to Okulista nad Okulistami. Natychmiast (dosłownie natychmiast) po śmierci mojej matki ożenił się z zyskującą popularność niemiecką emigrantką młodszą od niego o dziesięć lat, która miała sentyment do Żydów (tak, tak, przecież teraz nas kochają). Związek skończył się przed upływem roku, kiedy ojciec uświadomił sobie, że ożenił się z zyskującą popularność niemiecką emigrantką młodszą od niego o dziesięć lat, która miała sentyment do Żydów. No i okazało się oczywiście, że Astrid chciała mieć dzieci, a stary Norman już chyba nie odczuwał takiej potrzeby. Astrid mówiła, że przejdzie na judaizm, ale nie robiła nic w tym kierunku. Miała najostrzejszy podbródek, jaki kiedykolwiek widziałam. Nie łączyło nas zbyt wiele, chociaż z zapalem obdarzała mnie teatralnymi uściskami, kiedy ojciec kręcił się w pobliżu. Mój ojciec, ślepy okulista.

– Ona mnie nienawidzi! – Usłyszałam kiedyś przez ścianę, jak szłocha Astrid.

– Kochanie, daj sobie trochę czasu.

– Nie, Norman. Ona mnie nienawidzi. Nienawidzi, Norman.

Miałam piętnaście lat i cieszyłam się, że całe zamieszanie związane ze śmiercią mojej matki już się skończyło, byłam gotowa, żeby pójść dalej, żeby zacząć żyć. Nie czułam do Astrid nienawiści. Nienawiść wymaga miłości. Poza tym, heloł, klasyczny błąd macochy: tutaj nie chodzi o ciebie.

A potem, bam, kilka miesięcy po zniknięciu Astrid Norman wpada na ulicy na kobietę, którą pamięta mgliście z liceum na Bronksie, i łął, znowu są razem, i ojej, jakie to niesamowite, że życie

samo z powrotem łączy ludzi, a Arlene jest w separacji i ma szesnastoletnią córkę, Lindsay. Na wiosnę zabrali nas obie na lunch do Rumpelmayera. Poważnie, wcale nie robię sobie jaj: do przyjaznego dzieciom Rumpelmayera. Zamówili nam desery lodowe z wisienkami na wierzchu, mimo że obie nosiliśmy już tampony, a Lindsay przygotowywała się do pierwszego loda.

– Ładna bluza – powiedziała.

Co w tłumaczeniu, jeśli nie mówicie płynnie po dziewczynsku, brzmi: Nie będę próbowała niszczyć ci życia, jeśli ty nie spróbujesz zniszczyć mojego.

– Dzięki. Fajne buty.

Zgoda.

Arlene i Norman pojaśniali na twarzach, udawali, że przeglądają menu. Historia miłosna trwała mniej więcej pół roku, po czym Arlene zdecydowała się wrócić do swojego męża, ojca Lindsay. Jak mówiła Lindsay, udawali, że nic się nie wydarzyło.

Potem było kilka lat najsmutniejszego randkowania w historii. A później pojawił się Internet i w końcu ojciec znalazł Sheryl. Internet! Dom cudów. Wyglądają na szczęśliwych. Cieszy mnie to. Sheryl ma w Westchester dwóch obleśnych synów po czterdziestce, których widziałam chyba w sumie ze trzy razy; mylą mi się ich żony i dzieci. Jedna jest Lauren, druga Fiona. A dzieci to Cayden, Hayden, Jaden i Bredon.

Sheryl upiera się, żeby wrócili do domu przed zmrokiem. Nie cierpi tu przyjeżdżać, nie cierpi jeździć samochodem, jest przekonana, że jazda po ciemku niewiele się różni od włożenia sobie naładowanego pistoletu do ust.

– Kocham cię, tato.

– Zastanów się nad Świętem Dziękczynienia.

– Zastanowię się.

– Może wpadniemy w przyszły weekend.

– Nie, Norm, w przyszły weekend mamy kolację z Jody i Harrym.

Nawiasem mówiąc, jutro mija siedemnaście lat, od kiedy pochowaliśmy moją matkę. Ojciec o tym nie wspomina. Nie potrafię stwierdzić, czy myśli, ale nie chce mówić, czy w ogóle nawet nie myśli. Ale ja też nie wspominam o tym ani słowem, więc...

– Wszystko dobrze? – pyta Paul. Rozwija nitkę dentystyczną. Wie, że powinien pytać, jeśli czuje, że właśnie nie jest ze mną za dobrze. To nawet urocze, że robi się taki nerwowy i niepewny, kiedy tylko musi mnie zapytać o stan emocjonalny, jakbym była potencjalnym ładunkiem wybuchowym, a on wojskowym owczarkiem niemieckim.

Wypluwam pastę do umywalki.

– Rocznicą.

Byłoby strasznie, gdyby śledził takie rzeczy, ale czuję się dziwnie zraniona tym, że nie pamięta. Ten dzień zdarza się co roku, a jesteśmy razem już ile, trzy lata? Czuję coś w rodzaju: nie każ mi tego mówić, dobrze? Po prostu wsadź swój symboliczny cycek w moje symboliczne usta, zrób coś, żebym poczuła się lepiej. Zwiń się przy mnie w kłębek jak wierne psisko, bądź blisko, oddychaj. Opowiedz mi dowcip, przynieś mi czekoladę i herbatę, pocałuj mnie, wymasuj mi plecy, rozśmiesz mnie, obejmij mocno i porządnie, zamknij się i bądź przy mnie.

Olśniewa go.

– Twoja mama. – Podchodzi z otwartymi ramionami. – Och, skarbie.

– W porządku – mówię, bo nie chodzi o to, że przypominam sobie, że nie żyje, albo znowu jest mi smutno, że nie żyje, albo coś równie mało skomplikowanego. Ona ciągle nie żyje, a czas odwała całkiem niezłą robotę, cokolwiek by to, do cholery, miało znaczyć. To bardziej jakby ktoś wrzucił mnie z powrotem w gówno, jakbym nadal miała jedenaście, dwanaście, trzynaście lat, tkwiła w samym środku bitwy. Logiki brak. Nie da się wytłumaczyć.

– To jest jak spirala – mówię mu. – Jak oko cyklonu. Koszmar z wywróconą czasoprzestrzenią. Jakbym była uwięziona w kopalni.

Oczywiście nie rozumie. No bo jak? Jego studwuletni dziadek właśnie dostał się awansem do kolejnego skrzydła domu opieki, tego, z którego wyjeżdża się już tylko nogami do przodu, i jak dotąd jest to najtragiczniejszy przypadek w rodzinie.

Patrzy na mnie tak, jak zawsze kiedy chce zasugerować wizytę u masażysty, całodzienną wycieczkę po galeriach i sklepach Hudson albo że „może już czas, żeby z kimś porozmawiać; Ari, może potrzebujesz czyjejś pomocy”.

Żadnego pożytku.

Zastanawiam się, czy Mina już urodziła. Może zapukam do niej z blachą ciasta – powiedzmy wegańskiego z gruszkami, migdałami i cynamonem – chociaż w życiu nie udało mi się nic upiec. Będzie pewnie we wczesnej fazie porodu, będą tańce, Neil Young w tle, palenie szalwii, imprezka, happening, krąg znajomych. Mnóstwo kobiet, Mina w centrum, zaproszą mnie do środka, powiedzą, żebym została i pomogła, żebym dołączyła do kręgu. Będziemy krążyć wokół niej w jakimś pierwotnym tańcu zaczerpniętym od nieznanymi przodkiń, od tych, które były wcześniej niż te, które były wcześniej niż te, które były wcześniej.

Będziemy ją uspokajać i dodawać otuchy – „mmm-hmmm, tak”, powiemy, „tak, tak, dobrze, dobrze” – przez cały czas będziemy ją podtrzymywać, dzielić z nią pot, wysiłek i chwałę. Niezłomne, niezachwiane, nieporuszone, mężne. Dokonamy niemożliwego i staniemy się siostrami.

Nie mogę spać. Szop, wiewiórka czy co tam właściwie jest, łązi w ścianach i skrobie. Tup, stuk,

tup.

Trochę głupio tak udawać, że pracuję nad doktoratem. Nad niczym nie pracuję.

Matka mojej matki miała predyspozycje do poronień. Sporo ich przeżyła, nie wiem ile dokładnie. Więcej niż kilka. Może była to sprawa genów, może trauma, może zjawisko paranormalne, a może Dobry Bóg w Swojej Nieskończonej Mądrości po prostu nie chciał, żeby rodziła dzieci, nie po tym wszystkim, przez co przeszła, z czego ocalała.

W końcu, kiedy była w ciąży z moją matką w zaawansowanym wieku trzydziestu dwóch lat, przepisano jej cudowny lek. A nawet lepiej: eksperymentalny cudowny lek. Dietylstilbestrol. W skrócie DES. Jakiś sztuczny estrogen. (Zdradzę wam praktyczną zasadę. W momencie, w którym ktokolwiek wypowie słowa „cudowny lek”, zwiewajcie. Szczególnie jeśli chodzi o cudowny lek na kobiece dolegliwości. Spieprzajcie natychmiast. Trzymajcie się z daleka. Nie mają zielonego pojęcia, co z wami robią, i Naprawdę Im Nie Zależy).

No i rzeczywiście stary dobry DES zapobiegł poronieniu, ale dodatkowo – a, no tak, uups, niechcący, sorry! – jeszcze przed urodzeniem skazał dziecko na wszelkiego rodzaju choroby nowotworowe. Mówi się nawet o Córkach DES. Jest jeszcze za wcześnie, żeby stwierdzić, czy my, Córki Córek, będziemy miały „oznaki”, jak się to eufemistycznie określa, ale spoko, śledzę to, kurwa, z zapartym tchem.

Co kilka lat dostaję przesyłkę z Centrum Zwalczania i Zapobiegania Chorobom. Dużą białą kopertę osiem na dziesięć z logo Zdrowi-Bezpieczni-Obywatele. Jest coś złowieszczonego w tym, że potrafią mnie wszędzie wytropić, ci moi kochani epidemiologiczni kuratorzy.

Pierwsza przesyłka wylądowała w mojej skrzynce na pierwszym roku studiów. Wybełkotałam coś o tym lekarzowi z przychodni studenckiej, z powagą podałam kopertę, bełkot bełkot DES coś tam matka zmarła bełkot rak bełkot.

– To prawdopodobnie bez znaczenia – odpowiedziała lekarka i wzruszyła ramionami, przeglądając zawartość przesyłki. (Moja matka zmarła w wyniku lekarskiej pychy. Bez znaczenia? A! No przecież).

A potem zaproponowała mi pigułkę, po której ma się okres tylko cztery razy w roku.

– To nowość – powiedziała, niemalże piszcząc z podniecenia – i jaka wygoda!

Marzy mi się, żeby któregoś dnia otworzyć kopertę i znaleźć w niej list napisany w innym stylu. Coś o tym, że „w imieniu wszystkich zaangażowanych gorąco przepraszamy za krótkowzroczność i lekkomyślność, z jaką potraktowaliśmy zdrowie reprodukcyjne Pani przodków... nasza wina... obiecujemy przestać w Was grzebać, Drogie Panie” i tak dalej.

Tak czy inaczej, moja matka sama miała potem ogromne problemy z zajściem w ciążę. To był akurat moment, kiedy zaczynało się mówić o Córkach DES, o tych wszystkich przerażająco zdeformowanych narządach rozrodczych, no nie, kto by się spodziewał? Więc musieli założyć, że im

się nie uda, nie mieli wyboru, musieli się z tym pogodzić. In vitro było jeszcze ciągle znakiem zapytania z gatunku science fiction, chociaż ten pierwszy słynny stworek doświadczalny z Anglii urodził się dokładnie w tym samym roku. Moi rodzice byli małżeństwem już od jakiegoś czasu i zdążyli oswoić się z tą myślą. Okazało się, że wiele Córek DES jest w podobnej sytuacji. Zdeformowane narządy rozrodcze mojej matki w końcu zadziałały, ale słabo i, oględnie mówiąc, wybuchowo. Rak dał o sobie znać pół roku po – niespodzianka – moim urodzeniu.

Pułapka Willa zdała egzamin. Hurra! Od rana trzęsie się w niej przerażona wiewiórka. Zupełnie jak dziecko po przyjeździe ze szpitala do domu. Patrzymy na siebie. Stara/młoda twarz, śmiertelnie nieufna, ale pełna świeżości. Mruga? Oddycha? Co teraz? Robi mi się przykro. Z powodu wiewiórki i z powodu Walkera – noworodka. Kłopotliwa sytuacja, być tutaj i w dodatku żyć. To się nie może dobrze skończyć.

Will podnosi pułapkę swoimi wielkimi, grubymi, płóciennymi rękawicami i pakuje ją do samochodu. Siadamy na schodach.

Niechący muska mnie w udo i czuję, jak przepływa między nami prąd, no jasne, że przepływa, tak to już jest, jesteśmy tu wszyscy dorośli. Po chwili się odzywa.

– Jak tam pisanie?

– Nieważne.

– Właściwie to nie mam pojęcia, o czym piszesz.

– Ani ja.

Czeka.

– O dziewczynach – mówię w końcu. – Doktoryzuję się z Algorytmów Dziewczyńskich.

Jest gotów wziąć to na poważnie, niebagatelny dar. Jedyne, co mogę teraz zrobić, to na moment wziąć samą siebie na poważnie.

– Napisałam magisterkę o tym, że organizacje feministyczne bardzo często się rozpadają, opublikowali mi to w piśmie, które czyta dziewięć osób, dostałam stypendium na zrobienie z tego doktoratu i dałam się w to wciągnąć.

Naprzeciwko nas stoi rząd szeregowców. Beżowy, granatowy, ciemnozielony, bordowy. Każdy ma kontrastowe wykończenia. Wiele osób chciało dostać to stypendium. Mnie się udało.

– To dlaczego organizacje feministyczne się rozpadają?

– Bo kobiety zachowują się wobec siebie jak chwiejne, wściekłe, rywalizujące pizdy. W skrócie. Są archiwa z nagraniami tych co bardziej znanych. Kobiety w stricte kobiecych grupach po prostu rozrywają się na strzępy.

Wybuch śmiechem. Ja też zaczynam się śmiać i to uczucie jest jak świeże powietrze, jak źródłana woda. Dopiero kiedy znowu się zaśmiejesz, uświadamiasz sobie, że nie śmiałeś się od cholernie

długiego czasu.

– Kiedyś naprawdę mnie to kręciło, wiesz, Adrienne Rich, Andrea Dworkin... Boże, Andrea Dworkin. Byłam sobie małą radykalną studentką, homoświruską, która zdzierała gardło na koncertach Ani DiFranco, potem szast-prast i po magisterce, a teraz stoję w kolejce po doktorat.

– To całkiem nieźle.

– Pewnie tak, tylko że już mi nie zależy. Moja promotorka właściwie spisała mnie na straty, a niedługo skończy się stypendium i będę mogła przestać udawać, po prostu przyznam się, że nie wypaliło i że nie zamierzam dalej tego ciągnąć. I nie wiem, co potem ze sobą zrobię. Może urodzę kolejne dziecko. To miał być żart i nawet powiedziałam to z głupkowatą kpiną w głosie. Ale wcale nie jest mi do śmiechu, kręci mi się w głowie.

Podnoszę kawałek porzuconej żółtej kredy chodnikowej i zaczynam bazgrać. Dopiero kiedy naprawdę z kimś porozmawiasz, uświadamiasz sobie, jak rzadko rozmawiasz z kimkolwiek. Mam dziwne poczucie, że Will mnie lubi. Paul jest genialny w łóżku, w rozwiązywaniu problemów, w logistyce. Postępuje zgodnie z instrukcjami. Świetnie prowadzi. Dbą o to, żebyśmy mieli z czego żyć. Ale Paul niekoniecznie dotrzymuje mi towarzystwa. I nie ma co go winić.

Will zapala papierosa. Wyciągam rękę, chcę się zaciągnąć. To najdłuższa rozmowa, jaką dotąd odbyliśmy. Papieros był błędem.

– Ja chyba, hm, trochę straciłam głowę przez ten rok?

Ha, ha, ha, ha, ha. Ha, ha, ha, ha, ha, ha!

– No – mówi w końcu. – Chyba wiele kobiet przez to przechodzi.

– Przez co, rzucają doktoraty?

– Tracą głowę. Po urodzeniu dziecka.

Siedzenie tu na schodach wymaga ode mnie wytężonej uwagi. Drugie zaciągnięcie to też nie najlepszy pomysł. Jest wietrznie i zimno, a ja nie mam czapki ani rękawiczek. Cieknie mi z nosa.

– Dzięki za pomoc przy wiewiórcie.

– Nie ma problemu.

Moglibyśmy wsiąść do jego samochodu, pojechać aż nad brzeg najdalszego oceanu i nigdy nie wrócić. Takie rzeczy już się zdarzały.

Zamiast tego wchodzimy do środka. Proponuję herbatę, on odmawia, jakbym zaczynała się robić kłopotliwa.

– Przepraszam – mówię ni z tego, ni z owego.

– Nie przepraszaj – odpowiada, wychodząc. Ma na sobie szarą koszulę flanelową w kratę, dokładnie w takim samym kolorze jak jego oczy, jasna cholera.

Moja matka nie była piękna, ale tak ją zapamiętano, przynajmniej tyle ma z przedwczesnej śmierci.

Jeśli przycisnąć mojego ojca, żeby o niej opowiedział, to przyznaje, że była „humorzasta”. Co jest niezwykle zabawne, jak wszystkie eufemizmy.

„Suka z piekła rodem” – nagryzmoliłam w pamiętniku, kiedy miałam dziewięć lat. Zmusiła swoje jedyne dziecko, żeby mówiło do niej Janice. Używała siły i gróźb dla swojej zasranej zabawy. Płaciła komu innemu, żeby zajmował się jej dzieckiem, i traktowała tego kogoś okropnie.

Kiedy była w dobrym nastroju, mogła zabrać mnie na zakupy albo na lody i urządzać kolacje dla gości z na wpół szaleńczym błyskiem ożywienia w oku. Kiedy miała bardziej mroczny nastrój, dawała popis gniewnych min, biegła wściekła, spędzała po parę dni w łóżku, mówiła mi i ojcu okropne rzeczy. Jeśli była zła albo smutna, cierpienie było nieuniknione. Mroczne okresy bardziej zapadły mi w pamięć, przysłaniając pogodne. Niczym złowieszczą mgła.

Poniżała nasze gosposie, doprowadzała je do płaczu. Wołała latynoski od czarnych, bo czarne gównu to obchodziło. Za to latynoski dawały się gnoić, jak profesjonalne gnojarki, czyli tak, jak lubiła.

Pamiętam całą serię przerażonych, płaszczących się, brązowych kobiet: „tak, Pani Janice, dobrze, Pani Janice, ja przepraszać, Pani Janice, och, Pani Janice, ja bardzo przepraszać”. Dawała im podwyżkę za każdym razem, kiedy przetrwały poniżający epizod, a na koniec zwalniała je za jakiś drobiazg. Cała parada brązowych kobiet uciekała z płaczem z naszego mieszkania. Niektóre całowały mnie przed wyjściem. Dawały hiszpańskie błogosławieństwa; byłam ich małą pobrecitą. Jedna, przyciskając mi usta do czoła, powiedziała:

– Moja śliczna, moja śliczna, żegnaj. Ja się będzie modlić.

Chociaż trzeba przyznać, że raz na jakiś czas Janice robiła ciastka czekoladowe i pozwalała mi zlizać ciasto z mieszadeł, więc nie była aż taka zła.

Nosiła malutkie złote kółka w uszach. Raz zrobiła sobie trwałą (wielki błąd). Uwielbiała filmy. Delektowała się popcornem. Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś się tak czymś delektował. Wprost pochłaniała kulturę. Była na każdej wystawie. Wszystkim się pasjonowała. Czytała każdą książkę. Wcześniej zrozumiałam, że to, czego ona mi nie da, znajdę w książkach. Przynajmniej tyle od niej dostałam.

Ale przecież dziecko. Dziecko. Za mało mówię o dziecku. Walker. On – osoba! Mój syn. We własnej osobie. Mały równiacha. Moje słońce, mój kochany przystojniak. Jeśli się zabiję, to może wyrośnie z niego poeta.

Przez kilka pierwszych dni cierpiałam na samoistne wycieki, co brzmi jak objawy jakiejś strasznej choroby, a oznacza tylko tyle, że wszędzie było mleko. Cały czas chodziłam przemoczona. Bez przerwy musiałam wsadzać sobie pieluchy tetrowe pod bluzkę. Wielka, stara, cieknąca, żalonna

fontanna – to byłam ja. Mały przysysał się z jednej strony, a z drugiej po prostu tryskało. Musiałam zacząć karmić go na leżąco, żeby grawitacja trochę to spowolniła.

Nie chciał spać. Byłam przekonana, że operacja mu zaszkodziła, że zrujnowała jego szanse na szczęście. Ciągłe był głodny. Potrzebował przytulania, potrzebował karmienia. Srał w pieluchę, sikał w pieluchę. Płakał, potrzebował przytulania, potrzebował karmienia. Niekończące się potrzeby. Nie rozumiałam, jak to możliwe, że nie ma ani chwili przerwy. Zero odpoczynku. To się po prostu nie kończyło. Ciągnęło się i ciągnęło, i ciągnęło. Bez końca. A ja nie mogłam oddać go Paulowi, nawet na minutę, bo był mój, rozumiecie, mój, moje dziecko, moja odpowiedzialność, tylko i wyłącznie moja. Musiałam stać przy nim na straży, upewniać się, że jest bezpieczny, że wszystko jest w porządku, że oddycha, że jest kochany, zdrowy i zawsze blisko mnie. Odczuwałam niemalże fizyczny ból, kiedy nie trzymałam go w ramionach. Każda cząstka mojego ciała krzyczała: Nie! Morduj! Gdzie on jest? Przytul go! Mocno! Nie puszczaj!

To było o wiele bardziej wyczerpujące fizycznie, niż mogłam przypuszczać. A po operacji już sam fizyczny aspekt tego wszystkiego był szczególnie uciążliwy. Czy dziecko było trudne, bo matce było trudno, czy raczej matce było trudno, bo dziecko było trudne?

Odmawiał spania. Spać, dlaczego nie chce spać? Kiedy wreszcie zaśnie? Potrzebowaliśmy snu. Cała nasza bezsenna trójka. Położyć się i spać. To wszystko było bez sensu. Spać. Spać. Spaaaać.

No więc po płaczącym telefonie – „dodatkowa para rąk”, błagałam, „potrzebujemy tu dodatkowej pary rąk” – ojciec i Sheryl zajęli nasz salon, nosili dziecko i w nieskończoność robili sobie razem i sobie nawzajem zdjęcia z dzieckiem.

Parę razy zrobili też przerwę, żeby zwymyślać nas za nieobrzezanie.

– Robicie wielki błąd – powiedział mój ojciec, zwracając się głównie do Paula. A potem do mnie. – Nie masz pojęcia, jak to jest dorastać w szatni dla chłopców.

– Mieliśmy już wystarczająco dużo kontaktu z nożami, tato, dziękujemy.

Sheryl była równie zbulwersowana.

– Zero szacunku! Miliony zmarłych w obozach, a im się nie chce obrzezać syna.

Ojciec ze smutkiem pokręcił głową.

– Tego akurat mogliby przestrzegać nawet słabo praktykujący Żydzi.

– Daj spokój, Norm. Ona po prostu chce nas sprowokować. Będzie musiał obrzezać się później, jak zrobi się to potwornie bolesne.

Paul, w ich obecności zwykle cichy i życzliwy, wypalił wtedy:

– Dla dziecka też jest to potwornie bolesne, są na to dowody.

– Bzdury! – Sheryl nie była w stanie przywołać na twarz niezadowolenia. Zadowolenia też nie. – Jedno małe cięcie, dziecko nawet nie zdąży poczuć, a już jest po wszystkim.

– Mamy inne zdanie.

– No tak, dla was nic to nie znaczy. To nie wasze dziedzictwo.

Siedziałam tam i próbowałam karmić, zasłaniając się częściowo ze wstydu i upokorzenia. Ojciec czuł się wyraźnie skrępowany, kiedy odsłaniałam cycki, przybierał głupi wyraz twarzy, z którego było obrzydzenie, i przy każdej okazji wychodził z pokoju, żeby na mnie nie patrzeć.

Sheryl zajęła się swoim telefonem. W czajniku gotowała się woda na herbatę. Czajnik zaczął gwizdać.

„Kobieta, która znajduje się w pokoju, ma pod swoją opieką tyle osób, ile ich jest w pokoju” – napisała kiedyś Marianne. Podkreśliłam to sobie.

– Woda się gotuje – zauważyła Sheryl, ale się nie ruszyła.

Jesień już całkiem się poddała. Drzewa są nagie, a światło słoneczne zdecydowanie niewystarczające. Próbowałam uciec od tego i jeszcze przez jeden dzień chodzić tylko w bluzie, więc teraz zamarza mi tyłek.

Walker jest z Nasreen, a ja w sklepie. W południe przychodzą zwykle emeryci, popieprzeni lokalni artyści, zasiłkowcy i mamuśki z przedmieść, bo co ekologiczne, to najlepsze.

Robię sobie przerwę, żeby napić się herbaty w punkcie informacyjnym. Ciągłe mi się wydaje, że się tu z kimś zaprzyjaźnię, ale coś jest ze mną nie tak albo coś jest nie tak z tym miejscem, albo jedno i drugie, bo nie mam tu nikogo.

Dzisiaj Walker znowu płakał, kiedy odstawiałam go do Nasreen. Ciągłe go zawodzę, zawodzę i zawodzę.

Parę metrów ode mnie w nosidełku na podłodze leży zupełny noworodek. Jego matka próbuje podjąć decyzję co do bananów. Zwinięte kociątko, mrugający kłębek. Pączek róży. Surowy.

Jak można się odprężyć, kiedy coś takiego jest w pobliżu? Szczęka mi się zaciska, kończyny robią się zimne. Coś wlało mi w ramię, muszę pamiętać o oddychaniu. Dziwnie jest patrzeć, jak ludzie potrzęsają tymi kulkami niedopieczonego człowieczeństwa i szczebioczą do nich. Dziwnie jest oglądać je w miejscach publicznych. Zgaście światła! Wyłączcie muzykę! Padnijcie na kolana, do cholery, błagajcie o wybaczenie, odwróćcie wzrok, twarzą do ziemi, módlcie się.

Za każdym razem, kiedy widzę kobietę w ciąży, mam ochotę chwycić ją za ramiona i nią potrząsnąć. Dosłownie potrząsnąć. Jesteś gotowa? Nie, nie czy wybrałaś dla swojego dziecka imię, płeć i styl! Nie, nie czy znasz wszelkie możliwe procedury medyczne! Chodzi mi o to, czy jesteś gotowa?! Tak duchowo, suko. Duchowo.

W końcu pewnego chłodnego popołudnia, kiedy zaczynałam już odchodzić od zmysłów i pogrążyć się w rozpacz, zapukałam do drzwi Crispina i Jerry’ego z noworodkiem w chuście. Paul siedział do

późna na dyżurze. Paul ciągle gdzieś był i coś robił. Nadal należał do świata. Nadal był panem własnego ciała, umysłu i ducha. Czułam się, jakby mnie unikał. Zaczęłam go trochę nienawidzić, bo ja też bardzo chciałam unikać samej siebie.

Crispin i Jerry zawsze byli dla nas mili. Ciasto, kiedy się wprowadziliśmy; zapiekanka z polenty, kiedy wróciliśmy ze szpitala. Pomyślałam, że podziękuję im osobiście za zapiekankę, która była przecież taka pyszna.

Kiedy Jer otworzył drzwi, śmiał się właśnie z czegoś, co powiedział Crisp. Ich dom był jasny i ciepły i pachniał, wcale nie żartuję, świeżym chlebem. W tle Rickie Lee Jones śpiewała jakiś wyjątkowo jazzowy kawałek.

Jer spojrzał na mnie, a jego uśmiech momentalnie zgasł.

– Wszystko gra?

– Dziękuję za polentę. Zapomniałam waszego naczynia, przepraszam. Umyłam je.

– W porządku. Nie ma za co. Wejdiesz?

– Nie wiem, chyba zaczynam trochę tracić głowę? – Słyszałam jakieś obce zawodzenie w swoim głosie. Walker spał na mnie, zwinięty pod płaszczem.

– Wejdz, kochanie.

– Przepraszam. Potrzebuję tylko. Nie wiem. Mogę po prostu pobyć tu przez chwilę? Nie chcę wam przeszkadzać. Jeśli jesteście zajęci. Bo w naszym domu jest... Chyba po prostu zaczynam tracić głowę? Wiecie, co mam na myśli? Bardzo jesteście zajęci?

Rickie Lee Jones grała bebop, a Crisp zakręcił biodrami, żeby pokazać mi, jak bardzo są zajęci.

– Tak, kotku, jesteśmy zawałeni robotą.

Nakarmili mnie. Szeptali i chichotali nad dzieckiem. Zrobili spontaniczną, kameralną imprezkę, a kiedy kilka godzin później odesłali mnie do domu, czułam się prawie poskładana do kupy, prawie jak człowiek.

>„Jakieś plany na wieczór?“, pisał Jerry po kilka razy w tygodniu, co z czasem zamieniło się w krótkie „Wpadnij“, a później po prostu zaczęłam do nich wpadać.

Zawsze coś się u nich gotowało, coś się piekło. Coś prosto od rolnika, coś świeżego, lokalnego, sezonowego. Jerry był fenomenalnym kucharzem, skromnym i wyluzowanym, z wrodzonym talentem. W miarę jak dni stawały się coraz jaśniejsze i dłuższe – dziecko zaczęło się przekręcać, siadać, ząbkować, jeść mus jabłkowy – mój stan ustalił się na poziomie „w miarę okej” i pomyślałam sobie: Może mi przechodzi. Może jest już okej.

Któregoś wieczoru po kolacji Jer podał mi skręta, a Crispin wyciągnął zapalniczkę.

– Dobre lekarstwo – powiedział.

Ostatni raz paliłam, jeszcze zanim pojawiło się dziecko, zanim się tu przeprowadziliśmy. Nie miałam źródła, więc pomyślałam: Dobra, spróbujmy żyć bez tego. Ale teraz nie byłam już w ciąży.

A życie bez tego nie wychodziło mi za dobrze.

Spojrzałam na dziecko, które spało na kocu na podłodze.

– Nic mu nie będzie – powiedział Jerry. – Otworzymy okna.

– Ale co z mlekiem?

Crispin objął mnie ramieniem.

– Groszku mój pachnący, śmiem twierdzić, że twój stan psychiczny stanowi obecnie największe zagrożenie dla tego dziecka. Wszystko, co może pomóc ci się odprężyć, może wyjść mu tylko na dobre. Już raz, przy urodzeniu, podali mu gigantyczną dawkę ostrych środków przeciwbólowych, prawda? A to jest tylko głupia trawka. Nie martw się. Poważnie. Trzymaj.

Dobra. Byłam z powrotem w domu. Śmiałam się do łez. Śmiech działał jak transfuzja. Mój Boże! Tak bardzo mi tego brakowało. Poczułam, jak topnieją wszystkie zastoje. Rany, jak mi tego brakowało. Pierwszy wydech przypominał zanurzenie się w gorącej kąpeli. Deszcz po suszy i tym podobne. Okazało się, że miałam dosyć mocno zaciśnięte szczęki.

Crisp opowiedział o swojej rodzinie, o tym, jak go odrzucili, kiedy się ujawnił. Stwierdzili, że to wbrew naturze. Że wstyd. Nie byli bogaci. Tata w marynarce wojennej. Mama prowadziła zajęcia z gospodarstwa domowego, dopóki nie zostały stopniowo wycofane ze szkół. Tak naprawdę to tylko jego tata był zagorzałym homofobem, ale mama nie potrafiła albo nie chciała mu się przeciwstawić.

– Pewnie oboje niedługo umrą – powiedział Crisp.

Jego siostra utrzymywała z nim sporadyczny kontakt.

– Czyli dostaję kartki na święta. – Siostra też sprawiała rodzicom trochę problemów, bo żyła samotnie aż do czterdziestki, po czym, kiedy wyszła w końcu za męża, nie była już w stanie rodzić dzieci. A wtedy rodzice wyłożyli oszczędności swojego życia – które zamierzali wydać na kilka podróży – i powiedzieli: Zróbcie sobie dziecko.

I tak sobie żyliśmy przez całą zimę, a potem całą wiosnę i całe lato też, dopóki ci durnie nie wyjechali.

Tak to bywa z kryzysami: ludzie, od których oczekujemy, że będą wtedy przy nas, okazują się do tego niezdolni i/lub niechętni, a inni, po których nigdy byśmy się tego nie spodziewali, dają nam dokładnie to, czego potrzebujemy, i w taki sposób, w jaki potrzebujemy. I prawie nigdy albo nawet w ogóle nigdy nie da się przewidzieć, którzy będą którymi.

Po raz pierwszy od czasu Walkera dostałam okres. („Ciotka przyjeżdża do miasta!” – krzyczała moja przyjaciółka Molly, kiedy zaczynała wariować, czuć się smutna i obolała i kiedy na jej idealnie gładkim podbródku wyskakiwał olbrzymi pryszcz).

Uświadomiłam sobie, że coś jest na rzeczy, już wczoraj, kiedy przeczytałam w gazecie o sześciolatnim chłopcu z Glens Falls, który przez przypadek strzelił sobie w głowę z pistoletu

ojczyma kolegi. Który leżał oczywiście naładowany w niezamkniętej szafce. Jakoś tak wychodzi, że broń zawsze leży naładowana w niezamkniętej szafce. I zawsze należy do ojczyma kolegi. Było tam zdjęcie chłopczyka w okularach. Z wielkim, niewymuszonym, szczerbatym uśmiechem. Powoli wzbierał we mnie niekontrolowany szloch, który odbił się echem w całym domu.

Przyszedł Paul z dzieckiem.

– Wszystko w porządku?

– Nie. Ten chłopczyk się zastrzelił.

Spojrzał na nagłówek, potem na zdjęcie.

– Aż dziwne, że nie zdarza się to częściej. – Paul, dziecko i martwy chłopczyk patrzyli na mnie wyczekująco.

– Nie no, wszystko w porządku. Po prostu świetnie, Paul. Nie wiem tylko, jak to w ogóle możliwe, że świat dalej się kręci, wiesz? Dlaczego tak łatwo się, kurwa, umiera, a tak cholernie trudno jest się urodzić? Jak może istnieć taki brak równowagi? Wiesz? Może jest jakieś wyjaśnienie? Potrafisz mi to wyjaśnić? Bardzo bym chciała, żeby ktoś mi to wyjaśnił. No bo co to ma być, do cholery? Ktoś musiał urodzić tego chłopca. Co to ma, kurwa, być?

Podał mi chusteczkę.

– Może się zdrzemniesz czy coś?

Chłopczyk z gazety dalej się uśmiechał.

Jeszcze o mojej matce.

Lubiła jeść spalone grzanki z margaryną na kawałku ręcznika papierowego. Raz rzuciła krzesłem w ścianę, kiedy po powrocie do domu zobaczyła, że mimo zakazu oglądam telewizję. Parę dni później przyszedł facet do naprawy ubytków tynku i farby. Nikt więcej nie wspominał o tym zdarzeniu.

Zachorowała, kiedy byłam mała, poprawiło jej się, znowu zachorowała, kiedy byłam w podstawówce, trochę jej się poprawiło, znowu zachorowała i już jej się nie poprawiło. Tak naprawdę, to nie byłam na bieżąco. Gównu mi mówili. Musiałam zbierać poszlaki i się domyślać. Jej choroba postępowała. Umarła, kiedy byłam w pierwszej gimnazjum, w listopadzie, do wakacji były jeszcze całe miesiące, a ode mnie zalatywało chorobą i śmiercią, pomieszany z zapachem dojrzewania – kolejnego zdradliwego rozkładu.

Wszędzie były jej zdjęcia; dom przypominał grobowiec: czarno-białe dziecko w oksfordkach na nogach, zarumieniona panna młoda z fryzurą à la Brigitte Bardot i z talią ściśniętą gorsetem. Dziwnie cicha przed czterdziestką, w dużych okularach, w których odbija się światło padające z okna, patrzy na mnie – noworodka, jak leżę w jej ramionach i wpatruję się w nią pustym wzrokiem. Czułam się tam jak na wariackim meksykańskim pogrzebie. Znalazłam nawet dziwny mały obrazek ze sklepu charytatywnego w Troy, przedstawiający czaszkę. Cały w odblaskowych kolorach, psychodeliczny.

Ojciec zapukał do mojego pokoju w nocy, kiedy się to w końcu stało.

– To już koniec, kochanie. Koniec. Wreszcie koniec. – Przytulił mnie mocno, za mocno, i płakał przez chwilę na moim ramieniu, a potem wyszedł i zamknął za sobą drzwi, zostawiając mnie samą z moją ciszą, książkami i piosenkarkami folkowymi. Sam koniec był rozczarowujący. Nie spałam do świtu, ale nie potrafiłabym powiedzieć dlaczego.

Cała klasa podpisała się na kartce z kondolencjami. Stado wymuszonych, zwichrowanych podpisów: czyste, wydestylowane upokorzenie. Miałam nadzieję, że uda mi się wyróżnić w jakiś inny sposób. Co za kompromitacja, że moja matka umarła, a ja byłam nagle taka ludzka i godna pożałowania. Wszyscy byli dla mnie mili, tacy sztuczni i promienni. Miałam ochotę im wytłumaczyć, że jej śmierć nie miała nic wspólnego ze mną. Ja nie umarłam!

Ale zdążyłam już wejść do innego świata i musiałam zostać tam nie wiadomo jak długo, w bliskim sąsiedztwie śmierci. Była w tym jakaś egzotyka; tylko ja nie miałam w sobie na tyle finezji, żeby przejść wtedy na gotyk.

Po jakimś czasie odpuścili mi, żeby zająć się napaścią na Jenny J. (choć jej ojciec przez krótką, ekscytującą chwilę groził pozwem). Z rozkoszą patrzyłam, jak chowa się przede mną w szkole, a jej oko zmienia kolor z granatowego na purpurowy, czerwony, a w końcu na zgniłozółty. Tak jest, suko. Uważaj. Próbowwała mnie unikać. Gapiłam się na nią w ramach tortur. Czułam się po tym lepiej.

Nauczyciele zwracali się do mnie, jakbym była przerażającym robotem, u którego niewłaściwy ton głosu albo zła kombinacja słów mogłyby spowodować zwarcie. Ojciec, zamiast rozmawiać ze mną sam (po prostu, o czymkolwiek), wysłał mnie do Jacka, mojego pierwszego psychiatry, który wiercił się na krześle, mówił „hmmm” i „to potężne uczucia”, a jego wzrok uciekał co chwilę na zegar nad moim ramieniem.

Zdradzę wam mały sekret o każdej żałobie, katastrofie, stracie i cierpieniu: po nich człowiek jest taki sam jak przedtem. Tylko bardziej.

Jack powiedział mi, że bym nie czuła się źle z moimi uczuciami, poradził napisać do matki list i zanieść na grób w Queens, napisać o wszystkim, co chciałabym jej teraz powiedzieć.

„Szkoda, że umarłaś, Mamo, kocham cię” – nic lepszego nie udało mi się wymyślić, a i to było kłamstwem.

Postanowiliśmy nie „robić” w tym roku Dziękczynienia. Co za ulga.

W zeszłym roku pojechaliśmy do miasta z Walkerem w nowym, toksycznym foteliku samochodowym. Rana ciągle mi jeszcze dokuczała. Nadal poruszałam się jak dziewięćdziesięcioletnia staruszka. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, Sheryl, mój ojciec, kuzynka Erica i cała reszta zdążyli oszaleć na punkcie indyka, skakali i kręcili się wokół niego, jakby był zrobiony z pieprzonego światła wiekuistego, i z trudem przyszło im odejść od niego na tyle tylko,

żeby nas przywitać. Indyk, indyk, patrzcie na indyka! Zabijcie mnie: myślałam, że to z dzieckiem za bardzo się cackają. Ojciec i Sheryl przepadają za tymi podrasowanymi zwłokami. Ekscytują się do granic możliwości doglądaniem martwego zwierzęcia.

Tak na marginesie, nie ma u nich żadnych zdjęć, na których byłabym ja albo moja matka. Ani jednego. Jest matka matki Sheryl na rosyjskim portrecie z końca dziewiętnastego wieku, matka Sheryl jako dziecko, ślub rodziców Sheryl, Sheryl jako przewodnicząca klubu studentek. Są jej synowie na zdjęciach z podstawówki, synowie z żonami na swoich ślubach, wnuki na zdjęciach studyjnych. Jest Norman z Sheryl na wycieczce grupowej, Norman z Sheryl na kolejnej wycieczce grupowej i Norman z Sheryl na jeszcze jednej wycieczce grupowej.

Zrobili dla nas sałatkę i miskę rozgotowanych warzyw („dla wegetarian!”), tak jakby to była świetna propozycja na obiad dla matki karmiącej, i to po operacji. Oczywiście musieli dodać sos z indyka do farszu, więc zjadłam chleb, sałatkę, rozwalające się warzywa i paskudne ciasto, które jeden z synów Sheryl przywiózł z FoodLandu. Aż trudno uwierzyć, jakie świństwa ci obleśni synowie Sheryl i ich żony nazywają jedzeniem. Te woskowane, modyfikowane genetycznie owoce, ten cały przetworzony syf, to gówno napakowane syropem glukozowo-fruktozowym, dekstrozą, olejem rzepakowym i konserwantami, oni na to wszystko mówią „jedzenie”. To, że jeszcze wszyscy nie pozdychali, świadczy chyba tylko o przyzwoitej jakości ich genów.

Przez większość czasu siedziałam na kanapie i karmiłam, jak to z noworodkiem bywa – karmi się i karmi, i karmi. Paul przynosił mi talerz, pytał ciągle, czy wszystko w porządku. W którymś momencie Sheryl próbowała zarzucić na mnie koc.

Później jedna z jej wnuczek podeszła i stanęła tuż przy mnie. Miała koło sześciu lat i przyglądała się z zainteresowaniem.

– Co on robi? – szepnęła, wpatrując się uważnie w pracujące usteczka dziecka.

– Pije mleko – odszepnęłam.

Miała jeszcze czas. Jeszcze przez chwilę stała nieruchomo, po czym pobiegła do swojej matki.

– TO DZIECKO PIJE MLEKO Z JEJ CYCUSIA – powiedziała teatralnym szeptem z szeroko otwartymi oczami.

Cały pokój wybuchnął śmiechem.

– No tak – zaszcebiotała jej matka tym diabelsko sztucznym głosem, którego ludzie używają do wkręcania własnych dzieci – ty tak nie robiłaś, prawda Hayden?

Hayden odpowiedziała, że chyba nie.

Moim następnym gościem na kanapie była Erica. Walker zasnął i wypuścił z ust mój nabrzmiały, jeszcze mokry sutek, którego nie zdążyłam na razie schować. Erica zrobiła taką minę, jakby patrzyła na świeże, parujące gówno. Wyciągnęłam pieluchę tetrową spod bluzki, gdzie tamowała wyciek z drugiego cyca, i zapięłam biustonosz do karmienia, nie budząc przy tym śpiącego dzieciaka, dumna,

że udało mi się w końcu opanować tę serię akrobacji. Gdyby się dobrze zastanowić, to jeszcze nigdy nie byłam z niczego taka dumna.

Erica siedziała ciągle z miną, jakby miała się zaraz porzygać, zacząć masturbować albo jedno i drugie. Dziecka zupełnie nie dostrzegła – niezmiennie fascynującej krzywizny jego czoła, zdumiewająco doskonałego noska, paznokci i powiek. Trzymanie go w ramionach nadawało nowy kształt rzeczywistości. Boleśnie oczywiste stawało się, że ludzie, ze wszystkimi swoimi tajnymi organizacjami i składami broni, niewiele wiedzą o życiu. W drugiej części pokoju toczyły się ożywione dyskusje o piłce nożnej, polityce i o nowym filmie science fiction, który zdaniem jednego z synów Sheryl miał efekty „odjechane w kosmos”.

– No dobra – zaczęła Erica. – Słuchaj. Chciałam porozmawiać z tobą o weselu.

– Mhm – odpowiedziałam.

Restauracja Cipriani, luty. Wielki zimowy bal. Od ponad pół roku się głodziła. Ja miałam być jedną z druhen i włożyć lawendową suknię. Po raz pierwszy od dawna zamierzałam wypić tam umiarkowaną ilość alkoholu. A ta umiarkowana ilość miała sprawić, że będę Zalana w Trupa. Nie mogłam się doczekać.

– No właśnie, więc Steve i ja czujemy, że to będzie naprawdę nasz dzień, wiesz?

– Jasne.

– Chodzi mi o to, że właściwie to tak naprawdę to będzie mój dzień. Mój dzień.

Chryste! Ile w tym braku akceptacji dla samej siebie, co za dziecinność i upośledzenie, żeby trzymać się kurczowo tego typu pomysłów! Jak jakiś dzieciak z zaburzeniami.

– A teraz, w czym rzecz – miała to przećwiczone. „Rzecz” wyłoniła się z bagnistego poczucia, że chociaż tyle jej się należy, cała w trzcinach, z błotnistym welonem na głowie i z wielkim bukietem w zaciśniętej dłoni. – Bardzo wielu naszych znajomych ma dzieci. I mimo że kochamy dzieci i kochamy dzieci naszych znajomych, i chcielibyśmy zaprosić wszystkich, zdecydowaliśmy, że nie możemy przyjąć ich wszystkich z dziećmi, a niesprawiedliwie by było robić dla kogoś wyjątek, więc chciałam, żebyś wiedziała, że nie zapraszamy dzieci na wesele. – Na pewno miała to przećwiczone; wyrecytowała całość bez zająknięcia. – Mam po prostu poczucie, że gdyby były dzieci, to odwracałyby uwagę ode mnie. No! – Na zakończenie zrobiła jeszcze wdech i głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Erica. Ja karmię. To jest noworodek.

Zacisnęła szczęki, gotowa się bić.

Odmówiliśmy nocowania u nich. W drodze do domu dziecko ryczało z tyłu, a ja z przodu.

– Nawet nie wiem, kogo mam najpierw uspokajać – powiedział Paul.

– Pieprz się – odpowiedziałam, bo tylko on był pod ręką.

W Ulster zrobiliśmy postój i pochłonęliśmy najbardziej obrzydliwą/niesamowitą pizzę z witryny

grzewczej, jaką kiedykolwiek jadłam.

Coś się we mnie przestawiło, już nie mogę zawrócić. (Tak powiedziała Thelma z *Thelmy i Louise*).

– Cześć, hm... przepraszam, że przeszkadzam? Jestem znajomym Miny Morris. Jesteśmy w hm... domu Crispa i Jerry'ego? Od rana nie ma wody. Ciepłej wody. Nie ma ciepłej wody. I ogrzewanie chyba wysiadło. Słyszemy takie dudnienie? Możesz do nas oddzwonić? Dzięki wielkie.

Męski głos. Przesłuchuję jeszcze trzy razy. Jeśli się nad tym zastanowić, to aż dziwne, że te domy w ogóle jeszcze stoją.

Will cieszy się na mój widok, mogłabym przysiąc, że się cieszy. Pachnie u niego kadzidełkiem Nag Champa. Bierze swój płaszcz. Idziemy na piechotę. Jest słonecznie, mroźno.

– Będzie miała dziecko. Może urodzić w każdej chwili. Może nawet teraz rodzi.

– Super. Możesz dać jej parę rad.

– Chyba musiałyby siedzieć po pachy w gównie!

Facet, który otwiera drzwi u Crispa i Jera, ma powyżej czterdziestki, niski, wełniane skarpety, przystojny, okulary, flanela. Brak mu pewności siebie, widać to od razu po ciuchach, które są ociupinkę przesadzone. Nienawidzi własnego ojca, chce mu zaimponować. Nie gardzi samym sobą na tyle, żeby nie było w nim narcyzmu. Szczerze podziwia mniejszych materialistów niż on sam, nie może się całkiem powstrzymać przed imponowaniem mniejszym materialistom niż on sam. Dorastanie wśród bogatych zmienia człowieka w prawdziwe jungowskie medium, które ma zawsze pod ręką materialny obraz samego siebie.

– Cześć – mówi facet.

Odsuwa się, żeby wpuścić nas do środka. Jest zimno jak w psiarni. Piecyk gazowy niewiele pomaga. Mina siedzi na kanapie zawinięta w koce, tak że w pierwszej chwili nie zauważam, że trzyma na rękach noworodka.

Patrzemy na siebie.

Takie świeże noworodki wyglądają jak nieowłosione szczury, jak miękkie mechaniczne lalki. Najciekawsze, najbardziej szokujące bezwłose szczurze lalki, jakie można w ogóle zobaczyć. Kiedy w pokoju jest noworodek, wszystko staje się bardzo intensywne. Można wyczuć ujemny ładunek energetyczny, dziwne opary błogosławieństwa. Trudno wtedy nie szeptać, nie chodzić na palcach, cicho i ostrożnie, nie zapomnieć, co się miało powiedzieć.

– Hej – mówię.

– Cztery dni temu – odzywa się, nie podnosząc wzroku.

Są takie małe i wrażliwe, zaskakująco bliskie nieistnieniu. Jest w tym dużo z umierania. To prawie

dokładnie to samo. Zachęca do milczenia. Dociera do mnie, że ubóstwiał dzieci. Tak właśnie działa na człowieka kult: rozpieprza go od góry do dołu.

Mina macha ręką w kierunku piecyka.

– Kiepski moment.

– Jak się czujesz? – Bez sensu, mam przecież oczy.

– Hm. Bywało lepiej. Nie jest źle? – pyta mnie, czy nie jest? Ma rozczochrane włosy.

Will i ten drugi facet stoją spięci, jakby byli na pogrzebie kogoś, kogo ledwo znali, i nie wiedzą, czego się od nich oczekuje.

Potem ten facet przypomina sobie, że się nie przedstawił.

– Jestem Bryan – mówi.

Tatuś dziecka? Chłopak? Krewny?

– Ari.

– Will.

– Cześć. Super.

Will prowadzi do piwnicy. Ich kroki dudnią na schodach.

– Położna poszła do domu tamtego wieczoru, kilka godzin po wszystkim. Powiedziała, że jeszcze wpadnie zobaczyć, jak sobie radzimy. Ale od tamtej pory się nie odzywa. Zostawiłam jej wiadomość. – Podnosi telefon i z powrotem go odkłada.

– Był tu z tobą?

– No – mówi tak, jakby chciała prychnąć.

– Skąd jest twoja rodzina? Chociaż nieważne. Przyjadą? – Słabo mi, jak tak nad nią stoję. Czuję się wysoka na sto metrów. I dostaję klaustrofobii, jak w dzieciństwie, kiedy miewałam ataki paniki. To jest strefa walki: życie i śmierć odtańcowują w duszy szaleńczą polkę.

Wybuchają śmiechem. Śmieje się i śmieje, trzęsie się ze śmiechu, łzy napływają jej do oczu, zaczynają błyszczeć na twarzy.

– Moja rodzina. Moja rodzina! – To najzabawniejsza, najdziwniejsza rzecz, jaką w życiu usłyszała. – Moja rodzina! – Wzdycha szczęśliwa, wdzięczna za ten śmiech. Za tę wielką transfuzję. –

Ach – mówi już spokojniej. – Moja rodzina. – Odrobinę mniej szaleństwa w oczach, ciut więcej przytomności. Spogląda na swój żywy tobołek. Potrząsa głową, uśmiecha się, rozszerza oczy jak serialowy aktor, który udaje głupka. – Moja rodzina!

Siadam.

¹ *Cuffs* – (ang.) kajdanki; *shirt-cuffs* – (ang.) mankiety (przyp. tłum.).

² *Nie zdemontujesz domu Pana przy użyciu jego własnych narzędzi* – tytuł wystąpienia Audre Lorde, przekład Katarzyna Szumlewicz

(przyp. tłum.).

2 Grudzień

Którejś nocy, późno, prawie nad ranem, może już nawet było rano, nie jestem pewna, matka usiadła koło mnie, kiedy karmiłam.

– Skąd wiesz, czy się najada?

– Najada się.

– Skąd wiesz?

– To się po prostu wie.

– No tak. My zawsze wiedzieliśmy. Podgrzewaliśmy ci mieszankę w mikrofali.

Westchnęłam, zamknęłam oczy, miałam nadzieję, że jak je znowu otworzę, to już jej nie będzie.

– No co? Nie wiedzieliśmy. Poza tym jest bardziej zapychająca! Dłużej by spał. Mój Boże, wiesz, co jeszcze robiliśmy? Dawaliśmy ci benadryl. To dopiero było coś. Zwalało cię z nóg na parę godzin.

Parsknęła śmiechem i spojrzała na bałagan dookoła: z kosza na bieliznę wyłaziły ubrania, czyste czy brudne? Miska, w której jadłam poranną owsiankę, zaczynała zasychać. Brudne naczynia piętrzyły się w zlewie. Podniosła brwi.

– Umarłabyś od sprzątanania?

– Nie zaczynaj, ty suko na demerolu.

– No co? Może poczułabyś się lepiej, gdybyś nie mieszkała w takim chlewie.

Spojrzałam w duże okno i przycisnęłam Walkera mocno do siebie. Nie chciałam, żeby był świadkiem takich zachowań, nie chciałam tu żadnych wybuchów gniewu.

– Przepraszam, małpeczko – szepnęłam. – Już dobrze. – Ile życia zmarnuję jeszcze na zapewnianiu tego biednego brzdąca, że „już” jest „dobrze”?

– Poza tym nie masz prawa tak się do mnie odzywać.

Właśnie taka była: ostra i nieprzyjemna, dopóki nie odpłaciło jej się pięknym za nadobne, a potem nagle udawała dotkniętą i unosiła się dumą.

Chwilę później mój duży chłopiec skończył z lewej strony. Podniosłam go, przytuliłam, spojrzałam w słodką, śmiesznie pijaną buzię, poklepałam po plecach i przystawiłam z drugiej. Spędziliśmy tak razem całe tygodnie, on i ja, zdezorientowani, zanurzeni w jakimś mętym poczuciu zadowolenia. Teraz tęsknię do tych czasów, chciałabym, żeby znowu leżał złączony ze mną, bezpieczny. Pamięć to żalosna dzdżira.

– Mój syn – powiedziałam, patrząc na niego, żeby oszczędzić sobie jej widoku. – Walker. Prawda, że piękny? – Wielkie oczy, takie przejrzyste i dobre. Nie dało się przy nim nie uśmiechać, nie czuć w sobie tej przemożnej obecności, nieważne czego, do cholery, czegokolwiek, co byśmy wszyscy uznali.

– Idiotyczne imię. Skąd je, u licha, wytrzasnęłaś? Co to w ogóle znaczy?

– Ze staroangielskiego. To wielkie imię. Walker Percy? Walker Evans? Heloł? Coś ci to mówi? –

Przynajmniej była miłośniczką książek i kultury.

– Trzeba było nazwać go po mnie.

Nic nie odpowiedziałam.

– Mówię poważnie.

– Chciałam, żeby to było coś dobrego – syknęłam. – Taki nowy początek. Powiew świeżości. –

Serce waliło mi jak młotem. Walker zaczął płakać. Wzięłam go na ramię, tak jak mi pokazała moja ulubiona pielęgniarka, klep klep klep masuj masuj masuj. – Już dobrze. Już dobrze już dobrze już dobrze już dobrze już dobrze – zwodzę go.

Zarechotała.

– Jaaasne. A jak tam doktorat, Panienko od Nowego Początku? Wyglądasz na zapracowaną.

– Pieprz się.

– Ładnie.

– To jest praca.

Walkerowi się ułalo, wyglądał przez chwilę na przerażonego, potem się uspokoił.

– Przepraszam, małpeczko, przepraszam, już dobrze, ćśśśś. Podasz mi którąś z tamtych pieluch?

Bez przerwy potrzebowałam kogoś, kto by mi coś podał.

– Weź prysznic! Przebierz się. Jezu! Zrób sobie coś do jedzenia. Patrzcie ją, każda okazja jest dobra, żeby się zapuścić. Przeglądałaś się ostatnio w lustrze? Co takiego wielkiego się stało? Weź się wreszcie w garść. Poważnie.

– Właśnie urodziłam dziecko, to się, kurwa, stało, ty martwa pizdo.

Zacęła na mnie muczeć, po czym się rozsypała.

– Muuuuuu. – Wpadła w lekką histerię, a chwilę później już jej nie było. I nawet nie podała mi tej cholernej pieluchy.

– Ćśśśś, małpeczko, ćśśśś, już dobrze, już dobrze, już dobrze.

Piszę do Crispina i Jera o ich rozwalonym bojlerze. Crisp odpowiada:

ja pierdołę, kuuuuuuuuuuuuuuuurwa jego mać. dobra, chrzanić to, zrób, co trzeba. nie przejmuj się kasą. myślałem, że wytrzyma drań jeszcze jedną zimę. dzięki, punky. sorry. tęsknimy. wczoraj jedliśmy pizzę, od której dostałabyś zawału. jer pozdrawia i robi się gruby.

Punky, bo powiedziałam mu, że w dzieciństwie szalałam na punkcie serialu *Punky Brewster*.

Okazuje się, że stary bojler został zamontowany w 1975 roku. Will i facet ze sklepu już prawie skończyli go wymieniać.

Bryan siedzi w fotelu i gapi się w komputer. Nadal nie mam pojęcia, jaką rolę tu odgrywa.

Cycki Miny są tak nabrzmiące, że sam widok boli. Krzywi się, kiedy przystawia dziecko. To jest

właśnie ten element, o którym nikt nie mówi, który otacza się podejrzanym milczeniem. O, przepraszam: taki tam elemencik. A milczy się z natury o tym, co wstydlive. Wkurza mnie, że muszę patrzeć, jak Mina męczy się i krzywi.

– Zobacz, jaki mały dzidzius – mówię do Walkera, który kiwa uroczyście głową i wraca do opróżniania dolnej szuflady w kuchni. Wyrzuca z niej wszystko po kolei na podłogę, a potem odkłada z powrotem na miejsce. Póki nie grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo...

Przynoszę Minie szklankę wody.

Dziękuję mi tak, jakby coś miało w niej zaraz pęknąć od nadmiaru okazanej życzliwości.

– Kurwa, ale mnie bolą cycki. – Są potężne, wielkie i twarde, jak implanty.

Dziecko ma na imię Zev, jest już prawie pewna.

– Podoba mi się – mówi. – Pasuje. Prawda?

Nadanie czemuś imienia to praktycznie niewykonalne zadanie. Zev brzmi dla mnie całkiem niezłe. Czasami myślę sobie: Walker?! Co jest, kurwa? Ale jeśli człowiek się do czegoś przyzwyczai, to zasadniczo traci to znaczenie.

– Podoba mi się – mówię. – To dobre imię.

Mina nakłada trochę maści na lewą stronę. Bryan podnosi wzrok znad ekranu, żeby popatrzeć.

– Zev znaczy Wilk. Pasuje do niego. Jest żywe. Popatrzyłam na niego, jak już wyszedł, kiedy skończyłam wreszcie wyć, i taki właśnie był – wydaje z siebie delikatny, melodyjny skowyt. – Prawda? Prawda, mój wilczku? Mogłabym nazwać go też Wilk. Gdyby Zev było za bardzo „heeej, patrzcie, jaki ze mnie Hebrajczyk”. Może Wilk byłby lepszy.

– Nie wydaje mi się, żeby Zev było za bardzo „patrzcie, jaki ze mnie Hebrajczyk”.

– Co jest nie tak z Hebrajczykami? – chce się dowiedzieć Bryan, ale nie odrywa wzroku od komputera.

Mina potrzebuje po prostu, żeby z nią posiedzieć. Przerobić z nią to wszystko. Nie zadawać za dużo pytań. Nic wielkiego.

– Teoretycznie powinniśmy mieć matki – mówię. – Powinniśmy mieć siostry. A co, jeśli nie mamy matek? Jeśli nie mamy sióstr?

– Albo mamy gówniane matki – mamrocze Mina, masując wielką, wrażliwą pierś. – Albo gówniane siostry.

– Naprawione – mówi Will, gramoląc się z powrotem na górę po schodach, za nim idzie facet ze sklepu.

Według naszywki ma na imię JIM. Jim opowiada, że jego żona też właśnie urodziła.

– To nasze szóste – mówi.

Mina patrzy na niego przerażona, a Jim wspomina jeszcze coś o Bożym błogosławieństwie.

W tym momencie zbieram moje własne, małe błogosławieństwo, bo robi się późno, a zawsze powinno się wychodzić, zanim gospodarz sam o tym pomyśli.

– Zadzwoń – rozkazuję jej. – Mogę przyjść kiedy bądź.

Kiwa uroczyście głową.

W całej katastrofie związanej z weselem Eriki najgorsze było to, że, na miłość nieboską, wychodziła za Steve'a! Steve okazał się szczytem jej najbardziej wygórowanych ambicji. Facet nie jest zły, ale nie ma w nim też nic ekscytującego – ekscytujący może być tylko brak konieczności spotkania się z nim za często. Dużo gada o koktajlbarach, do których może cię zaprowadzić, o rewelacyjnym apartamencie, który udało mu się dostać ostatnio w Vegas, o tym, jak nażarł się raz mięsa w jakiejś świetnej restauracji w Argentynie i aż „go wzdęło”.

Dostałam skrawek bladofioletowego materiału i polecenie, żeby uszyć sobie suknię. Erica była strasznie przejęta. Zachowywała się jak kompletna wariatka.

Zostawiliśmy więc trzymiesięczne dziecko na butelce pod opieką obcej osoby, a ja włożyłam tę koszmarną suknię, w którą musiałam dopakować jeszcze dodatkowe piętnaście kilo. Nie potrzeba metafory, żeby opisać, jak fatalnie wyglądałam. Nie, nie jestem jedną z tych kobiet, które odkryły sposób na przewyciężenie próżności. Jedną z tych nieziemsko pięknych kobiet, które odkryły, jak przewyciężyć własną próżność.

Mogłam w to nie wchodzić. Mogłam odmówić.

Byliście kiedyś na weselu? To byliście już na wszystkich. Druhny przypominają lalki z Kolejnych Etapów Życia Kobiety. Jest szczupła singielka, która eksponuje swoje zalety i usiłuje nie rozpaczać nad samotnością. Wygląda „dobrze”. Szarpnęła się na opalanie natryskowe. Płynem z błyszczącymi drobinkami. Im jest starsza, tym częściej kieruje się poradami z kolorowych pisemek. Rysy zaczynają jej się wyostrzać, na dłoniach ma przebarwienia słoneczne, a stopy wciśnięte w szpilki wyglądają jak para żyłastych szarpejów, ale spoko, ona przecież eksponuje swoje zalety. Wypije o kilka drinków za dużo. Nie będzie już wątpliwości, że wydaje jej się, że znalazła się w komedii romantycznej o druhnach. Na koniec będzie się pieprzyć z którymś z družbów. Tylko z którym?

Jest też dziewczyna w ciąży, dumna jak cholera, wygląda, jakby całą sobą krzyczała: „Luuuuuudzie, jestem w ciąży! Jestem taka spełniona i promienna! Udało mi się!”. Singielka i ciężarna skrzętnie się unikają, chyba że chcą akurat spojrzeć na siebie z udawaną litością. Każdej jest tak strasznie żal tej drugiej.

Dalej jest kobieta, która właśnie urodziła pierwsze albo drugie dziecko. (Szacun). Na jej twarzy widać charakterystyczną nerwowość i oszołomienie, jakby została rozszarpana na kawałki, a potem złożona niezdarnie do kupy, i cóż, rzeczywiście tak było. Ale nadal się stara, chociaż robi to na swój

smutny, połowiczny sposób, na przekór temu, że etap eksponowania/błyszczczenia ma już definitywnie (o, i to jak definitywnie!) za sobą. Wie, że już nigdy nie będzie taka sama. Przenigdy. Z trudem przychodzi jej patrzeć na eksponującą się singielkę, która traktuje ją – znowu z litością – jak osobę starszą. A dokładnie w momencie, w którym eksponująca się singielka przestaje z nią rywalizować, zyskuje pewność: przestała istnieć. Czuje się niewidzialna, bo to prawda! Duże zwierzę wepchane w taką samą idiotyczną suknię – może morską, może limonkową, a może lila. Ciężarna nie chce z nią mieć za dużo do czynienia, ale uważnie ją obserwuje: ona na pewno nie pozwoli sobie na coś takiego.

No i jest jeszcze kobieta z kilkorgiem starszych dzieci w wieku szkolnym, może nawet w okresie dojrzewania. W jej oczach tamte są na swój sposób urocze, uwikłane w swoje własne zmagania. Ona już z tym skończyła. Może mieć czterdzieści lat, może mieć siedemdziesiąt, żadna różnica. Ona już się nie zmienia. Okopała się w swoim życiu i odhacza upływające lata. Nie przejmuje się filozoficznymi bredniami. Nie rozważa podjętych decyzji. W najgorszym wypadku nie jest w ogóle świadoma, że je podejmowała. Jest jak jest. To już koniec. Nie pozostaje nic innego, jak tylko zdać się na leki przeciw temu, tamtemu czy jeszcze czemuś innemu, i tak aż do ostatecznego końca.

Oto one, ustawione w rzędzie druhny, z których każda uwidacznia porażkę i śmieszność pozostałych, wszystkie zgromadzone wokół gwiazdy przewodniej, wokół cukierkowej panny młodej. Wprowadzają ją w jej własny kolejny etap życiowy, z wachlarzem głównianych możliwości. Uśmiechają się plastikowo do zdjęć, wrzucanych od razu do Internetu.

Siedzieliśmy przy jednym z tych śmiertelnie nudnych stolików dla par, przy którym wszyscy się znali i nie czuli potrzeby przedstawienia się nam albo włączenia nas do rozmowy, której i tak nie było słyhać, ze względu na nagłośnienie dziesięcioosobowego zespołu muzycznego. Tak na marginesie, pieprzcie się, pary przy weselnych stolikach dla par, skoro nie chcecie zdobyć się na wysiłek porozmawiania z tą jedną parą, która nikogo nie zna.

Szybko wyszliśmy. Moje cycki płonęły. I nie udało mi się – NIESTETY! – zalać w trupa. Zanim zdążyliśmy wrócić do hotelu, moje cycki zamieniły się w małe skały, małe gorące skały wybuchowe, które w każdej chwili mogły wystrzelić w powietrze i trysnąć jaskrawą, niebiesko-pomarańczową fontanną. Czułam je w łokciach. Walker spał w łóżeczku turystycznym i musiałam go obudzić na jedzenie, co potraktował z wyrozumiałością, ale nie chciał już z powrotem zasnąć. Do świtu siedzieliśmy posępnie na krześle pod oknem.

Mina, wojownicza królowa. Urodziła dziecko w domu Crispina i Jerry'ego. Naprawdę je urodziła.

Są setki nagrań z prawdziwych porodów. Można je sobie obejrzeć. Nie ma nic bardziej niesamowitego. Bez przerwy je oglądam. Każde jest zupełnie inne. Indywidualne. Mina Morris po prostu nie mogła zostać pokrojona – to nie ten typ.

Filmów z operacji jest mniej i trudniej się je ogląda. Są niepokojące. Bezosobowe. Pewnie

mogłabym teraz wystąpić w którymś z nich.

– Dlaczego ciągle to oglądasz? – pyta Paul. – Tylko się denerwujesz.

– Może lubię się denerwować.

Golenie podbrzusza i przemycie środkiem antyseptycznym. Wprowadzenie cewnika. Podpięcie kroplówki do ramienia albo do dłoni. Podanie znieczulenia ogólnego albo miejscowego. Przypięcie pacjentki do stołu: jej ręce są wyciągnięte na boki, parawan zasłania widok. Wykonanie nacięcia w poprzek brzucha, mniej więcej centymetr do dwóch powyżej górnej granicy pęcherza moczowego sprzed ciąży. Przecięcie i rozchylenie tkanek nad macicą. Wykonanie poziomego cięcia w dolnej części macicy. Odessanie wód płodowych. Wyciągnięcie dziecka.

– Ari. Wiem, że nie tego chciałaś. Ale jest po wszystkim i nie możemy tego zmienić. Więc może już czas, żeby...

Dzieci urodzone przez cesarskie cięcie cierpią często na zespół zaburzeń oddychania i wymagają tlenoterapii na oddziale dla noworodków. Dzieci urodzone przez cesarskie cięcie często mają mniej punktów w skali Apgar, co wynika zazwyczaj z problemów z oddychaniem, połączonych z apatią, która występuje na skutek podanego matce znieczulenia. Środki uspokajające mogą także utrudniać karmienie piersią.

– Naprawdę chciałbym zrozumieć, dlaczego ciągle to robisz.

Położowe zapalenie mięśnia macicy i infekcja błony śluzowej zdarzają się dwadzieścia razy częściej. Ryzyko wystąpienia zakrzepicy jest pięć razy większe. Często dochodzi do zakażeń układu moczowego. Są one zazwyczaj rezultatem cewnikowania i leczy się je antybiotykami. Często występuje również spowolnienie lub zatrzymanie pracy jelit, zwykle na skutek podawania środków odurzających przed operacją i po niej. Kobiety cztery razy częściej umierają przy porodzie operacyjnym niż przy naturalnym. U kobiet, które rodzą przez cesarskie cięcie, wokół macicy może się rozwinąć tkanka bliznowata, która w przyszłości może utrudniać normalne porody.

– Ari. Powinnaś spróbować o tym zapomnieć.

Według badań kobiety, które rodzą przez cesarskie cięcie...

– Skarbie. Wiem.

...częściej zapadają na depresję poporodową, która może się objawiać...

– Skarbie, co mogę zrobić, żeby ci pomóc? Powiedz mi, co mogę z tym zrobić?

...uczuciem porażki, bezradności, stresu pourazowego...

– Ari. To nie pomaga.

...bezsilności, rozczarowania, złości, straty i frustracji.

– No co ty, kurwa, nie powiesz!

Na początku, kiedy mi go podała, czułam się tak, jakbym nigdy nie trzymała w rękach noworodka.

Zev. Wykręca się i kurczy, jakby wyczuwał moje zdenerwowanie. Dzieci to małe lusterka. Są czyste. Do drugiego roku życia nie umiemy kłamać. Świat to nie miejsce dla tych małych zasrańców, dla tych miniaturowych kamertonów. Jest taki delikatny i przestraszony, a co, jeśli przypadkiem go zabiję? To jak najbardziej możliwe, żeby przypadkiem zabić takie małe stworzenie.

Ale cholera, dobra, okej:

– Cześć, mały. Cześć, Zev.

Jakie to dziwne, że był niczym, zanim Mina go stworzyła. Gdzie mógł być? Gdzieś? Nigdzie? Teraz jest tu, ma imię i jest osobą. Dziwne. Mina idzie wziąć prysznic. Rozkładam kocyk na podłodze, zawijam go. Tak lepiej.

Schodzi cała parująca z ręcznikiem na głowie i w czystym podkoszulku.

– Czuję się jak nowo narodzona – mówi. – Wypadła mi chyba garść włosów. To normalne?

– Zupełnie normalne. Hormony.

Ma różowy T-shirt z rysunkiem pięknej kobiety w ogromnym kapeluszu i z papierosem w ręku. Smużka dymu układa się w napis MONTREAL.

Nie mogę uwierzyć, że wygląda tak normalnie. To znaczy jej ciało. Sposób, w jaki się porusza. Jasne, że ma ogromne cycki i miękki brzuch; tydzień temu urodziła. Ale poza tym jest nietknięta. Ja w tydzień po operacji nadal byłam cała rozpieprzona. Wypatroszona jak ryba. Każdy ruch sprawiał mi ból, ale starałam się odstawić środki przeciwbólowe, bo po nich nie mogłam się wysrać i musiałam brać leki na zaparcia. Pięć dni po porodzie rana delikatnie mi się otworzyła i jechałam z powrotem do tego pieprzonego szpitala, żeby wzmocnili mi szwy. Gorączkowe majaki. Zupełnie niewłaściwy rodzaj bólu. A bolało wszystko.

– Hej tam – mówi Mina. – Gdzie jesteś? Odplynęłaś gdzieś.

Otrząsam się i zabieram do doprawiania gara zupy.

Bryan się pakuje, wyjeżdża dziś wieczorem. Zakładałam, że jest ojcem, chłopakiem. Widać nie.

– To przyjaciel – mówi Mina, kiedy zostajemy same. – Przychodzi i odchodzi. Jest jak brat. Irytujący, ale uroczy młodszy brat. Kiedyś zatrzymywałam go u siebie na dłużej. Dawno temu. Potrzebował mieszkania, a ja je oferowałam. Taki ma styl: biedny artysta. Odzywa się, kiedy potrzebuje pieniędzy. Stwierdził, że fajnie będzie „doświadczyć narodzin”. A ja jestem niedorozwinięta, więc się zgodziłam, bo gdzieś w głębi myślałam, że może, wiesz, chce „być przy mnie”, i wyszłam na najgłupszą idiotkę wszech czasów, tak mniej więcej. Teraz podobno będzie o tym pisał.

– Gdzie jedzie?

– Do Austin. – Przewraca oczami.

Paul siedzi w bibliotece i wystawia oceny, czy coś w tym stylu. Paul ciągle gdzieś jest i coś robi.

Walker zostaje do piątej u Nasreen.

- Rewelacja – mówi Mina o zupie.
- Jesteś mistrzynią – siorbie Bryan.
- Pieprzoną wróżką chrzestną – dodaje Mina.

Przynosiłam chlebek bananowy z orzechami, kozieradką, arniką i oregano. Otulaczki i naramienniki do odbijania. Rozpadającą się lazanie, chlebek cukiniowy z dobrej piekarni. Sól Epsom, kapustę, pokrzyk, olej z gorczycy. Lody włoskie, liściastą herbatkę malinową. Mały kryształek kwarcu różowego. Wszystko, czego jej potrzeba.

Kiedy zbieram się do wyjścia, Bryan wstaje, żeby się pożegnać, i mocno mnie przytula, naprawdę mocno, tak że nie mogę oddychać. Dopiero kiedy ktoś naprawdę cię przytuli, uświadamiasz sobie, jak rzadko ktokolwiek naprawdę cię przytula.

- Miło było – mówi. Przypomina oddanego zwierzaka.

Później, kiedy Paul wraca do domu, idę na chłodny, dziesięciominutowy spacer po ciemku nad rzekę. Powietrze jest wspaniałe. Potem sprzątam kuchnię.

- Jesteś weselsza – zauważa Paul.

Wyszukuję Bryana. Według jednego z krytyków:

„...od czasu do czasu zdarza [mu] się napisać coś głębokiego i ważnego. Problem w tym, że piszę dosyć często”.

Myślę sobie, że przed pójściem spać mogłabym usiąść z długopisem nad jakąś Jeanette Winterson. Nie robię tego, ale się nad tym zastanawiam. A to już coś.

Dzisiaj zabieram Walkera do biblioteki na czytanie bajek, a potem do baru z burgerami w centrum handlowym, bo w czwartki nie idzie do Nasreen, a ja zaczynam panikować, jeśli nie mam planu. Na parkingu przeżywamy kryzys, kiedy próbuję zapakować go z powrotem do samochodu, żeby wracać do domu. Odmawia siedzenia w foteliku. A z dziećmi nie da się dyskutować. On po prostu nie wejdzie do tego fotelika i już. Odstawia pieprzoną scenę, bo nie chce usiąść w foteliku.

Rozglądam się bezradnie dookoła. Niedaleko stoi jakaś nieznajoma: biała dziewczyna ze zniszczonymi, tlenionymi włosami, której trójka dzieci siedzi grzecznie w pamiętającym lepsze czasy niebieskim minivanie. Ma bagażnik pełen reklamówek z hipermarketu. Obserwuje mnie. Myślę sobie: pieprzyć to.

- Co się robi w takich sytuacjach? – pytam ją.

– Mi nie wykręcają takich numerów – mówi z lodowatym błyskiem w oku. Odwraca się do usadzonych równo dzieci. – Prawda? – Wbija je wzrokiem w poplamione foteliki samochodowe. Patrzą na wprost jak kadeci, każde ma przed sobą całe życie zmagania z zaburzeniami stresowymi.

Ósma trzydzieści rano. Paul z dzieckiem są już na dole, dawno po śniadaniu, a ja nadal nie mogę zwlec się z łóżka.

Dzwoni telefon. Mina.

– Obudziłam cię? Przepraszam.

– Nie. Co tam?

– Kiepska noc. Kiepski dzień, potem kiepska noc, a teraz... po prostu... kiepsko.

Na zewnątrz jest zimowo i szaro, wszystko pogrążone w półmroku, a kiedy w końcu udaje mi się wstać i do niej pójść, okazuje się, że w środku jest tak samo. Ciężko. Atmosfera spadła o cały ton. Jest tu trochę jak w poszyciu lasu. Mrok, bezruch i mech, ciche brzęczenie intensywności istnienia, nikłe promienie słońca prześwitujące przez sklepienie wysoko korony drzew. Świątynia, jakiej nikt jeszcze nie wybudował. („Daniel Libeskind nad tym pracuje” – powiedziała by Crispin). Wszędzie porozstawiane kubki z zimną herbatą.

Byli u pediatry i wygląda na to, że mały Zev nie przybiera na wadze. Wręcz traci. Pediatra nie okazał się pomocny.

– Mówił tylko: „Dopóki sika, nie ma się czym martwić. Proszę podać mu mieszankę, jeśli się pani niepokoi. Czy ma już pani nową kartę ubezpieczenia zdrowotnego?”.

Ale ona bez przerwy karmi, brodawki ma już całe poranione i popękane, w lewej piersi zrobił jej się ogromny guz, a dwadzieścia minut temu zmieniła małemu zasikaną pieluchę i była różowa. A to oznacza, że Zev jest odwodniony.

– Cycki bolą mnie jak cholera, on umiera z głodu, a ja jestem koszmarnie zmęczona i zaczynam svirować. Nie domyśliłabyś się, prawda? Zaczynam, kurwa, svirować. A ta pieprzona położna nie oddzwania.

– Chyba żartujesz. Nie powinna raczej, nie wiem, gotować ci zupy z łożyska i intonować hymnów na cześć bogini? Walić w bęben czy coś?

– Żadnego bębna.

Od razu widać, że mały Zev, mówiąc żargonem niemowlęcym, nie rozwija się prawidłowo. Wygląda na jeszcze bardziej skurczonego niż parę dni temu. Ma miniaturowe pomarszczone czoło. Kiedy waży się tak mało, każde kilkadziesiąt gramów ma znaczenie.

Mina nosi go i poklepuje, nosi i poklepuje. Mały uspokaja się na sekundę albo dwie, ale potem znowu zaczyna krzyczeć. Wściekłym, bezsilnym niemowlęcym wrzaskiem.

– I tak całą noc. Dobrze, już dobrze, ćśśś. Chodzi mi po głowie taki jeden wers, wiesz? Z piosenki *A Hard Rain's A-Gonna Fall*? Ćśśśś, już dobrze. „I saw a newborn babe with wild wolves all around it”, znasz to? No już, ćśśśśś. „I saw a highway of diamonds with nobody on it...”

Świeżo upieczona matka, jej sposób trzymania dziecka, to, jak się buja, podryguje na ugiętych nogach i bredzi jak w malignie, jest nie do pomylenia z niczym innym. Ona mówi językami. Dziecko

uspokaja się na chwilę, po czym znowu zaczyna wyć.

– „I saw a newborn babe with wild wolves all around it” – śpiewa cicho, podkreślając słowa „wild wolves” tak, jak robi to Dylan na tym świetnym, sennym, pirackim nagraniu koncertowym, które kiedyś od kogoś dostałam, a jego chropawy głos prześlizguje się tam i z powrotem po tym jednym wersie.

I najwyraźniej jest w tym wszystkim coś zabawnego, bo teraz Mina zaczyna chichotać.

– Słuchaj, ja naprawdę bardzo się staram, żeby tu nie zwariować, i wiem, że to raczej nie jest twój problem, właściwie wcale nie jest, ale nie spałam za bardzo chyba od jakos strasznie dawna i naprawdę nie wiem, co mam, do cholery, robić, bo lekarz mówi „nic mu nie jest!”, ale jemu właśnie coś jest, ty pieprzony skurwysynu. Jasne, że coś mu jest! Lekarz mówi „proszę mu podać mieszankę, jeśli się pani niepokoi”. Ale ja mu nie podam żadnej pieprzonej mieszanki, ty chuju jebany! Wczoraj jadł ode mnie przez dziewięć godzin. Mierzyłam czas. Siedziałam, kurwa, w tym fotelu przez dziewięć godzin, nie licząc przerw! Dziewięć godzin! Nie miałam pojęcia, że sutki mogą aż tak boleć! I pomyśleć, że kiedyś lubiłam lekkie sadomaso! Kiedy się do mnie przysysa, czuję to nawet w gałkach ocznych! Wszyscy mówią, żebym dała dzieciakowi butelkę. Daj mu butelkę, daj mu butelkę! Nie dam mu, kurwa, żadnej pieprzonej butelki! Właśnie urodziłam go w wannie! Nie dam mu, kurwa, żadnej sproszkowanej słodzonej przetworzonej krowiej trucizny, jebanego ohydneho afrykańskiego szlamu Nestlé! Sorry! To moje dziecko! Nie dam mu butelki! I pieprzcie się wszyscy!

Drży jak człowiek, który zapomniał, jak się oddycha, ale jeszcze się nie zorientował, że nie oddycha.

Dziecko wydaje z siebie krzyk, który brzmi jak załątek wszelkiego cierpienia, i nawet ja sama zaczynam się stresować. To jest bardzo głodne dziecko. Pewność w tym względzie napęlnia mnie nagle ogromną dumą. To jest cholernie głodne dziecko.

– Dobrze. Bierzemy głęboki oddech. – Demonstruję: wdech, wydech, nawiązuję kontakt wzrokowy. – Świetnie cię rozumiem i uwierz mi, będzie dobrze. Jadłaś coś?

– Nie wiem. Nie bardzo. Nie jestem głodna. Nie dam mu, kurwa, mieszanki, rozumiesz? Nie i już. Słuchaj uważnie, o czym każą ci zapominać!

– Dobrze – mówię. – Dobrze.

– Przestań tak mówić.

– Dobrze. Przepraszam.

– To z Muriel Rukeyser. „Słuchaj uważnie, o czym każą ci zapominać”. Znasz ją?

– Chyba tak.

– Jest świetna.

– To dobrze.

Znowu próbuje karmić. Ciekawe, że implanty były początkowo wzorowane na piersiach kobiet

karmiących.

– Może trochę bardziej podłóż pod niego rękę, czekaj, tutaj. O, tak. Właśnie. Wtedy jest bardziej na wprost. No. Lepiej?

– Koszmarnie bez zmian.

– Wiem. Na początku to naprawdę boli.

– I co, to tyle, i już? „Na początku boli”? Po prostu jest nie do zniesienia, koniec kropka? Ma być nie do zniesienia? Bo byłoby miło, gdybym cokolwiek o tym, kurwa, wiedziała, na przykład dziesięć dni temu, wiesz? – Podnosi telefon, rzuca go z powrotem. – Zaginiona, kurwa, w akcji położna celebrytka, suka jebana. – Zev pracuje jak może najlepiej, jest naprawdę skupiony, ale nic nie działa. On się frustruje, a ona cierpi.

Ale po kolei. Spizarnia. Wymyślny włoski makaron z zapasów Jerry’ego. Woda się gotuje, a ja kroję i podaję jabłko. Doprawiam makaron masłem, solą, pieprzem i startym parmezanem, stawiam przed nią. Potem podchodzę do niej, poprawiam poduszki, siadam ze skrzyżowanymi nogami i czekam.

– Ćśśś. – Pociąga bez przekonania nosem, pałaszując jabłko. – Ćśś, ćśś, ćśś. Już dobrze. Dobrze? Będzie dobrze. Dobrze? Dobrze. Już dobrze.

Słowo „dobrze” działa jak psia karma, świadomość zostaje przerzucona do warczącej burzy podświadomości. Dobrze, dobrze, dobrze. Będzie dobrze. Dobrze? Dobrze? Dobrze, dobrze.

Ale on znowu zaczyna płakać tak głośno, że aż czuję to we własnych cyckach.

Właśnie: moje cycki.

Oczywiście: moje cycki.

Moje królewny. Moje pieśczochy.

– Słuchaj – mówię. – Mogę go wziąć?

Nie wie, o co chodzi, ale wyciągam ręce i powoli kiwam głową, aż zaczyna rozumieć. Przysuwam się tak blisko, że dotykamy się udami, i biorę go na ręce.

Cześć, ludzka muszelko. To nie Walker. To inne dziecko, świeży, zmięty kłębek zamiast twarzy. Malutkie dziąsła błyszczą od płaczu.

Mina zabiera się do jedzenia.

Kładę sobie czerwonego z wściekłości Zeva na kolanach i uwalniam prawą pierś.

Mina jest tak zajęta pochłanianiem makaronu, że nie zauważa tego. Patrzę na nią w oczekiwaniu na coś w rodzaju przyzwolenia. Przestaje jeść.

– Nie masz AIDS ani nic, prawda? – W podniosłych momentach ludzie zawsze mówią bzdury; taką mamy naturę.

– Nie.

Wraca do pochłaniania makaronu. Jakby nigdy wcześniej nic podobnego nie jadła.

Zev nie jest wybredny, jest cholernie głodny. Rzeczywiście nie najlepiej chwyta. Auć. Ale ma czas, nauczy się. Ma dużo czasu, nic tylko czas. Odsuwa się na chwilę, zaskoczony obfitością, i od razu zaczyna mnie znowu szukać, dysząc przez rozchylone usta. Otwiera je szeroko. Gul, gul, gul. Odpręża mi się w ramionach, zamyka oczy. Cały pokój zaczyna tajać. Problem rozwiązany. Wszystko się uspokaja i rozjaśnia, jak po pierwszym pocałunku. Rozluźnienie. Upojenie. Jeszcze pamiętam. Jeszcze potrafię. Minie nie pozostaje nic innego, jak tylko patrzeć.

Tak, rozcięli mnie, ale z karmieniem na szczęście nam wyszło. Przywieźli mi dziecko w takim plastikowym pojemniku. Tuż za nim weszła położna z oddziału noworodków, plakietka z nazwiskiem kołysała się jak wyspa na oceanie biustu. DONNA KENDRICK, położna oddziałowa.

– Posłuchaj mnie teraz, złotko. Sprawa wygląda tak. Na początku może być ciężko, ale szybko załapiesz. Nasz mały mężczyzna też załapie, prawda, robaczku, i już niedługo ruszycie z kopyta. Jak tylko załapiesz, zobaczysz, że nie ma nic prostszego. Mieliście trudny początek, ale już po wszystkim. Jasne? No właśnie. Zobaczysz, będzie wspaniale. No to do dzieła, pokaż, co tam masz. Mhm, nie tak, zobacz, musisz przystawić go na wprost, całkiem na wprost, pod takim kątem, żeby mógł robić swoje. Boli? To dobrze. Nie powinno. Jak boli, to jest źle przystawiony. Niedobrze jest źle przystawiać. Złe przystawianie jest złe. Wiele kobiet źle przystawia, a potem wzruszają ramionami i mówią, że się nie da. I się poddają. My tak nie chcemy. Jak już załapiesz, nie ma nic prostszego. Mam czterech chłopców, wiem, o czym mówię. Dobra, dajmy mu jeszcze minutę, a potem spróbujemy zmienić stronę. Boli? Nie. To dobrze. Dzisiaj chcemy tylko poznać ogólną zasadę. To jest próba generalna; właściwe mleko pojawi się jutro, więc jak dzisiaj dobrze zaczniecie, to jutro ruszycie z kopyta. Wyglądasz, jakby cię coś zabolalo. Zabolalo? Nie wstydz się. No właśnie, właśnie, chodzi o to, żeby jego dolna warga była tak jakby wywinięta, a usta jak najszerzej otwarte, o tak, no, widzisz? Brawo, mały człowieku. Będziemy teraz pilnować, żeby było okej, i jutro będziecie już zvarci i gotowi. Wystarczy tylko trochę ćwiczeń i cierpliwości. Dobra, zmieniamy stronę. Ćwiczenie i cierpliwość. Okej, do roboty, runda numer dwa, no proszę! Idealnie. Świetnie. Bardzo dobrze. Zanim pójdziecie do domu, będziecie już prawdziwymi ekspertami. Do tego zmierzamy. Pięknie. I będzie wam razem bardzo przyjemnie. Wierz mi, będzie wam bardzo przyjemnie, i tobie, i jemu, daję słowo. Masz minę, jakbyś mi nie wierzyła. Cesarka to trudna droga. Nie tak to powinno wyglądać. Tak między nami, te dupki lubią wiedzieć, jak pójdzie, więc robią wszystko, żeby wiedzieć. Wciskają ci, że uratowali sytuację. Oj, kotku, jasne, że nie czujesz się po tym za dobrze. Wierz mi, to tylko początek. Masz tu wspaniałego chłopca. Teraz wszystko pójdzie już z płatka. Czy tam z górki. Wiesz, o co chodzi. Mam czterech chłopców, już mówiłam. I wszyscy mają teraz swoich synów. Mam ośmiu wnuków! Same

chłopaki mi wychodzą. No, spójrz, jakiego masz pięknego syna! A ja wiem, o czym mówię. Nadal boli? No tak, nie od razu jest przyjemnie. Jak ma na imię? Walker, co? Podoba mi się. Bardzo mi się podoba. To piękne imię. A wy wyglądacie po prostu świetnie. I na moje oko wszystko jest w porządku. A ty jak to czujesz, wszystko gra? Trochę minie, zanim się przyzwyczaiacie. Na pewno. Oboje, i ty, i on. Ćwiczenie i cierpliwość. Bez pośpiechu. Dajcie sobie czas, on będzie robił swoje i za chwilę będziecie się już świetnie dogadywać, możesz mi wierzyć.

Czułam się, jakby Oprah Winfrey stanęła przy moim łóżku. Wypełniała mnie prawie nabożną wdzięcznością. To akurat może mi się udać. Uda mi się to. Mogłam wszystko naprawić. Niech popłynie oksytocyna! Gdzie indziej mogłam się nauczyć, jak nie tu? Co by się z nami stało, gdyby kto inny miał wtedy zmianę, nie kochana Donna tylko jakaś pomyłona suka z gatunku nie-chce-mi-się i mieszanka-jest-super? A ja ciągle w tym żalonym pozszywanym szoku?

Przyszła jeszcze raz, zanim zostaliśmy wypisani, i dała mi swój numer.

– Zwykle tego nie robię, ale jakbyś potrzebowała kogoś do poprawy humoru, to krzycz, dobra? Od dawna w tym siedzę, więc jeśli byś miała jakieś problemy, możesz zdać się na mnie. Pierwsze miesiące są zwykle trochę ciężkie, nie ma się czym przejmować, trzeba wytrzymać. Potem to już bułka z masłem. Mówią, że to taki czwarty trymestr; pomyśl sobie, że po prostu nie jest jeszcze gotowy do życia na zewnątrz. Ale jak już nabierzesz wprawy, to pójdzie jak z płątka. Nie ma na świecie nic lepszego niż mały chłopiec. Niż to, jak bardzo kocha swoją mamę. Jesteś teraz królową, mamuśka.

– Płytko chwyta – wyjaśniam Minie. – Więc jesteś przepełniona, a to źle wpływa na laktację.

Moja matka siedzi na oparciu kanapy i słucha uważnie.

– Patrzcie, jaka specjalistka – mówi.

– A w dodatku sprawia ci ból, więc nie potrafisz się rozluźnić, co też hamuje wypływanie mleka. Dlatego nie dostaje tyle, ile potrzebuje, żeby się wzmocnić i lepiej ssać. Błędne koło.

– O, ho, ho, znalazła się liderka La Leche League – mówi moja matka. – No normalnie sesja podnoszenia świadomości. Ale z ciebie feministka, i to taka vintage.

Zev śpi, strużka mojego mleka spływa mu jeszcze po policzku.

– Był głodny – mówię, a Mina śmieje się przez łzy.

– Myślisz?

Ludzie lubią udawać, że małe dzieci i zwierzęta nie są zdolne do odczuwania emocji, bo wtedy łatwiej jest im dopuszczać się okropnych zbrodni przeciwko nim. Łatwiej je izolować, słuchać ich krzyku, jeść je, ignorować, bić, gwałcić, przywiązywać do łóżka. Udawać, że to, co wygląda jak ulga, wdzięczność, miłość, spokój, strach, złość czy ból, to tylko odruch, nic więcej.

Te małe istotki potrafią idealnie wypełnić ramiona. Świetnie im wychodzi bycie przytulonym.

W tym momencie spływa na mnie poczucie winy i chęć do Walkera. Tęsknię za moim dzieckiem, które jest w jakimś innym pokoju, w ramionach innej kobiety.

Mina bierze z powrotem Zeva i nie mam już nikogo. Co, no wiecie, właśnie, oczywiście.

To pirackie nagranie Dylana dostałam od mojej przyjaciółki Jess, teraz sobie przypominam. To z tym noworodkiem otoczonym przez wściekłe wilki. I z diamentową autostradą, na której nie ma nikogo.

Mina przywiązuje sobie Zeva na piersi, żeby mieć wolne ręce, pochyla się nad stolikiem i wolną ręką zjada drugą porcję makaronu. Niebezpiecznie balansuje miską na kolanie i wcina.

Paul nie chce we mnie wejść.

– Będzie dobrze, kochanie – mówię mu. – Naprawdę, będzie dobrze. – Czasami posuwam się nawet do tekstu: „Chcę poczuć w sobie twoją gorącą spermę”, bo kto by nie chciał tego usłyszeć?

Ale on nie chce. Już nawet nie podaje mi myjki. Byłoby miło z jego strony, gdyby mi ją podawał. To chyba nie jest aż takie straszne, żeby podać komuś myjkę.

Mówi, że nie jest gotowy na kolejne dziecko. Co ty pieprzysz, naprawdę, ja też nie. Ale przeczytałam, że nasienie podnosi poziom serotoniny w mózgu kobiety, więc powiedzmy, że byłby to po prostu akt dobrej woli: no bo w końcu siedzimy w tym razem, czy nie?

Całe to gadanie o „gotowości” jest dziwne, bo Paul zachowuje się, jakby świata nie widział poza Walkerem. To się robi wręcz śmieszne. Ludzie zatrzymują mnie w restauracjach, żeby mi powiedzieć, jak wspaniale Paul zajmuje się dzieciakiem. Muszę się z nim bić o to, żeby raz na jakiś czas wytrzeć dziecku tyłek. Chociaż trzeba przyznać, że nie jest źle mieć akurat takie problemy.

Zazwyczaj mówi się, że to kobiety są tak zakręcone na punkcie bycia czyjąś MAMUSIĄ, że przestają śledzić wiadomości ze świata i tracą zainteresowanie seksem. U nas odwrotnie! Taka śmieszna zamiana ról płciowych. Wczoraj wrzasnęłam na Paula, żeby chociaż na chwilę, chociaż na pięć minut przestał śpiewać *The Wheels on the Bus*. Skończ wreszcie śpiewać o tych pieprzonych kółkach w tym pieprzonym autobusie. Możemy wypić spokojnie kawę? Nie zwracaj przez chwilę uwagi na dziecko i porozmawiaj ze mną. Dziecku jest dobrze. Dziecko jest bezpieczne. Dziecko jest szczęśliwe. A ja jestem tutaj i czuję się przeraźliwie samotna. Może wymasowałbyś mi kark? A może stopy? Może zrobiłbyś mi kolację albo rozśmieszył mnie na moment? Pamiętasz tę kobaltową, jedwabno-lnianą sukienkę w stylu lat dwudziestych i te kozaki, które włożyłam wtedy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, przed zebraniem na wydziale? Pamiętasz, jak w środku zebrania przyłapałam cię na tym, że się na mnie gapisz? Czułam twoje spojrzenie na udach. A pamiętasz, jak przez całe zebranie prowadziliśmy milczącą rozmowę i oboje się czerwieniliśmy? Pamiętasz, jak starałeś się nie zbliżać do mnie w obecności innych, bo od razu ci stawał?

A teraz tylko: „myślisz, że jak dostanie jeszcze jednego banana, to będzie miał zaparcia” albo

„spakowałaś chusteczki, koszulkę na zmianę i śliniaczek”, albo „możemy jeszcze o tym porozmawiać, ale tak szczerze, odrobina rozcieńczonego soku raz na jakiś czas to chyba nic wielkiego” i „raczej tę niebieską bluzę”, i jeszcze „chyba jest za zimno, żeby chodził bez spodni, nie sądzisz?”.

W okresie dojrzewania, kiedy hormony i trauma wkroczyły z butami w moją pamięć, wszystko robi się rozmyte. Depresja i utrata pamięci stały się moimi najlepszymi przyjaciółkami.

Tkwiałam zagubiona w bagnie prywatnej szkoły, pełnej okropnych, bogatych dziewczyn o imionach Sarah, Jenny, Melissa albo Lindsay, tak ogłupionych i zniewolonych, że już zawsze miały wypełniać swoje życie pustką wybielania zębów malowania paznokci treningów cardio samoopalaczy depilacji woskowania peelingów chemicznych syntetyków leczenia bezpłodności hormonoterapii chirurgii reprodukcyjnej.

Na zakończenie sezonu bat micwy wypuściłyśmy równocześnie zawiązki piersi i wąsików. Rozpaczałyśmy z powodu trądziku i napuszonych włosów. Wstawaliśmy o świcie, żeby prostować wspomniane włosy z zaangażowaniem i determinacją godną konkwestatorów.

Te, które miały matki, były natychmiast prowadzane na elektrolizę i do dermatologa, dostawały leki na wszystko, co możliwe, tak szybko, jak to możliwe: antykoncepcję, wielomiesięczną antybiotykoterapię na trądzik, wyniszczające leki na trądzik razem ze szczegółowymi rysunkami pokazującymi, jak mógłby wyglądać płód, gdyby zaszły przypadkiem w ciążę podczas leczenia, jeszcze więcej antykoncepcji, antydepresanty, jeszcze więcej antydepresantów.

Mój ojciec robił, co tylko było w jego cholernej mocy, żeby nie zauważać deformacji, jakim ulegało moje ciało: koszarnej cery, ciemnego meszku na policzkach, nierównych cycków. Tak jakby niezwracanie uwagi na te potworne zniekształcenia było wyrazem uprzejmości. Dopóki byłam dzieckiem, byłam oczywiście jego Śliczną Królową, ale kiedy wszystko zaczęło się we mnie pieprzyć, zareagował w stylu „no cóż, miło było, to powodzenia, cześć”. Ślepy Okulista Odwrócił Wzrok.

W samej mojej klasie było sześć dziewczyn o imieniu Lindsay. Dla odróżnienia nazywałyśmy je „Zarośnięta Lindsay” albo „Gruba Lindsay”. „Puszczalska Lindsay”. „Lindsay Bulimiczka”. „Ładna Lindsay”. „Festynowa Lindsay”. Dwie z nich miały nawet takie samo nazwisko. Lindsay Harris i Lindsay Harris. Żadnego pokrewieństwa.

– Nie – przewracałyśmy oczami, rozmawiając o pierdołach – ta druga Lindsay Harris.

O, szkoła prywatna na Manhattanie, gdzie nauczyłam się zdobywać pełną wiedzę o dziewczynie na podstawie obserwacji najdrobniejszych szczegółów jej makijażu i ubioru. Mogliby rozdawać absolwentkom dyplomy z Mistycyzmu Obiektowego. Zostałam wykuta w ogniu najniższego kręgu piekielnego, Kręgu Suk.

I ten wściekły, koci jazgot, którego używałyśmy do podsycania kobiecej drażliwości, te pazury.

Były dziewczyny ze wspierającymi matkami i z takimi, które rozrywały je na strzępy. Dziewczyny z nieobecnymi ojcami i z takimi, którzy je rozpieszczali. Dziewczyny bez matek, biedne owieczki z pierwotną, wiecznie niewygojoną raną. Dziewczyny, które pasjami się nienawidziły, dlatego że w rzeczywistości się kochały. I takie, które okazywały sobie ociekającą słodyczą miłość, dlatego że w rzeczywistości sobą gardziły.

Dziewczyny, które nie patrzyły na siebie, kiedy mijały się na ulicy. Dziewczyny, które kiedy tylko mogły, ignorowały nawzajem swoje istnienie. Nie: które udawały, że ignorują nawzajem swoje istnienie.

Razem z moją przyjaciółką Shane postanowiłyśmy kiedyś porozmawiać ze sobą otwarcie. Jej bogaci, niespełniający oczekiwań, ekshipisowscy rodzice „artyści” byli zawsze na haju; jej starsza siostra pieprzyła się z mistrzem zapasów z ostatniej klasy (pieprzyła się z nim bez przerwy, gdzie się tylko dało). Moja matka umarła, ale tak czy inaczej była bezużyteczna. Więc musiałyśmy być ze sobą zupełnie szczerze. Powiedzieć sobie nawzajem, co widzi reszta świata. Siedziałyśmy na tym samym stopniu drabiny społecznej: Kompletna Pomyłka. Nie miałyśmy nic do stracenia.

Zaczęła Shane:

– Bez urazy, ale masz straaaaaaasznie żydowski nos. Masz gruby brzuch, znaczy, jest dziwnie gruby w porównaniu z resztą. Masz naprawdę niezłe nogi. I oczy. I, no dobra, koniecznie musimy coś zrobić z twoim wąsikiem. Bez urazy. Mogłabyś być prawie ładna.

„Bez urazy” – to był styl Shane. Urazić kogoś: broń Boże!

Potem była moja kolej:

– Masz twarz jak jakiś obcy. Te dziwne powieki wyglądają strasznie, a oczy masz tak szeroko rozstawione, że są właściwie po bokach głowy. Wyglądasz przez to trochę jak tłusta ryba. Ale zostawmy na chwilę twoje ciało. Ubierasz się naprawdę fatalnie. Bez urazy. Masz świetne włosy, nigdy ich nie ścinaj. Chociaż mogłabyś raz w tygodniu zastosować mocną odżywkę, bo są trochę przesuszone. I wywoskujemy ci brwi.

Przez moment siedziałyśmy w ciszy, próbując pogodzić się z rzeczywistością. Potem zabrałyśmy się do roboty. Pomogła mi wybielić wąsik czymś, co podkradłyśmy z toaletki jej siostry. Śmierdziało i szczypało.

Kupiłyśmy w drogerii zestaw do domowej depilacji – mały plastikowy słoiczek brązowego wosku, który roztopiało się z rondlu z gorącą wodą. Niechcący przyprawiłam ją o oparzenia drugiego stopnia na nosie i wyrwałam więcej po lewej stronie, ale i tak wyglądała dużo, dużo lepiej.

Przez całe liceum udawałyśmy, że się przyjaźnimy. Miała dobre stopnie, poszła na dobre studia, została czułą ciocią tabunu dzieci spłodzonych przez jej siostrę i zapaśnika. Wygląda na to, że planuje teraz ślub i jest nim bardzo podekscytowana. („Nie mogę się doczekać, aż zostanę Panią Jasonową Fishman!!!!”) Profesjonalne zdjęcia z sesji narzeczeńskiej, tony makijażu. Co ona, do jasnej cholery,

zrobiła z brwiami? Zostały tylko dorysowane kreski. Biedne brwi.

Zlitowała się nade mną dopiero Arlene – niegdysiejsza licealna dziewczyna mojego ojca i jego chwilowa bratnia dusza – która zaprowadziła mnie do kosmetyczki na elektrolizę, do dermatologa i do swojego elitarnego ginekologa, przerażona, że jeszcze u żadnego nie byłam.

– Norman – usłyszałam przez ścianę – dziewczyna powinna iść od razu, jak zaczyna miesiączkować!

– Myślisz, że ona, hm... że ona już?

– Norman, z kosza w łazience cuchnie.

– Nie wiedziałem – powiedział.

Pierwszą miesiączkę miałam tuż przed tym, jak matka w końcu odeszła na dobre.

Poszłam sama, z trzęsącymi się rękami do drogerii za rogiem, żeby kupić podpaski. Mieszkała z nami wtedy pielęgniarka hospicyjna. Zawijałam każdą zużytą podpaskę w pół rolki papieru toaletowego i wciskałam głęboko do kosza, do którego pielęgniarka wyrzucała hospicyjne odpady.

– Nie wiedziałeś?! Norm, przecież ona nosi miseczkę E.

– Ja chyba... nie wiedziałem.

Arlene zaprowadziła mnie do wyciszonej, szarej poczekalni na parterze kamienicy w dzielnicy East Sixties, po czym uszczypnęła mnie w ramię, pochyliła się i szepnęła: „Tutaj przychodzi Jackie O.”. Chciała mnie chyba uspokoić.

Wzięty lekarz bez zbędnych ceregieli zapoznał mnie z wziernikiem, obmacał moje delikatne, nierówne cycusie i nie zawahał się nawet przez moment przed przepisaniem antykoncepcji, uzasadniając ją „brakiem regularności”. Tylko prawdziwy kretyn może zrobić coś takiego chwiejniej, pozbawionej matki czternastolatce z wielkimi nierównymi cyckami i wąsikami, która jeszcze przez kilka lat nie będzie miała nawet najmniejszego cienia okazji do współżycia.

Zaleta była taka, jak mi powiedział, że skoro i tak będę na antykoncepcji, to będę mogła brać nowy, cudowny lek na trądzik! Naprawdę działa – mówił, wypisując skierowanie do dermatologa. A, ale „zaleca się” też, żeby brać jednocześnie któryś z antydepresantów, bo dowiedziono, że lek ten może prowadzić do wystąpienia/zaostrenia „łagodnych lub poważnych” objawów depresji/psychozy. Więc nie był to najlepszy pomysł, bo odkąd w pierwszej liceum świetny nauczyciel angielskiego przerobił z nami wiersz Muriel Rukeyser *Próba porozumienia się dwojga ludzi*, a wers: „Kiedy miałam czternaście lat, śniłam o samobójstwie”³ krążył mi po głowie jak mantra, zaczęłam się przygotowywać. Zastanawiałam się nad różnymi sposobami. Prochy, podcięcie żył, skok pod pociąg, skok z dachu, pistolet, pętla, skok z mostu, piekarnik. Tylko że nasz piekarnik był elektryczny, a z tego, co wiedziałam, nigdzie w pobliżu nie było pistoletu.

Po rozpoczęciu leczenia przytyłam dwadzieścia kilo, w metrze już zawsze miałam przed oczami dokładny obraz siebie pod kołami pociągu i zostało mi bardzo mało szczegółowych wspomnień

z tamtych lat.

Ale cera od razu mi się poprawiła.

Wysypały się imprezy z okazji szesnastych urodzin, świętowanie wejścia w dorosłość. Sukienki kupione w dzielnicy The Village, uznawanej za neoromantyczną. Były spięte dziewczyny, które udawały bystre i wyluzowane, były wredne i głupie, które niszczyły wszystkim życie. Dziewczyny z takiiiiimi wielkimi cyckami, których los był już przesądzony. Dziewczyny, których rodzice zapisywali je na operacje usunięcia wspomnianych cycków i zastąpienia ich bardziej przyzwoitymi.

Miałam taką jedną przyjaciółkę, Rachel – w porządku dziewczyna, tak myślałam: bystra, ambitna, dziwna i urocza, miała głośny, koński śmiech – ale jeszcze zanim zaczęłyśmy studia, okazało się, że jest kolejną, nudną, popieprzoną anorektyczką. Przez wiosnę jej sarnie oczy wylazły na wierzch. Zwariowała na punkcie sałaty lodowej. Wszystkie dziwne, ciekawe, bystre dziewczyny głodziły się, głodziły i głodziły.

– Nie jesz nic? – pytałam, pałaszując lunch. Ja jadłam, i to z zapałem, przy ludziach: to był mój wielki protest. Jednoosobowe siedzące przedstawienie teatralne na scenie prywatnej szkoły: przeżuwanie jedzenia, które naprawdę zamierzałam strawić.

– Już jadłam. – Nie wypadało rozmawiać o tym z anorektyczkami. Podobno było to niegrzeczne.

– O, naprawdę? Co jadłaś?

Spiorunowała mnie wzrokiem. Głupi stereotyp! Nauczyciele najwyraźniej się nie przejmowali, rodzice się nie przejmowali, inne dziewczyny się nie przejmowały, a w swoim czasie komisja rekrutacyjna na Harvardzie też nie zwróciła na to uwagi.

Był podział na dziewczyny drobniutkie (zawsze popularne) i dziewczyny dobrze zbudowane, nadwiek-rozwinięte (zawsze niepopularne), dziewczyny klasy A, klasy B, klasy C i klasy D. Dziewczyny klasy B, które zrobiły sobie nową fryzurę, zdobyły modne akcesoria albo interesującego chłopaka, wskakiwały do wyższej klasy. Dziewczyny klasy C ograniczały się do trzymania ze sobą i tworzenia własnej małej utopii.

Z perspektywy czasu widzę wyraźnie, że to właśnie do nich warto było należeć. Przedwczesne anarchistki. Ryzykantki. Nie przejmowały się niczym poza sobą, odwracały się plecami i brały się do softballu, informatyki, ogrodnictwa, poezji, szycia. Tylko one miały widoki na to, żeby stać się stosunkowo zadowolonymi z siebie, szczęśliwymi/twardymi/pewnymi siebie/spełnionymi/siwymi dojrzałymi kobietami.

Ważna lekcja z tych mglistych, ale i tak koszmarnych lat: ten, kto najbardziej się stara, wypada. Za głośna, za ostry makijaż, za szybko mówi? Wszystko po niej widać? Wrażliwa? Jakiegokolwiek oznaki usilnych starań? Automatyczny wypad.

Dyskwalifikacja.

Dzięki niech będą Bogu Wszechmogącemu, że nie było wtedy Internetu. Dzięki, kurwa,

Chrystusowi, że nie było Internetu.

Dlaczego nie mogłam się tym po prostu cieszyć? Dlaczego nie mogłam być spokojna, opanowana, spełniona, przepełniona, pewna siebie i spokojna? Dlaczego brak snu sprawiał, że czułam się, jakbym miała zaraz umrzeć? I dlaczego nie mogłam wtedy po prostu oddać dziecka komuś innemu i pójść się zdrzemnąć? Dlaczego kiedy płakał, kiedy go nakarmiłam, odbiłam, przytuliłam, pocałowałam, przewinęłam i znowu nakarmiłam, odbiłam i przewinęłam, kiedy nadal płakał, kiedy ciągle płakał i nie chciał spać, a dni płynęły od wschodu do zachodu słońca, kiedy nie jadłam, nie przebierałam się, nie kąpałam, kiedy nie miałam do kogo ust otworzyć, z kim posiedzieć, miałam ochotę położyć go bezpiecznie w łóżeczku i pójść do parku, usiąść na ławce i siedzieć tam bez płaszcza, aż zamarzłabym na śmierć? Skąd to odrętwienie, ta nieporadność, ta wściekłość, to załamanie?

– Masz to we krwi – powiedziała moja matka i się roześmiała.

– Odpocznij trochę – mówił Paul.

Nie, nie było dla mnie odpoczynku. Nie miałam zaznać odpoczynku. Nie było ucieczki od tej nieludzkiej potworności: wydałam na świat dziecko. Zostałam rozcięta na pół bez powodu i niezależnie od tego, ile rozpuszczalnych szwów by mi założyli, już nigdy nie będę z powrotem cała. Odczuwałam histeryczny przymus Karmienia Go Samą Sobą bez przerwy, bez żadnych ustępstw. Musiałam być czujna. Wszechobecna. Padłam ofiarą zwyczajowej przemocy i miałam teraz dziecko, a wraz z nim za dużo do stracenia. Zawiodłam go już na starcie. Pozbawiłam mojego biednego, odurzonego kociaka tej kluczowej, epickiej podróży przez kanał rodny. Biedny bezbronny chłopiec.

Znaleźliśmy w końcu babcię zastępczą, zatrudniliśmy ją na kilka godzin w tygodniu. Była sympatyczna, matka dwóch dorosłych córek. Robiła wszystko, o co ją prosiłam, była posłuszna i kompetentna, ale ja nie chciałam mówić jej, co ma robić. Tęskniłam za tym, żeby to mi ktoś powiedział, co robić. Potrzebowałam kogoś, kto by mi pokazał. Poza tym nie była moją matką. Grzecznie wychodziła z pokoju za każdym razem, kiedy odsłaniałam pierś. Zaczynała koszarne rozmówki o niczym, kiedy potrzebowałam wyłącznie ciszy. A ja siedziałam rozbita, niezdolna do dania prostej odpowiedzi na pytanie o rodzaj proszku, którego miała użyć do zwykłego prania.

Skąd to roztrzęsienie, ta nerwowość, to balansowanie na krawędzi, ten smutek?

Paul próbował. Nie mógł zrozumieć, co jest nie tak. Przecież mieliśmy piękne, zdrowe dziecko, prawda?

Wstawał z nim codziennie o świcie. Taki facet. Świt za świtem. Każdego ranka, kiedy było jeszcze ciemno, a ja nie mogłam się ruszyć, nie byłam w stanie wysunąć się z ciepłych objęć łóżka, z bezpieczeństwa tej metafory, z łona.

Paul w końcu jednak musiał iść na uczelnię, na siłownię czy jeszcze gdzie indziej, to było nieuniknione, a dźwięk zamykających się za nim drzwi rozbrzmiewał dudniącym echem w mojej

piersi: zostawiał mnie samą z dzieckiem, a dookoła rósł groźny cień paniki. Jak on mógł?

Dobrze, małpeczko. Mamusia otworzy teraz lodówkę, wszystko jest dobrze. Mamusia wyjmuję jabłko. Tak, jabłko to właśnie to, czego potrzebujemy. Potem mamusia usiądzie na kanapie, dobrze, tak tak, cicho i spokojnie, no pewnie, no pewnie, nie ma problemu, cześć, robaczku, żadnego problemu, wszystko jest w porządku, jest wtorek! Nie wiem, co jest potem. Mój skarb. Dobrze. Wymyślimy sobie zaraz następny ruch. No właśnie. Dobra, to może cycusia, połów się spokojnie, mój mały, już niedługo wszystkiego się dowiemy, no tak, naprawdę, o właśnie, cicho i spokojnie, dobrze, dobrze, dobrze.

Kiedy Paul wracał do domu, dosłownie odchodziłam od zmysłów. Ogarniała mnie panika, ulga, poczucie winy i zwyczajne szaleństwo.

– Dzięki Bogu – mówiłam drżącym z napięcia głosem.

Brał dziecko, uspokajał, szczebiotał, uśmiechał się i trącał nosem, a ja patrzyłam z drugiego końca pokoju i czułam się bardzo dziwna, wyobcowana, odsunięta. Po głowie chodziło mi w kółko: byłoby wam lepiej beze mnie. Powinnam zniknąć. Nie potrzebujecie mnie. Nie zasługuję na was. Wy zasługujecie na dobrze przystosowaną kobietkę, która bez cienia skargi poddaje się poważnej niepotrzebnej operacji. Radzi sobie. Potrafi ucinać sobie drzemkę razem z dzieckiem. Potrzebujecie jednej z tych maleńkich, zwartych, nienarzekających suczek, które nie muszą sobie nawet kupować ubrań ciążowych. Które z wiekiem coraz lżej przechodzą okres. Nie mają włosów na ciele ani wahań nastroju. Szczęśliwe żony. Producentki żywności dla dzieci, naprawiaczki ubrań.

– Nienawidzisz mnie. Przyznaj się. Uważasz, że jestem okropną matką. Tak właśnie uważasz. Przyznaj. Przyznaj, że mnie nienawidzisz.

– Nienawidzę tego, przez co przechodzisz.

– Pieprz się, Paul! Nie jestem taka głupia! Nie jestem tępa! Bądź ze mną szczery!

– Skarbie, wcale nie uważam, że jesteś tępa.

– Przyznaj, że masz mnie za popieprzoną jędzę.

Moja przyjaciółka Subeena miała na to swoje określenie: „Być dla kogoś Złą Dziewczyną”. Przykład: Naprawdę podoba mi się ten facet. Spróbuję nie być dla niego Złą Dziewczyną i zobaczę, czy tym razem wyjdzie. Obie byłyśmy często rzucane.

Paul wyciągnął mnie kiedyś z domu. Zrobiliśmy sobie rodzinną wycieczkę w teren, do lokalnego baru z bajglami, koszarnej franczyzy. Weszłam tam powoli i siedziałam, jedząc w milczeniu fatalne bajgle, podczas gdy dziecko drzemało w chuście. Nie potrafiłam oderwać wzroku od paskudnego kalendarza z cherubinkami, który wisiał na ścianie, patrzyłam na daty – 8, 10, 12, 19 grudnia – i zastanawiałam się, kiedy wreszcie zdobędę się na odwagę, żeby zakończyć swoje życie, wyjść jedynym dostępnym wyjściem, pozwolić Paulowi wychować w spokoju naszego ślicznego chłopca. Byłam kulą u nogi, trucizną, zarazą.

– Coś w tym jest – powiedziała moja matka.

Knajpa była zimna i ponura, klimatyzacja włączona w środku grudnia.

– Rosół z kluskami – mówiła w kółko dziewczyna przy kasie, odpowiadając na pytanie o zupełny dzień. Na plakietce miała napisane SIOSTRA KATE. Jej szefem był BRAT DAVID. Wyobraziłam sobie, że są członkami jakiejś sekty, takiej szemranej. Ale czy każda w miarę zgrana i umiarkowanie szczęśliwa rodzina nie jest jakimś rodzajem sekty? Takiej dobrej?

Którejś mroźnej nocy zaczęłam zanosić błagalne prośby do swojej matki.

– Proszę cię, bardzo proszę, czy mogłabyś chociaż przez parę minut być odrobinę bardziej matczyna?

Nie wiedziałam, jak przetrzymać kolejne kilka godzin. Bałam się, że nie wytrzymam w ogóle. Jej twarz natychmiast złagodniała.

– Tak, kochanie – powiedziała i przechyliła na bok swoją idealnie uczesaną głowę.

Przyznaję, że w moim sercu nadal pozostawało dla niej nieduże pęknięcie. Ranka wielkości szpilki, z której ciągle płynęła krew, miłość albo jeszcze coś innego. W końcu była częścią mnie. A ja byłam jej częścią. Nie możemy wyrzec się tego, co nasze, choćbyśmy bardzo się starali. To, co jest nasze, jest nasze.

– Dziękuję – chlipnęłam i uroniłam ze dwie łzy.

Podeszła bliżej i odezwała się miękkim głosem.

– Może mogłabyś mi jeszcze tylko wytłumaczyć, co to właściwie znaczy?

Przynoszę babeczki ze sklepu kooperatywy.

– Zasikał już z siedem pieluch i nie było w nich nic różowego. I spał w nocy przez siedem godzin. To jakiś cud. Nie wydaje ci się to dziwne?

– Nie. To wspaniale. Myślisz, że to dziwne?

– Leżałam w nocy i zastanawiałam się, czy to nie dziwne.

– Ale to nie jest dziwne.

– Ani trochę dziwne.

– No bo przecież kobiety zawsze to robiły, a przestały, dopiero jak wynaleziono mieszankę i reklamy.

– Co było pierwsze, mieszanka czy reklamy?

– Reklamy. Nie wiem.

Ja karmię, a ona sobie odciąga, żeby pobudzić laktację. Mówi coś o tym, że jak jest taka gówniana pogoda, to ciężko wybrać się na spacer, ja odpowiadam, że no tak, zima to gówniana pora na rodzenie dzieci, a ona na to, że chyba każda pora jest gówniana na rodzenie dzieci, prawda?

Nie cierpiałam laktatora. Ohydna maszyna, prawdziwe narzędzie tortur i jeszcze ten okropny klekoczący świst. Mina w zamyśleniu kołysze nogą pusty wibrujący bujaczek, popija herbatę z glinianego kubka, wygląda przez okno w lodowatą ciemność.

Klekot laktatora zaczyna brzmieć jak „już-nie-sama-już-nie-sama”, potem bardziej jak „nie-wiem-sama-nie-wiem-sama”, a niedługo potem zmienia się w „jak-u-siebie-jak-u-siebie”. I w końcu „tego-nie-wiesz-tego-nie-wiesz”.

– A! – odzywam się. – Tak na marginesie. Uwielbiam Muriel Rukeyser. Zapomniałam wtedy.

– Zobacz, co mi przysłała siostra – mówi, kiedy ma już wpakowane do lodówki prawie sto mililitrów, to dobry znak, to znaczy, że laktacja się rozkręciła. Podnosi kawał materiału. Bładoróżowego. Czyta z metki: „Chusta do karmienia. By sprostać potrzebom aktywnych, nowoczesnych mam karmiących”. Jak burka. Taka jest właśnie moja siostra. I jeszcze to.

Kolejny skrawek materiału, uszyty tak, żeby pasował na siedzenie wózka z supermarketu. Dzięki niemu dziecko w ogóle nie musi go dotykać. Chroni je przed całym złem, jakie siedzi w wózkach z supermarketu. Mina zwija oba wynalazki i wciska je za kanapę.

Lubię to dziecko, jej dziecko, jego delikatne, czarne kędziorki, jego ciężar w moich ramionach, zapach noworodka. Nasze dziecko.

– Nie miałam pojęcia, że to będzie aż tak popieprzone – mówi.

– No co ty nie powiesz – odpowiadam.

– Dlaczego nic się o tym nie mówi? Chyba tylko kompletna idiotka może się martwić, że ktoś zobaczy jej cycki, jak ma za sobą coś takiego.

Na tym właśnie polega problem: nikt nas niczego nie uczy.

Jak żyć, zdobywać jedzenie, przechowywać jedzenie, budować, naprawiać, rozpalać ognisko, rodzić dzieci, opiekować się dziećmi, karmić dzieci, iść przez życie, starzeć się, umierać, przeżywać żałobę, zmieniać się, siedzieć spokojnie, w ciszy. Spokój i cisza, wieczni internetowicze, cisza, cisza, cisza.

Jak być samemu, jak się zamknąć i przez pięć minut побыć z sobą samym, jak słuchać, jak trwać w bezruchu, jak zatrzymać się nad przemijaniem i jak o nim myśleć, jak tworzyć rytuały, chodzić boso po ziemi. Podstawowa wiedza popada w szokujące zapomnienie, a my dalej stukamy w swoje urządzenia. Nazywanie nas małpami to obraza dla małp. Rodzenie nowych ludzi i opiekowanie się nimi stało się przedmiotem specjalizacji, zajęciem dla ekspertów, czymś, co się zleca. Podstawowe funkcje biologiczne zostały zarzucone jedno, dwa czy trzy pokolenia temu, a teraz znikły zupełnie, jakby taka wiedza nigdy nie istniała. To tak jakby oddychanie przejęli specjaliści albo nie – jakby sranie stało się ich domeną. Jakby jakaś korporacja zbiła fortunę na tym, że wmówi nam wszystkim, że sranie nie jest konieczne.

Panie i Panowie, nie musicie już przesiadywać w toalecie! Bywa to trudne, bywa bolesne, bywa żmudne, tak wiele może pójść nie tak. Uwolnimy was od tego. Wasze ciała nie radzą sobie aż tak dobrze z usuwaniem własnych odpadów, jak mogłoby się wydawać. My zrobimy to lepiej, zrobimy to za was! Poza tym ten otwór jest taki mały, podczas gdy usuwany materiał potrafi przybierać pokaźne rozmiary. W imię czego wasze ciała mają przechodzić przez coś takiego? Tak wielu ludzi cierpi na zaparcia i choroby jelit – teraz obie te dolegliwości mogą zostać zlikwidowane! Gówniarka to prosty wynalazek, niezbędny w życiu każdego nowoczesnego, aktywnego człowieka, który nie ma czasu na tradycyjne, niehigieniczne ludzkie wydalanie! Wystarczy niewielkie nacięcie w okolicy jelita, a jego zawartość będzie regularnie usuwana. Sterylność. Nowoczesność. Prostota.

Zostawcie śmierdzące odchody małpom i dzikusom. Zasługujecie na coś lepszego, a poza tym po co się kompromitować? Od dziś będziecie dokładnie wiedzieć, gdzie i kiedy odbędzie się wydalanie.

I bardzo szybko, kilka pokoleń później, nikt już nie pamięta, jak się zwyczajnie wysrać. Nikt nie wie, że głupia gazeta może pomóc, że nie należy się za bardzo napinać, że w ostateczności świetnie się sprawdzają zioła, sól Epsom czy olej rycynowy.

Ale, hm, no cóż, mijają lata i wygląda na to, że, yy, być może, he he, do tych, hm, „udoskonalień” wkradł się jednak jakiś ludzki błąd i pewna krótkowzroczność. Okazuje się też – kto by pomyślał? – że naturalne skurcze jelit przynoszą spore korzyści, a ciało jest samo dla siebie najlepszym opiekunem, sędzią i lekarzem.

Ale bez obaw, kiedyś uda im się przeprowadzić badania naukowe. A może czyjaś babcia pamięta, jak się sra, pamięta tę starą koncepcję, że ciało ma wszystko, czego potrzeba, żeby pozbyć się swoich własnych odpadów. Brzmi jak dziwna legenda: tak obco i fascynująco.

A tymczasem nie przejmujcie się bliznami, frajerzy.

Wszyscy bez przerwy strasznie się o mnie „martwią”. Sheryl mówi, że „nie doszłam do siebie” po tym wszystkim.

Czasami, kiedy jestem z dzieckiem, myślę sobie: jesteś moim sercem i moją duszą, oddałabym za ciebie życie.

Innym razem myślę: ty mały debilu, zostaw mnie, kurwa, w spokoju, żebym mogła podciąć sobie żyły w wannie i spokojnie umrzeć.

W kawiarni, w której nigdy nie pracuję nad swoim doktoratem, siedzi ta kobieta, którą widziałam w sklepie z pełnym noworodkiem. Uśmiechamy się do siebie.

– Nie czujesz się czasami, jakbyś zupełnie traciła głowę?

Z jej twarzy znika uśmiech.

– Jeśli tak, to nic nie szkodzi. To zupełnie normalne.

Ma brązowosiwe odrosty, reszta zafarbowana na czerwono. To prawdopodobnie przypadek

kobiety, która nie chce się rozstać z pierwszą fryzurą, w jakiej się sobie spodobała. Kiedy miała jakieś dwadzieścia trzy lata, po raz pierwszy przefarbowała się na czerwono i do tej pory nie wyrosła z bycia dziewczyną o czerwonych włosach, zawsze uwielbiała wizyty u fryzjera, wprawiały ją w dobre samopoczucie. Pobudka, kochanie, czas przeleciał ci koło nosa.

– Dobrze sobie radzimy – odpowiada. Proszę cię, suko: wciskaj to komu innemu.

– Ile ma mała? – (Od stóp do głów na różowo, więc pytanie było bezpieczne).

– Pięć tygodni. – Szklane koraliki. Pączek w szklanym wazonie.

– Z porodem było wszystko okej?

Drgnęła.

– Masz – mówię, wyrywając kartkę z prawie pustego notatnika. – To jest mój numer. Gdybyś kiedyś potrzebowała porozmawiać albo coś, to dzwoń. Kobiety nie powinny być z tym same.

Zrobię jej zapiekankę, żaden problem. Zajmę się dzieckiem, żeby mogła wziąć prysznic albo się zdrzemnąć. Nakarmię małą, jeśli będzie chciała.

Bierze złożoną kartkę.

– Dzięki.

– Jak ma na imię?

– Luka.

– „My name is Luka” – podśpiewuję Suzanne Vega.

– Właściwie, to nie myśleliśmy o tym.

Po jej wyjściu robię mały research. Legenda z czasów starożytnego Rzymu o bohaterskiej kobiecie, która ratuje swojego uwięzionego ojca od śmierci głodowej, karmiąc go potajemnie piersią. Nazywa się to Caritas Romana. Patrz: Rubens, Caravaggio, Steinbeck. A to tylko precedens! Zapytajcie babcię babci swojej babci. Arabskie określenie mężczyzn, którzy byli karmieni przez tę samą kobietę, czyli w przybliżeniu „bracia mleczni”, zakłada, że łączący ich związek jest silniejszy niż w przypadku ludzi, których urodziła ta sama kobieta.

Piszę do Marianne.

„Wiesz co? Robię teraz w swojej okolicy za mamkę! Czy to nie feminizm czwartej fali?!”

Po weselu Erica skupiła całą swoją uwagę na przerażającej wizji ciąży. (I dobrze zrobiła! Rechot, rechot!) Spotykamy się na wideoczacie, a ja w tym czasie składam pranie. Rozmawia ze mną, patrząc na siebie na ekranie, i bawi się włosami.

„Starają się”, ale minęły już cztery miesiące i nic się nie dzieje.

– To już trochę trwa – mówi. – Zaczynam się martwić.

Malutka zielona skarpetka szuka pary.

– Daj spokój. Chyba stać cię na więcej. Prawda? Stać cię na więcej, czy nie?

– To co? Myślisz, że w ogóle nie powinnam mieć dzieci?

– Myślę, że powinnaś wyluzować, zająć się własnym życiem, być wdzięczna za to, co masz, i mieć nadzieję, że prędzej czy później będziesz miała dziecko w taki czy inny sposób, a jak nie będziesz miała, to się z tym pogodzić.

– A, no tak, Ari, ty urodziłaś dziecko, więc teraz jesteś mistrzynią zen.

– Mhm.

– Pieprz się – powiedziała.

– Jak chcesz.

– Chociaż wcale mi się nie uśmiecha, że zrobię się taka gruba. Bez urazy. Mogę zadać ci pytanie?

– To było pytanie.

– Skąd wiedzieliście, że jesteście gotowi? My kupiliśmy takie coś do przewidywania, wiesz? Takie co wyznacza dosłownie co do minuty moment owulacji. Ale kompletnie stchórzyliśmy. Oglądaliśmy telewizję i zamówiliśmy jedzenie do domu. – Odwraca się i upewnia, że jest sama, po czym zniża głos. – Dobra, szczerze? Steve’owi nie chciał stanąć. Powiedział, że za duża presja.

Dziwnie się czuję, kiedy ludzie mówią o gotowości. Ja zupełnie tak nie funkcjonuję. Mój umysł nie ma absolutnie żadnego wpływu na uczucia. Nigdy nie jestem gotowa. Nie ma czegoś takiego jak gotowość. W zamian za to jest wyłącznie działanie.

– Toooooo może nie jesteście gotowi.

Bokserki Paula zaplątały się w moje spodnie od pizamy.

– A jak wy się do tego zabraliście?

– Po prostu nie robiłam nic, żeby temu zapobiec. Minęło trochę czasu i się stało.

Maciupeńki T-shirt.

– Czyli jak długo? W sensie ile czasu?

– Nie wiem. Może rok?

Malutka zielona skarpetka do pary. Kiedy byliśmy małe, Erica mówiła na siebie Kaka.

– Aha – powiedziała. – Ja się umówiłam do lekarza, żeby mnie przebadali i dali skierowanie. Na wszelki wypadek.

Malutka pomarańczowa skarpetka. No jasne, bo jeśli człowieka w ogóle stać na leczenie – albo jeśli pokrywa je ubezpieczenie – to zdecydowanie powinno być mu ono potrzebne.

– Kochanie – mówię. – Złotko. To nie jest dobra droga. Wyluzuj, proszę cię.

– Może ja nie chcę wyluzować – jęczy.

Pewna głęboko zrozpaczona para z filozofii jest teraz podobno w jakiejś siedemnastej turze tej głównianej zabawy. W zeszłym roku u Cama i Betsy kilkoro z nas uprzejmie kręciło głowami nad ich

ciężkimi przejściami, a Crisp aż się zagotował.

– Popieranie medycyny płodnościowej jest jak popieranie kary śmierci – powiedział. – Jeśli to ty jesteś bezpłodny, jeśli to twój dzieciak został zgwałcony i zamordowany przez psychola, jasne, że jesteś całym sercem za, to po prostu instynkt. Ale może nie powinieneś być wtedy za sterem, co? Ze względu na nasz najbardziej szczytny, zbiorowy cel duchowy, jakim jest, zaraz, jak to się nazywało? Ach tak! Pokora.

Jerry położył mu rękę na ramieniu, a Crisp strząsnął ją z siebie. Zaszło między nimi coś gwałtownego.

– Wiecie, że Ameryka to jedyny kraj wysoko rozwinięty, w którym przemysł płodnościowy nie jest uregulowany? Chodzi o pieniądze, jak ze wszystkim w tej popieprzonej demokracji. Klienci. Sprzedawcy. Brak ograniczeń etycznych, brak limitów zysku.

Odezwał się smutny rozwodnik z wydziału anglistyki:

– Więc gdyby dowalili kosmiczny podatek ludziom, którzy mogą wydać sto kafli na zrobienie sobie dzieciaka, to byłbyś zadowolony?

– Tak, to na początek. Uprzywilejowani skurwiele.

Jerry odezwał się łagodnie

– To trochę bezwzględne, nie sądzisz?

– Nie, kochany, nie sądzę. Ani trochę.

– A co, gdybyśmy sami chcieli mieć dziecko? – zapytał Jer.

– Tak jak nasi znajomi? Którzy kompletnie powariowali? Jak moja siostra, która ma teraz raka przez to gównu? Powiedziałbym: kochanie, w życiu nie dostaje się wszystkiego, czego się chce.

Betsy zaniósła naczynia do kuchni i już nie wróciła. Słabi duchem rozeszli się, żeby napełnić kieliszki i podyskutować o polityce uniwersyteckiej.

Kiedy dzwonię do ojca do domu, Sheryl zawsze podnosi drugą słuchawkę i podsłuchuje. Jeśli dzwonię do niego do pracy, nie muszę z nią rozmawiać. Recepcjonistka mnie przełącza.

– Cześć, córka! Co tam?

Jak zawsze życzliwy i rozkojarzony.

– Nic takiego – odpowiadam.

Przebłysk: kleszcze zaciśnięte wokół delikatnej czaszki mojego ojca, jakiś pewny siebie ginekolog wojenny kręci i ciągnie. Z ust zwisa mu papieros. Jakiś chrupot z boku głowy ojca, seria trzasków gdzieś głęboko wewnątrz, gdzie znajduje się odwaga. Jego matka na lekach, zobojętniała, pasywna, jęcząca, spocona, opuszczona, martwa dla siebie samej. Dziecko zabrane i odizolowane.

– Jak tam nasz piękny chłopiec?

– Dobrze, tato. W porządku.

– To dobrze! Dobrze.

Rozkładamy się u mnie albo u niej. Słuchamy muzyki. Podoba mi się muzyka, która jej się podoba. Chciałabym poznać ją całą. Dni wydają się cudownie pełne. Walker jest zawsze czymś zajęty i zadowolony. Zaczynam się zastanawiać, czy będę jeszcze w ogóle potrzebowała Nasreen.

– Tak to mogłabym mieć nawet dziesięcioro dzieci – mówię, a chodzi mi o to, że razem, jako zespół. Wspólne przesiadywanie, jedzenie, rozmowy, koce na podłodze. Przecież to, kurwa, żaden problem. Mówimy sobie: „mhmm wiem mój Boże dokładnie właśnie tak to normalne no”.

Karmię Zeva. Mina, zamiast odciągać, wpada na genialny pomysł, żeby karmić Walkera, który jest dużo większy i silniejszy, no i jest prawdziwym ekspertem, więc po co się męczyć z laktatorem? Pieprzyć laktator.

Nie byłam pewna, czy Walker ją zaakceptuje. Na początku spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: „eee?”. Potem wybuchnął szaleńczym śmiechem, jakby to był najlepszy dowcip, i spoglądał raz na mnie, raz na nią, zaśmiewając się do rozpuku. A potem poszedł na to bez żadnych oporów.

Ja trzymam wartę, kiedy ona idzie do łazienki, ona – kiedy ja przygotowuję lunch. Rozciągamy się, oddychamy. Walker bawi się, pokazuje mi różne rzeczy, jest spokojny, je, ucina sobie drzemkę. Odpoczywamy.

Mówimy: „tak, no właśnie, biedactwo” i „wiem, wiem, w tym cały problem”, i jeszcze „naprawdę? no jasne!”. Zamawiamy jedzenie z wątpliwej tajskiej knajpy, jedynej tajskiej knajpy. Układamy ostrego maila do położnej celebrytki, która rezyduje w mieście, bierze sobie dużo za dużo klientów i wszystkich, jak Hudson Valley długa i szeroka, załatwia na pół gwizdka. Nadal nie odpowiedziała na pierwszą błagalną prośbę Miny o pomoc, nie umówiła się nawet na wizytę kontrolną po porodzie.

– Nie mogę uwierzyć, że trafiła mi się położna, która jest nieczułą pizdą – mówi Mina. – Byłam pewna, że już sama idea porodu domowego wyklucza ideę nieczulej pizdy.

W ciągu tygodnia Zev przytył prawie kilogram.

– Mieszanka! – mówi pediatra. – A nie mówiłem? Wiele kobiet po prostu nie może karmić. Uaktualniła już pani dane do ubezpieczenia?

Kobiety robiły tak od niepamiętnych czasów. Na nowo odkryłyśmy normalność. Nigdy więcej siedzenia samej w domu i cichego popadania w obłąd, dziękujemy serdecznie.

To jest, kurwa, mój pieprzony doktorat.

O ile w liceum wszystkie dziewczyny miały na imię Lindsay, na letnim obozie żydowskim były same

Jael.

Letni obóz żydowski. Nawet dzisiaj te słowa smakują strychniną. Człowiek zaczynał się zastanawiać, czy jednak... cholera, a jeśli jednak cała ta koncepcja o niższości rasy żydowskiej była w jakimś stopniu prawdziwa? Wszystko kręciło się tam wokół seksu i syjonizmu. Syjonizm i seks, nic więcej. Powrót do szkoły na jesieni odczuwałam prawie jak ulgę, a to mówi samo za siebie.

Ale! Letniemu obozowi żydowskiemu należy się podziękowanie za Jess. Za moją kochaną Jessicę. Doradczynię. Nauczycielkę. Przewodniczkę.

„Chłopackie dziewczyny” – tak nazywałyśmy te, które szybko znajdowały sobie chłopaków i kurczowo się ich trzymały. Puste nudziary. Zawsze byłam zdania, że to dobra nazwa dla zespołu. Chłopackie dziewczyny. Puste nudziary.

(– No – mówi Mina).

Jeśli przyjaźniłaś się z pustą nudziarą, a ona znalazła sobie chłopaka, stawiałaś się nie na miejscu i bez znaczenia. Byłaś tylko stacją przesiadkową. Wypełniaczem. Słuchaczką niekończących się relacji z dramatów okołochłopięcych.

Jess nie była pustą nudziarą ani chłopacką dziewczyną.

Jess była obozową głosicielką teologii wyzwolenia. Pochodziła z przedmieść Bostonu. Była starsza, niedługo miała skończyć studia. Była gorąca i nieustraszona. Nie cierpiała tego miejsca nawet bardziej niż ja, ale jakieś sto trzydzieści lat temu jej rodzice poznali się na tym konkretnym letnim obozie żydowskim. Jadalnia nosiła imię jej dziadka ze strony matki.

– To bardzo proste – powiedziała. – Dopóki udaję, że robię to, co im się podoba, spłacają mi kartę kredytową i zostawiają mnie w spokoju.

Dała mi *Mit urody*, puszczała na okrągło pierwszą płytę Ani DiFranco. Trzymałyśmy się za ręce. Na początku studiów spędziła rok w Indiach i miała teraz szafę pełną prostych, eleganckich, bawełnianych i jedwabnych ubrań w szlachetnych odcieniach bieli, lawendy, błękitu i srebra. Miała nienaganną figurę. Żadnych biustonoszy. Wypinała dumnie cycki. Nigdy nie myła swoich długich, lśniących włosów. Bawiłam się nimi. Ona masowała mi kark.

Mówiła na mnie „ślicznotka”. „Słodziutka”. „Misiaczku”. Często się dotykałyśmy. Nigdy wcześniej nie miałam przyjaciółki, którą mogłabym dotykać. Która z kobiet kiedykolwiek mnie dotykała?

Jess nie robiła nic, żeby podkreślić swoją urodę. Nie interesowało jej to, jak wygląda. Wszyscy ją ubóstwiali. A ona była moją przyjaciółką. Moją!

Była już wcześniej z kilkoma facetami. Przynajmniej jeden z nich okazał się w znacznym stopniu destrukcyjny. Nigdy nie powiedziała mi, co się stało, ale było to coś złego. Albo wiele złych rzeczy. Aborcja – uświadomiłam sobie któregoś popołudnia, ale nie szukałam potwierdzenia. Miała swoje tajemnice. I była w tym jakaś władza.

Tak czy inaczej, skończyła z chłopakami. Gówno ją obchodzili. Chciała posłuchać o mojej matce. Chciała dowiedzieć się wszystkiego o ojcu i jego kobietach. Chciała słuchać o szkole prywatnej i o wszystkich Lindsay.

Opowiedziała mi o studiach kobiecych, o Guerilla Girls, o Jean Kilbourne.

To była nowość: poznałam taką dziewczynę, jaką chciałam być. Zaczęłam ją bezczelnie naśladować. Małpowałam ją od początku do końca. Wkrótce zaczęłam nosić słomiane sandały i indyjskie tuniki, przekłułam sobie nos, przestałam myć włosy. Opowiedziała mi o Sharon Olds, o kowbojskich butach, o biżuterii służącej za amulety. Dała mi Susie Bright, Grace Paley, Emmę Goldman. Dała mi Sleater-Kinney. Dzbanuszek do płukania nosa. Jogę. Dała mi palo santo z Peru. Dała wegetarianizm. Dała hula-hoop. Ekstazę. Robiliśmy sobie herbatę z miodem, cytryną i cynamonem i zasypialiśmy w swoich objęciach. Śpiewaliśmy *Both Hands* naszym podopiecznym – bandzie dwunastoletnich dziewczyn o rozszalałych hormonach, które poza tym ignorowałyśmy.

Któregoś wieczoru, czerwona jak burak, przyznałam się, że jestem dziewicą i że nigdy nie miałam orgazmu – no wiesz, wydaje mi się, że nie miałam, ale może miałam, nie wiem – a ona bardzo cierpliwie, powoli i pewnie wsunęła rękę w swoje luźne wiązane spodnie i pokazała mi, co to jest orgazm. Patrząc na nią, zrozumiałam, że nigdy nawet się do niego nie zbliżyłam.

Tuż przed końcem obozu wybrałyśmy się wieczorem na wycieczkę do miasta i zrobiłyśmy sobie uzupełniające się tatuaże. Obie byłyśmy naćpane. Żołędzie. Ja na lewym ramieniu, ona na prawym nadgarstku. Bo bez względu na to, jak daleko od siebie poniósłby nas wiatr, z pewnością wyrosłyśmy z tego samego drzewa.

Kiedy byłam na studiach, mieszkała tylko dwie godziny drogi od miasta i przez jakiś czas ciągle się widywałyśmy. Spotykałyśmy się wzdłuż całego Wschodniego Wybrzeża, chodziłyśmy na koncerty; byłam oszołomiona, znikalam w niej cała. Stawała w pierwszym rzędzie, wykrzykiwała swój entuzjazm, wyrzucała pięści w powietrze i odchodziła zachrypnięta, ze śladami łez na twarzy, przepełniona i zadowolona. Była moją idolką. Potem rzucałyśmy się na kolację, jakbyśmy od tygodnia nic nie jadły.

– Ty i ta twoja lesbijska muzyka – zauważyła kiedyś Erica.

Nie myślałam o nich jako o lesbijskich, o moich ukochanych Indigo Girls, o moich Michelle Shocked, Dar Williams, Shawn Colvin, Le Tigre, o mojej Ani DiFranco. Po prostu wiedziałam, że w czasie tych koncertów byłam pełna i normalna. Byłam osobą. Miałam znaczenie. Tak naprawdę nie byłam głupia, gruba, brzydka czy kiepska; byłam bystra, wartościowa, normalna i szczęśliwa. Miałam, kurwa, głos. W czasie tych koncertów kobiety nie były wystrojone jak gejsze. Mówiły o sztuce, o życiu, o polityce. Czuły, że mają prawo do uczuć, opinii, wściekłości, poezji, śmiechu, łez i ciała. Panowała atmosfera buntu. Bycie „śliczną” miało małe znaczenie. Funkcjonalne buty – duże. Liczyło się tylko to, żeby wyrażać się jasno i głośno, a reszta świata mogła się pieprzyć. Byłam piękna.

Miałam styl. Wartość. Paliłam. Jeździłam za szybko. Wszyscy wpadamy w stereotypy. Od przyjaciół człowiek uczy się, kim być. Zwłaszcza jeśli nie ma rodzeństwa.

– Albo ma rodzeństwo, od którego niczego nie może się nauczyć – mówi Mina.

Jess wstąpiła do Korpusu Pokoju, wyjechała do Ekwadoru, zakochała się w jakimś Niemcu, mieszka teraz w Berlinie. Raz w roku przeprasza, że jest taka kiepska w utrzymywaniu kontaktu.

– Mogłabyś mi o tym opowiedzieć?

– O czym, o porodzie? To najbardziej odjechana rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła. Wiesz, kwas, heroina, sadomaso: to dla dzieciaków. Pierdoły dla podlotków. Zabawa.

– Dlaczego, przez ból?

– Ból nie ma znaczenia. Chociaż nie, chodzi właśnie o ból. Ból przyciąga twoją uwagę. A jak coś idzie nie tak, to do bólu dołącza się strach, i to jest właśnie koszmar. Strach jest koszmarny. Strach to, kurwa, najgorsza rzecz na świecie. Jak coś idzie dokładnie tak, jak powinno, i jeśli w to wierzysz, to nie ma potrzeby, żeby się bać, a ból jest... nie wiem. Faktem. Stanem. Ból sam w sobie nie zawsze wywołuje strach. Kluczowe jest uświadomienie sobie tego. Mnie to całkiem rozwaliło.

– Mów dalej.

– Zbliżasz się do śmierci. Dochodzisz do miejsc, do których trudno się dostać w życiu, rozumiesz? Na sam skraj. I nie ma słowa bezpieczeństwa. Nic w stylu „niech ktoś to zatrzyma, ja wysiadam”. Czuję się jak wywrócona na lewą stronę. Jakby zeszła ze mnie skóra. Moja dusza opuściła ciało. Ego eksplodowało. Miałam wrażenie, że mnie rozsadza. Dosłownie: jakbym stawała się gwiazdą. Coś międzygalaktycznego. Coś, co przychodzi falami, które są strasznie regularne, wariackie. Coś... nie wiem... jak jakiś popieprzony pierwotny rytm kosmosu. I jesteś w tym sama. Całe twoje życie, całe twoje istnienie po prostu wymazane. Coś, jak kiedy normalnie starasz się przestać na chwilę myśleć? Po to właśnie ludzie piją, przesadzają z treningiem, ćpają czy co tam jeszcze? Bo to jest to. Ale tu dochodzi jeszcze, no wiesz, wybawienie, ocalenie. W momencie, w którym się to kończy, ból znika i pojawia się namacalny owoc twojego wysiłku. Namacalny owoc wysiłku! Możesz trzymać go w ramionach, zawinąć, przytulić, zapewnić bezpieczeństwo. Niesamowite, prawda?

– Mhm – mówię.

Przesuwa palcami po nóżce Zeva. Jest wyraźnie zaniepokojony. Zawsze myślałam, że niemowlęta są tak jakby poza tym wszystkim, ale okazuje się, że nie, jeśli urodzą się normalnie, to są właśnie – hej, hej – całkiem obecne.

– Bo to nie jest coś sztucznego, jak takie sadomaso. Jakaś wspólnie uzgodniona gra. Tutaj tak jakby nie ma nikogo na drugim końcu liny. Albo jest jakaś siła, której nigdy nie poznasz. Coś jak... życie, śmierć, ostateczne granice. Nie wiem.

Mina bierze do ust jedną z jego stópek i podgryza delikatnie. Jest na niej tak skoncentrowany, że

aż zaczyna poruszać rękami.

– A co z dzieckiem?

– Jak to co z dzieckiem?

– Nie wiem, jak w to wszystko wpisuje się dziecko?

– Dziecko jest nagrodą. Dziecko jest wygraną. Dziecko jest darem. Czeka po drugiej stronie...

też... jakby... mitycznej przeprawy. Nie wiem. Jest to, co przed, i to, co po. Wszystko, co przed, jest zupełnie inną sprawą, a potem to, co przed, jest już nieistotne. Śmierć, odrodzenie.

– Dziecko jest niewinne. Jest czystą kartą.

– No właśnie. Czy nie na tym to polega? Czysta karta, w twoich ramionach i gotowi, start.

– Tak – mówię. – Na tym właśnie to polega.

– Ona jest fantastyczna. Jest genialna.

Paul kiwa głową.

– Wydaje się fajna.

– Uwielbiam ją.

Paul przeciera blat, wyrównuje stos listów.

– Wiesz, jej się dużo bardziej popieprzyło w głowie niż mi.

– Niż mnie.

– Co ty pierdolisz, Paul.

Kolejna rzecz, której nie powinnam nawet próbować wyjaśniać. Mina jest jak wielki, stary dzwon, którego bicie odczuwam w najlepszej części samej siebie. Jego wibracje rozchodzą się nieustannie, wymiatają pajęczyny, usuwają sterty rupieci i nagle o, mój Boże, tu jest tyle miejsca, nie miałam pojęcia, że jest we mnie aż tyle przestrzeni, okazuję się całkiem przyjemnym zakątkiem. Rozpoznanie. Zjednoczenie. Światło, które od dawna było zgaszone.

Naprawdę ją lubię. Tym razem tego nie zrujnuję. Zabiorę się do tego z wyczuciem.

– Zaczniemy od początku. Co zrobiłaś na początku?

– Zadzwoiłam do mojej przyjaciółki Ilany, która zgodziła się być moją doułą za darmo, bo jeszcze nie ma certyfikatu. Bryan był na miejscu. Był tu już od kilku dni. Położna jechała sobie spokojnie z Poughkeepsie. Szło wolno. Bryan spał. Właśnie w takich momentach uświadamiasz sobie: jasna cholera, jestem całkiem sama.

– Bałaś się?

– Byłam poważna. Skupiona. Nie byłam spięta. Spięcie jest najgorsze. Nie powinno się do niego

dopuszczać. Po jakimś czasie przyjechała Ilana, spodobała się Bryanowi i zaczęli flirtować, a ja miałam ochotę wygonić ich oboje. Minęło kilka godzin. Skurcze były spoko, całkiem spoko, co kilka minut, ale byłam zupełnie świadoma, po prostu musiałam przerywać to, co akurat robiłam, no nie? Wyrwały mnie ze wszystkiego, niezależnie co robiłam. Jak kroić jabłko, to musiałam odłożyć nóż i po prostu skupić całą uwagę na skurczu. Jak najbardziej wykonalne. Nic wielkiego. Dobra. Położna nadal się nie zjawia. Skurcze robią się coraz mocniejsze. Doszło do tego, że nie mogłam już nic innego robić – nie mogłam rozmawiać, nie mogłam jeść, nie mogłam robić nic poza radzeniem sobie. Wytrzymywaniem skurczów. Wtedy trwało to już chyba siedem godzin. Położna w końcu dociera, ogląda mnie i idzie na górę się zdrzemnąć, bo to może trwać i trwać, ale no nie wiem. Oczekiwałam raczej, że będzie przy mnie. Bryan miał się zajmować muzyką i puszczał ciągle ten pieprzony absurdalnie intelektualny indie rock, jakby chciał zrobić wrażenie na Ilanie. Myślałam sobie: pieprz się, Bryan, ja potrzebuję jakiegoś dobrego R&B, jakiegoś bluesa. Coś innego. A jak usłyszałam jeszcze jeden bezsensowny kawałek indie rocka, prawie że krzyknęłam: „Wyłącz natychmiast to gówno!”.

Po jakichś dziewięciu godzinach miałam wrażenie, że Ilana zrobiła się nieśmiała, jakby była tu zupełnie niepotrzebna. Bryan nie jest nieśmiały, ale ma ambicje, żeby istnieć głównie w przestrzeni wirtualnej. Nie mógł tego znieść. Wymeldował się. Nie obchodziło mnie to. Położna wchodziła i wychodziła. Pamiętam, że w którymś momencie patrzyłam, jak je w kuchni kanapkę, i myślałam sobie: Kobieto, co to ma, kurwa, być? Potem przyszedł tak potężny skurcz, że upadłam na podłogę, i wtedy nagle zwróciła na mnie uwagę. To było naprawdę oczyszczające; jak najbardziej niesamowity odjazd. Wszystko stało się jasne. Nie było już miejsca na żadne pierdoły.

– Mogę tylko... No bo, nie gniewaj się, ale co, gdyby coś poszło nie tak?

– Wtedy pojechalibyśmy do szpitala.

– Mówisz tak, jakby to wcale nie było straszne.

– Chyba gdyby było straszne, to by było. Chodzi mi o to, że jak się boisz, to jest strasznie. Życie jest tylko tak przerażające, jak tego chcesz.

Boże, ale ze mnie porażka.

– Następny etap był zupełnie inny. Nie było przerw. To było ciągle, strasznie szybkie, fale przychodziły jedna za drugą, bez żadnych przerw: jedna rozbija się na brzegu, a na drugiej już widać grzebień. Kompletna kakofonia, zazębienie się, rozumiesz? I nic, tylko ten wariacki sztorm, który tak sobie mną rzuca. I nie słabnie, kurwa, ani trochę.

– Jak macierzyństwo!

– A ja już wtedy, no wiesz, jęczałam i błagałam, coś w stylu „proszę, dajcie mi przerwę”, ale nie, żadnych przerw. Złapało cię za szyję i będzie cię wlec, jeśli nie spróbujesz tego osiąść. Więc lepiej wskakuj i radź sobie.

– Nie poradziłabym sobie.

– Oczywiście, że byś sobie poradziła.

Wzruszam ramionami. Prawie na mnie krzyczy.

– Oczywiście, że byś sobie poradziła. Wcisnęli ci jakieś pieprzone bzdury. I słuchaj, jasne, że tak, gdyby w tym momencie pojawiła się jakaś miła pielęgniarka i zapytała: „Czy jest już pani gotowa na znieczulenie?”, to moja reakcja byłaby TAK, KURWA. Powiedziałabym NATYCHMIAST, SUKO JEBANA. Nie chodzi o to, że mam supermoce albo „nie przeszkadza mi ból”. – Ujęła twarz w dłonie i zamrugła gwałtownie. – Ja po prostu wiedziałam, że właśnie tak chciałam to zrobić, i wiedziałam, co się dzieje z kobietami, które się nie zabezpieczą. Więc zadbałam o to, żeby nikt mnie nie wyrolował.

Dopiero kiedy ktoś naprawdę spojrzy ci w oczy, uświadamiasz sobie, jak rzadko ktokolwiek naprawdę patrzy ci w oczy.

– Zostałaś zgwałcona tak na dobrą sprawę.

– Dziękuję – mówię i robię co w mojej mocy, żeby nie odwrócić wzroku.

Przez kilka dni w ciągu miesiąca mam ochotę rzucić się na każdego faceta, jakiego widzę. Potem mam wzdęcia i brzuch mi się zaokrągla. Później przez jakiś czas mam ochotę zapychać się jedzeniem, przerzucić się na cukier. Potem mam myśli samobójcze. Ogarnia mnie prawdziwa rozpacz, przerażający smutek. Zaczynam tęsknić do matki. Odnoszę siebie do niej. Jestem nią. Ona była mną. I wtedy właśnie zaczynam naprawdę brzydzić się Paulem. Nie mogę znieść sposobu, w jaki na mnie patrzy, mówi do mnie, dotyka mnie. Chcę sobie pójść. Wyobrażam sobie, jak się podpalam. Czuję się okłamywana, uciskana. Jestem pewna, że jego czułość jest udawana, że okazuje ją z obowiązku. Że w głębi serca ma mnie za niepotrzebną, papierową postać.

Z dzisiejszych wiadomości: historia dwuletniej chińskiej dziewczynki, porzuconej na ulicach dużego miasta. Kamery zarejestrowały, jak wchodzi na ulicę, na której przejeżdża ją biały van. Samochód zatrzymuje się na chwilę, po czym odjeżdża. Przez dziewięć minut malutka dziewczynka wykrwawia się i umiera na ulicy, podczas gdy mijają ją przechodnie i rowerzyści. Link do nagrania jest opatrzony ostrzeżeniem UWAGA SZOKUJĄCE. Patrząc, jak dziewczynka drepcze prosto pod tego vana, widzę uderzenie, widzę, jak jej małe zdziwione ramiona podnoszą się do góry i opadają na boki, prawie jakby wyciągała do kogoś rękę.

Cały czas to widzę. Zapalam świeczkę i staram się nie zwymiotować. Wszystko to jest częścią cyklu.

Zardzewiałe koło obraca się nieustannie, jakby kręciła nim jakaś niewidzialna, artretyczna ręka. Jutro, pojutrze, albo jeszcze następnego dnia, będę krwawić. Minie jak ręką odjął, jakby ktoś zerwał zasłonę. Wszędzie światło i spokój, a nagłówki nie będą rozwalać mi dni. Wszystko jest, będzie,

zawsze było w porządku.

Powstają niezliczone tomy na temat odkryć, wojen, przemocy, niebezpiecznych podróży, które zmieniają życie człowieka. Ale o tym nie wolno mówić. O pieprzeniu, o smutku, o ciemności, o krwi, o świetle. Za to gównu mogą cię, kurwa, spalić na stosie.

Na studiach miałam współlokatorkę z jednym jedynym fikuśnym, czarnym biustonoszem, którego nigdy nie prała. Była na stypendium socjalnym i brzydziła się tym zawrotnym przywilejem. Co, tak, rozumiem, i posłuchaj, jest mi naprawdę przykro, i proszę cię, robię, co tylko mogę wymyślić, żeby moje życie nie kręciło się wokół pieniędzy.

Miała obsesję na punkcie pieniędzy. O ironio! Nienawidziła mnie za to, że byłam bogata, podczas gdy mnie pieniądze nie obchodziły! To ciebie pieniądze tak bardzo interesują! I kto tu jest obrzydliwy? Proszę, weź moje ubrania. Czekaaj, zamówię dla nas lunch. Pewnie, pożyczę ci coś. Kompletnie mi nie zależy. Weź trochę, weź więcej. Ile mam ci dać, żeby udowodnić, że nie obchodzą mnie pieniądze? Ile, żebyś zrozumiała, że nie jestem chciwą, samolubną, zamkniętą w wieży księżniczka? Jak obdarte mają być moje buty, jak tanie T-shirty, jak staromodne sukienki? Ile lat mam chodzić w tym samym płaszczu? Jak bardzo mam być nastawiona na pracę w gównianych kafejkach i na uniwerku? Nie miało to znaczenia. Ona postanowiła, że każde gówno będzie mi miała za złe.

Potem była współlokatorka z uzależnieniem. Wchodziła i wychodziła jak duch, ledwie się witała, nie chciała się bliżej poznawać. Pieprzyła się z facetem, który grał w zespole. Rzadko bywała na miejscu. Przystojny facet, koszmarny zespół. Od czasu do czasu facet do mnie uderzał.

Później była Shira. Słodka zdzira z wierzącej rodziny z Jersey. Jej matka umierała. Pod koniec naszego drugiego roku zaczynała drugą turę chemioterapii. Nowotwór limfy.

– Moja umarła, jak miałam trzynaście lat – wyznałam któregoś wieczoru nad indyjskimi naleśnikami. Zmarła matka to stary numer. Mogłam się z nią zaprzyjaźnić.

– Moja z tego wyjdzie – powiedziała.

Zamarłam z pełnymi ustami. Ona jadła dalej. Hm, no pewnie.

Była szczupła i miała duże cycki. Kompletnie zwariowała na punkcie bardzo eleganckiego faceta, który traktował ją jak najgorsze gówno. Mnie nadal, ku mojej wielkiej rozpacz, nie udało się sprzedać swojego dziewictwa. Nie chciała wchodzić w szczegóły, ale zawsze, kiedy wypływał ten temat, robiła tę swoją skromną, zadowoloną minkę, żeby dać mi do zrozumienia, że się pieprzą. Miałam jej tego zazdrościć. W sumie była kretynką, ale miała najpiękniejszą na świecie przerwę między zębami.

Nasza przyjaźń zakończyła się, kiedy pojechałam do niej na Rosz ha-Szana, a jej ojciec okazał się ohydny ucieleśnieniem wszystkich możliwych stereotypów żydowskich. Facet był po prostu jakby

żywcem wyjęty z nazistowskich karykatur: przetłuszczone włosy, gruby, łysiejący, haczykowany nos, ziemista cera, pluł przy mówieniu, nosił obowiązkową czarną jarmułkę. Jego ciało wydzielalo obezwładniający odór. Plamy potu pod pachami na zaplamionej jedzeniem, bawełniano-poliestrowej koszuli z guzikami na kołnierzyku. Zupełnie jakby przebrał się za Brudnego Żyda na imprezę halloweenową KKK.

Zdobył się na wysiłek, żeby mnie przywitać, wziął mnie na cel.

– Ariella. Wnuczka Ocalałych, jak słyszałem.

– M-hm.

I nie wiem, jakim cudem w ciągu jakichś trzech minut doszliśmy do tego, że Palestyńczycy nie zasługują na to, żeby żyć.

– Mają szczęście, że pozwalamy im istnieć. To akt miłosierdzia.

Shira pomagała matce podawać zupę, chodziła tam i z powrotem między kuchnią a jadalnią. Zrobiła smutną minę, jakby chciała powiedzieć: no tak, nie przejmuj się, zawsze trochę przesadza.

Ciągnęło się to i ciągnęło. Uderzał w same wysokie tony.

– Moglibyśmy bez trudu się ich pozbyć. Powinniśmy. Izrael zawsze należał i zawsze będzie należał do narodu żydowskiego. Interesy bandy brudnych nomadów to nie nasz problem.

– Przepraszam, ale to jest chyba strasznie rasistowskie.

Shira wróciła z ostatnią porcją zupy. Wszyscy pozostali siedzieli przy stole i jedli, kiwali głowami albo gapili się w przestrzeń.

– Oni chcieliby zepchnąć nas do morza i pewnie według ciebie powinniśmy im na to pozwolić, co? W imię... czego? ...politycznej poprawności? No nie, przepraszam cię, panienko, ale przetrwanie narodu żydowskiego to sprawa nadrzędna, takie są fakty. Oni ukrywają składy swojej broni wśród kobiet i dzieci tylko po to, żeby podnosić krzyk, kiedy kobiety i dzieci zostaną postrzelone. Najchętniej pozbierałbym ich wszystkich do kupy, co do jednego, i zagazował to bydło. Pod względem gospodarki Izrael przewyższa wszystkich swoich sąsiadów razem wziętych! Ma najwyższy wskaźnik ludzi z wyższym wykształceniem na świecie! Telefony komórkowe pochodzą z Izraela. Współczesna nauka o płodności. Wąski skrawek pustyni zamieniony w kwitnący raj, światło dla narodów. Jak chcesz, to możesz zamieszkać z Arabami, żyć jak jaskiniowiec, nosić chustę, spróbuj, a potem przyjdź tu do mnie i opowiedz, jakimi są wartościowymi ludźmi.

– Jest pan kompletnym kretynem.

Shira zmieniła pokój jeszcze przed feriami zimowymi. Jej matka umarła na wiosnę. Po studiach ten jej przystojniak musiał z nią zerwać na dobre, bo z tego, co ostatnio słyszałam, wyszła za dentystę dziecięcego, urodziła gromadkę dzieci i mieszka w jednym z tych miasteczek w północnej części stanu, gdzie jest pełno ortodoksyjnych Żydów. To pewnie jakoś niedaleko stąd.

Wigilia u Cama i Betsy. Dom jest świątecznie przyozdobiony i wszyscy są w dobrych nastrojach.

Z Cameronem przytrafia mi się ta niezręczna sytuacja, że oboje chcemy pocałować się w prawy policzek, potem oboje zmieniamy na lewy i w bardzo subtelny sposób wściekamy się, że mało brakowało, a nasze usta by się spotkały.

– A ty nie jesteś przypadkiem Żydem? – pytam go.

– Podobno tak.

– A, to spoko. Wesołych świąt.

Cat umiera z ciekawości, żeby się dowiedzieć, co u Miny. Nie traci nawet czasu na krytyczną ocenę mojego stroju.

– Słyszałam, że urodziła.

– No.

– Wydaje się naprawdę fajna.

– Jest fajna.

Walker wspina mi się na kolana.

– Cyca – mówi. – Cyca?

Karmię go właściwie, kiedy chce, i czasami ludzie pytają niedbałym tonem:

– O, nadal karmisz?

No i oczywiście odzywa się martwooka żona pyszałkowatego politologa:

– Nadal karmisz, co?

– Ja cię – mówi pyszałkowaty politolog. – Skoro jest już na tyle duży, że sam się domaga...

W sierpniu w kawiarni na Chatham przy stoliku obok mnie usiadła typowa babcia na emeryturze i odezwała się całkiem swobodnie:

– Wiesz, że możesz karmić tego dzieciaka, aż skończy dwadzieścia lat, ale spieprzysz mu tym życie.

– Proszę, się nie martwić – odpowiedziałam w podobnym tonie. – To nie moje dziecko. – Zupełnie jakbym potrafiła przewidywać przyszłość.

Ale zrobiła minę! („Nie dyskutuję, jeśli nie ma płaszczyzny porozumienia” – mówi kobieta w moim ulubionym opowiadaniu Grace Paley).

Tak jakby chciała, żebym siedziała w domu, żebym się chowała. Nie, nie będę się chować. Nie będę wynosić się z tym do toalety w środku obiadu, żebyś nie musiała zastanawiać się nad tym, że jesteś dwunożnym ssakiem, suko.

Chciałabym, żeby byli tu Crisp i Jerry.

– Tak – mówię. – Wygląda na to, że karmię.

– No cóż, w porządku – mówi Martwooka.

– No cóż, dziękuję.

– Czy to boli? – chce się dowiedzieć Cat, wieczna dusza naukowca.

– Nie. Bolą tylko komentarze. Zniesmaczone spojrzenia sprawiają w pewnym sensie ból.

– Kto by się przejmował, co myślą inni? – mówi Paul. Piątka za włożony wysiłek, kochanie.

– Moja szwagierka nadal karmi swojego dzieciaka, a on ma już chyba ze dwanaście lat – mówi

Cam.

– Ma trzy lata! – krzyczy Betsy.

– Nieważne, mówię wam, to jest dziwne. Mały tak jakby masuje jej tę drugą stronę, a ona próbuje dalej z tobą rozmawiać, jakby nigdy nic.

– Mój Boże, wyobraź sobie, jakie trzeba mieć nerwy, jaką podzielność uwagi!

Wszyscy patrzą na mnie zdziwieni.

– Nie, na poważnie to powinieneś zakopać ją po szyję i ukamienować. Co za nawiedzona wariatka, zapewnia swojemu dziecku normalne, zdrowe, ssacze dzieciństwo. Tryskająca zdrowiem kobieta ośmiela się używać swojego ciała zgodnie z jego biologicznym przeznaczeniem i naturalną funkcją? Ohyda! Podczas gdy powinna kupować od międzynarodowej korporacji dużo gorszy produkt przeznaczony do tego samego celu. To po prostu nieamerykańskie. I jeszcze robi to na oczach takiego intelektualisty jak ty?! Zwiążcie ją i, KURWA, PODPALCIE.

Paul stoi nieruchomo. Betsy wydaje z siebie nerwowy, wysoki chichot, Cat nie przestaje jeść tymi swoimi małymi kęsami, a ja myślę sobie: jak ja was nienawidzę. Jak ja was, kurwa, wszystkich nienawidzę.

I wtedy, świetnie, po prostu cudownie, jasne, oczywiście, zauważam, że moja matka opiera się łokciem o gzyms kominka i kiwa głową w moją stronę, udaje, że jest pod wrażeniem.

– Lekarz powiedział mi, że karmienie piersią jest „dla ludzi pierwotnych” – mówi. – Mieli takie pigułki, które można było brać, żeby mleko się nie robiło. Pielęgniarki były stanowczo za mieszanką. Przez pierwsze pięć dni prawie w ogóle cię nie widziałam. Czułam się jak w raju.

Zanim ktokolwiek coś jeszcze powie, zabieram dziecko i wychodzę z domu ciągle z jednym cyckiem na wierzchu.

Trzask – zapomniałam swojej torby, a mam w niej klucze. Siedzę przez chwilę na schodach prowadzących do naszego domu, serce mi wali, po policzkach płyną łzy. Potem idę z Walkerem do Crispa i Jerry’ego i przez parę minut siedzę na ich schodach, próbując się uspokoić, czekając na coś. Nie wiem na co. Na jakiś znak. Na rozgrzeszenie. Na łaskę. Nic się nie pojawia, ale kiedy pukam, Mina otwiera i nie muszę jej niczego tłumaczyć. Zamyka za nami drzwi.

– Trawa albo kwiaty – powiedziała mi Marianne za pierwszym razem, kiedy jadłyśmy razem kolację. Szybko mnie sobie upatrzyła. Czuję się mile połączona. – Takie masz opcje. Jesteś wytrzymała, masz w sobie to krzepkie piękno? Czy jesteś delikatna, wymagasz pielęgnacji? Nie ma nic smutniejszego niż trawa, która usiłuje stać się kwiatem. Albo kwiat, który udaje, że jest trawą.

– Czy to nie jest trochę zbyt esencjalistyczne?

– Trawa albo kwiat, kochanie. Trawa albo kwiat.

Ostatniego dnia, kiedy krwawienie już właściwie ustało i wróciłam do normy, próbuję przekonać Paula, że jest w porządku. „Bezpiecznie”, jak to mówią.

– Proszę – mówię, kiedy zbliżamy się do końca. On jest na górze, co pomimo ciężaru historii i religii naprawdę jest moją ulubioną pozycją. Ostatnio czuję się, jakby to był jedyny sposób na jakiegokolwiek zbliżenie się do niego. – Skarbie – mówię mu. – Jest w porządku.

– Na pewno? – Nie jest przekonany, ale jest w nim jakaś chęć bycia przekonanym.

– Tak, skarbie, tak. Proszę. Tak.

– Na pewno?

Myśl o tym, że może we mnie wejść, ten jeden raz – jak za dawnych czasów! – sama w sobie niemalże mi wystarcza do przekroczenia granicy. Jestem blisko. Bardzo blisko.

– Proszę – błagam go. – Proszę.

Macica to potwór. Nienasycony. Chce żywcem pożreć mój umysł. W chwili, kiedy zaczynam się rozluźniać i brać głębokie wdechy i wydechy, kiedy umysł mi się rozjaśnia, a ja rozglądam się dookoła, z powrotem zaczynam widzieć otaczający mnie świat, rozpoznaję siebie i ludzi wokół mnie, dokładnie w tym momencie słyszę ten złośliwy szept, te docinki:

– Drugie dziecko, zrób sobie drugie dziecko, no weź, kim ty jesteś, kurą czy co, kiedy będziesz miała drugie dziecko, no dawaj zrób to zrób to zrób to no dalej dalej wiesz że tego chcesz że tego chcesz, przecież wiesz.

Zanim urodziłam dziecko, było to coś w stylu: I co, będziesz miała dziecko? Ile lat musi jeszcze minąć, zanim będziesz miała dziecko? A co, jeśli skończy ci się czas i nie uda ci się urodzić dziecka? To co z tym dzieckiem? No co, no? Co jeśli przegapisz moment i nie będziesz miała dziecka? Tik-tak, tik-tak! (A poza tym pssst! Nie chcesz mieć dziecka? Jakie to ma znaczenie? Zrób sobie dziecko!)

Dobra, okej, świetnie, wszystko dobrze poszło i urodziłaś dziecko, zanim opadła żelazna kurtyna czterdziestu iluś lat, i nawet nie musiałaś zmagistrować go z wątpliwej etyki medycznej, czystej woli i walizki pieniędzy. Piątka, udało się! Dobra robota. Teraz słuchaj: będziesz miała drugie? Nie chcesz drugiego? I jeszcze jednego? Będziesz miała drugie? No będziesz? Będziesz? Posiadanie jednego okazało się niewystarczające, żeby mieć wszystko – czy też wszystko, czego chce ciało – z głowy.

Paul kończy na moim udzie, a ja idę po myjkę.

Moją ostatnią współlokatorką na studiach była Liz. Jej ojciec się zabił. Była dziwnie cicha i słabo nawiązywała kontakt wzrokowy, siedziała na wysypisku własnego gniewu i kłamała na swój temat jak tylko mogła. Była królową lesbijek, a ja je wszystkie kochałam, te moje cudowne lesby, które pozbyły się przywar typowych dla dziewczyn hetero. Wydawało mi się wtedy, że nie można być spełnioną kobietą – ba, spełnionym człowiekiem – jeśli nie jest się lesbijką. Albo, na dalekim drugim miejscu, facetem hetero. Innymi słowy, kimś, kto interesuje się kobietami. Miłośnikiem kobiet. Osobą, dla której kobiety są punktem centralnym, głównym wątkiem.

Nie miałam nigdy stereotypowego kumpla geja, z którym plotkuje się o zakupach i chłopakach. Pieprzyć to. Doszłam do tego, że geje i kobiety hetero nie są interesujący. Ktokolwiek, kogo kręci seks z mężczyznami, nie, dziękuję.

Lesbijki i faceci hetero: zupełna prostota. Wszystkie karty były na stole. (Poza tym chcieli się ze mną pieprzyć).

Wyglądało jednak na to, że nie byłam zdolna do seksu z dziewczynami; to był jedyny problem. Kochałam kobiety i kochałam kobiety, które kochały kobiety, ale zasadniczo, uparcie tkwiłam w fascynacji kutasem. Lubiłam być naga przy kobietach. Lubiłam dotykać ich skóry ustami. Ale przy kobietach nie osiągałam tego miłosnego obezwładnienia. Kilka z nich próbowało przekonać mnie, że po prostu nie jestem gotowa, żeby zaakceptować prawdę. Że powinnam rzucić się na oślep w ten jedyny w swoim rodzaju dyskomfort, jaki zapewnia kobieta. Dużo zamętu.

Nauczyłam się jednak paru ważnych rzeczy. Stój prosto, przestań się ciągle uśmiechać, przestań upodabniać wszystkich do siebie. Nazwij to feminizmem. Nazwij to, jak chcesz. Rozluźnij twarz. Nie bądź bez przerwy taka miła i przyjacielska, nie stawiaj siebie na ostatnim miejscu, nie przejmuj się w pierwszej kolejności uczuciami wszystkich dookoła.

Liz i ja krytykowałyśmy się ciągle i zaraz po skończeniu studiów uprawiałyśmy najbardziej obłędny seks z nienawiści w historii wszechświata, po czym na szczęście przestałyśmy ze sobą rozmawiać.

Przyklejanie cen i układanie nabiału w sklepie.

Walker jest u Nasreen. Nie mogę przestać przeglądać zdjęć z ubiegłego roku na swoim telefonie. Nie mogę sobie poradzić z tym, jaki jest teraz; dopiero co oswoiłam się z dzieckiem, jakim był kilka miesięcy temu. Za rok będę oglądać dzisiejsze zdjęcia, będzie mi się chciało płakać i będę się zastanawiać, kiedy to wszystko zleciało.

– Do roboty, leniu – mówi Naomi. – Przyjdiesz na sylwestra? Będzie ekstra.

– Co się stało po rozpadzie zespołu?

– Przez jakiś czas grałam z kilkoma innymi. Byłam taką basistką do wynajęcia, ale w żadnym z nich mi nie wyszło. Coś było nie tak z energią. Nie żeby energia była w porządku między Kelly, Stef i mną. Wręcz przeciwnie. Stef była najgorsza. Najbardziej niebezpieczna dziewczyna, jaką kiedykolwiek spotkałam. Postawiła sobie za cel, żeby wszyscy dookoła czuli się zawsze tak źle jak ona.

– No, trochę to po niej widać.

– Kelly była super, ale była w strasznej depresji. Po prostu coraz bardziej się wycofywała. Nikt nie mógł na to nic poradzić. Im bardziej próbowałam, tym bardziej była nieobecna. Miała swoich znajomych od narkotyków i rozmawiała z nimi w tym ich prywatnym slangu. Odeszła tak naprawdę na długo przed śmiercią. Więc było to trochę rozczarowujące.

– I pewnie nawet nie do końca smutne.

– Po prostu coś w rodzaju ulgi.

– Ale ludziom nie da się tego wytłumaczyć.

– Nie. Smutek był tak jakby skutkiem ubocznym.

– A co z plotkami, że Stef nawróciła się na chrześcijaństwo i zaczęła organizować jakiś chrześcijański obóz rockowy... to prawda? I podobno jest o tym jakiś film dokumentalny?

– *Rockmenka: Zbuntowana jak Jezus.*

– A co było potem?

– Przez długi czas nie robiłam nic. Pieprzyłam się z facetami, którzy wymagali ode mnie pełnej uwagi, mieszkałam w dziwnych miejscach, nieważne. Przedawkowałam. Spędziłam trochę czasu w szpitalu. Pisałam. Trochę podróżowałam. Po prostu wyjeżdżałam, nie miałam dokąd wracać.

– A gdzie byłaś?

– Przez chwilę w Rzymie. We Frankfurcie. Po najgorszym i ostatnim już facecie. W Maine. W Nowym Meksyku. Co roku spędzałam dwa miesiące w artystycznej kolonii w Wyoming. Życie wydaje się pełne, kiedy człowiek jest w ciągłym ruchu. Dopóki nie przestanie się takie wydawać.

– Jak było w szpitalu?

– Pytasz o elektrowstrząsy? Zupełnie nie tak jak w *Locie nad kukułczym gniazdem*. Raz wystarczył z nawiązką. Nie pamiętam za dużo.

Podnosi nagle telefon.

– Nikt już do mnie nie dzwoni.

– Nikt już do nikogo nie dzwoni, mam wrażenie.

Szósta rano, Walker zaczyna wyć. Idę po niego, niech Paul śpi.

– Dziękuję, skarbie – mamrocze spod poduszki.

Kuchnia. Przygotowuję owsiankę, napełniam kubek niekapek. Pomagam z łyżeczką. Wymyślam zabawę klockami, która zapewnia mi jakieś sześć minut spokoju. Kiedy Walkerowi nudzą się klocki, podbiega do mnie i przyciska twarz do mojej nogi, piszczy z radości, parska z wystawionym językiem, śmieje się do rozpuku.

– Cyca? Cyca?

Nie mówię, że dzieje się to codziennie, co minutę, i nie twierdzę, że wszystko inne staje się dzięki temu nieważne, ale zdarzają się momenty najbardziej zwariowanej, wszechogarniającej radości. Co za nieziemsko piękny chłopak. Zabawny, kochany dzieciak. Ciepły, otwarty i pełen miłości. „Mój robaczek” – tak go nazywam. „Małpeczka”. „Słodziak”. Jeśli świat go zepsuje, zniszczy w nim to, co kochające, otwarte i zabawne, rzucę się na ten świat z rykiem. Złamię mu kark jednym uderzeniem swojej potężnej łapy, bez ostrzeżenia. Jeśli cokolwiek będzie próbowało spieprzyć życie temu dzieciakowi, to ja to, kurwa, zabiję.

A najbardziej zwariowane w tym wszystkim jest to, że ja rzeczywiście z każdym dniem coraz bardziej go kocham. Nie miałam pojęcia, że tak to będzie wyglądało. Podobno kobieta zakochuje się w momencie, kiedy dziecko opuszcza jej ciało, ale ja po wszystkim miałam raczej myśli w stylu „CO TO, KURWA, MIAŁO BYĆ”. I bardzo chcę wierzyć, że on miał podobne odczucia. I tak sobie byliśmy. Nasza relacja będzie się rozwijać, poznajemy się. Chodzi mi o to, że on jest całkowicie ode mnie zależny, co jest bardzo intensywnym przeżyciem, ale nie jest miłością. Z biegiem czasu będę musiała dawać mu coraz więcej wolności. To jest miłość. To wymaga pracy.

Ale co, jeśli to ja spieprzę mu życie? Co jeśli ja zniszczę w nim to, co kochające, otwarte i zabawne?

Wczoraj wieczorem oglądaliśmy z Paulem film. To była jedna z tych durnych komedii drogi, w których przewija się motyw puszki z ludzkimi prochami. Na koniec zrozpaczona/komiczna wdowa rozsypuje wspomniane prochy z klifu nad brzegiem morza, a za sprawą wiatru większość z nich ląduje prosto na niej. Za każdym razem, kiedy w fabule jakiejś komedii pojawiają się ludzkie prochy, można być pewnym, że żaden z twórców nie ma zielonego pojęcia o śmierci.

Paul nie mógł zrozumieć, co takiego mi się nie podobało w tej głupkowatej komedii. Czasami czuję się samotna w swoim mroku. Małżeństwo to trudna sprawa. Trzeba się bez przerwy starać pokazywać to, co w człowieku najlepsze. Nędzny, odrażający, popieprzony oszust, który siedzi w środku, musi być codziennie rzucały na ziemię. Ale nie ma tak, że serce zwija się w kłębek i umiera; ono ciągle chce więcej i więcej. I też trzeba je powalić na ziemię.

Jak tylko wyłączyliśmy film, usłyszeliśmy pod dachem nietoperza. „Mi mi mi mi mi. Mi mi mi mi mi”.

Kiedy Paul zasnął, masturbowałam się, myśląc o facecie, którego kochałam kiedyś przez kilka

tygodni, a cały związek spędziłyśmy nago w moim mieszkaniu. Pamiętam go w najdrobniejszych szczegółach. Wiem, że nic by z tego nie wyszło, ale O Mój Boże!

Nietoperze nadają przez całą noc. „Miimiimiimiiii”.

Ten dom jest dziewiętnastowieczną rezydencją; czasami przestaję to dostrzegać. Siedzę w salonie i się zachwycam. Ogromna przestrzeń, którą powoli zapełniamy. Zastanawiam się, czy będziemy mieli jeszcze jedno dziecko. Jestem strasznie rozdarta. Podobnie muszą się czuć poszukiwacze wrażeń, którzy skaczą z samolotu. Złamało mnie to. Zupełnie zniszczyło tę śliczną starą mnie. Nie ma już tamtej kobiety. Tamtej dziewczyny.

Spodziewałam się chyba, że będę się czuła, jakby Walker był jakimś przedłużeniem MNIE, jakąś częścią MNIE samej. A wcale tak nie jest.

wiesz, że urodziła dziecko w waszej wannie, prawda?

tak, ostrzegała nas. jer się strasznie rozczulił.

Cat pyta, co u mnie, chce się spotkać. Już jej nie potrzebuję. Mam teraz prawdziwą przyjaciółkę!
– Kiepsko się czuję – kłamię. – Walker mnie zaraził.

Nietoperz w domu – piszę do Willa.

Przeçois go miotłą, nic innego nie da się zrobić. Zwykle pojawiają się jesienią, ale przez ostatnie parę dni było tak ciepło, że mógł się przez pomyłkę obudzić. Słyszałem, że najbliższa globalna pandemia prawie na pewno zostanie wywołana przez patogen roznoszony przez nietoperze.

Cudownie. Dziękuję.

Sylwester.

Wrócił Bryan.

impreza w troy... – pisze. – idziesz?

Sie wie – odpisuję, a autokorekta w telefonie poprawia mi na Nie wie.

Paul „nie przepada” za sylwestrem. Kiedyś kłóciłam się z nim o to, wymuszałam świętowanie, ale po kilku latach kończenia ze łzami w oczach, podczas gdy reszta świata całuje się, ściska, krzyczy, tańczy i śpiewa, postanowiłam nie brać go w ogóle pod uwagę, tego zrzędlivego starucha. Póki co nie jest źle.

Wysyłam Bryana po ekstazę Crispa – trochę zatęchłą, ale nadal niezrównaną – która znajduje się w potężnej fiołce z etykietą wellbutrinu z dorysowaną niezmywalnym markerem uśmiechniętą, fioletową buźką.

– Tym razem pasuję, dzieciaki – mówi Mina.

W odruchu litości piszę do Cat. Dwadzieścia minut później czeka na nas ubrana na swoich schodach.

– To jest Bryan – przedstawiam.

– Hej.

– Hej, hej.

Noc jest dosłownie lodowata. Bank oszczędnościowy Naomi okazuje się czarującym miejscem, tylko ja, Bryan, Cat i kilkuset studentów z Utrechtu, Bennington, Bard, Vassar i Skidmore, ubranych jak ja pod koniec gimnazjum. Wojskowe buty, sukienki od Jessiki McClintock, okulary, wszystko co trzeba.

Cat krzywi się na tłum. Postanawia zdobyć dla nas drinki, zupełnie jakby znalazła się w jakimś tandetnym serialu o CIA. Zadziera nosa. A ja nawet nie mam ochoty na drinka.

– Nie opierdala się – zauważa Bryan.

– To na pewno.

Zaczynam tańczyć, powoli, potrzeba trochę czasu, żeby się rozkręcić. Bryan wyskakuje od razu z jakimś niepewnym, robotycznym tańcem.

„Światła pogaszone dla maksymalnej swobody” – można przeczytać u dołu zaproszeń Naomi.

To, że wycięli ze mnie dzieciaka, nie oznacza od razu, że moje biodra do niczego się nie nadają. Nadal potrafię nimi kręcić. Jeszcze nie umarłam.

Bryan jest chętny. Kiedy wraca Cat, zaczynamy już całkiem niezłe wczuwać się w rytm.

Nie trzeba być wrózką albo na haju, żeby zauważyć, że Cat prędzej narobiłaby w gacie, niż zgodziłaby się zatańczyć. I stoi tak z trzema piwami w rękach. Podaje mi je i ucieka szukać łazienki. Daję jedno Bryanowi, a dwa pozostałe studentkom w kabaretkach, które przechodzą obok.

– Dzięki! – krzyczy Kabaretkowa, nie zatrzymując się nawet.

– Właściwie to nigdy nie widziałem twojego męża! – wrzeszczy Bryan.

– Właściwie to nigdy nie widziałam twojego fiuta! – odwrzaskuję.

– Jak to z tobą jest?

– Jak to jak?

– Jesteś szczęśliwa?

– Czy jestem „szczęśliwa”?

– No. Szczęśliwa.

Wzruszam ramionami. A może by tak namieszać mu trochę w głowie? Szczęście.

– Bo ja wiem.

– A kto inny może wiedzieć?

– Punkt dla ciebie.

Niedaleko kręci się śliczna dziewczyna, metr osiemdziesiąt, krótkie włosy, jakieś dziewiętnaście lat. Zakochana w sobie, tańczy. Obserwuję ją i zaczynam naśladować.

– Jak się czujesz?

– Naćpana!

– Poza tym?!

– Skąd człowiek ma wiedzieć, jak się czuje?

– Człowiek czuje, a potem obserwuje swoje uczucia.

– A jeśli człowiek nie wie, jak się czuje? Co jeśli człowiek nie ma nawet pojęcia, jak te pieprzone uczucia powinno się, kurwa, odczuwać?

– Wtedy człowiek może być nieszczęśliwy.

Przestaję tańczyć, wyciągam rękę po jego piwo i pociągam duży łyk. Młode, spocone ciała poruszają się wokół nas. Te wszystkie dziewczyny są strasznie ładne. Mam nadzieję, że w swoim czasie przeczytają każdą biologiczno-feministyczną książkę o porodzie, jaka tylko wpadnie w ich zręczne ręce. Żeby w pełni rozkwitu móc asystować sobie nawzajem przy porodach. Niech otaczają księżyc siostrzanym kultem. Bryan mi się przygląda.

– Myślisz, że twój mąż jest szczęśliwy?

– Pewnie nie! – Nachylam się bardzo blisko niego, żebym nie musiała krzyczeć. – Jestem niezłą suką.

Ten uśmiech to najbardziej szczere, co Bryan w sobie ma, najbardziej urocze. To koszmarna cecha u człowieka, nie można się jej oprzeć. Albo nie można było.

– Jesteś piękna – powiedział. – Wiesz o tym.

Moją odpowiedzią na tego typu teksty było zawsze pełne zażenowania niedowierzanie i żałośnie podekscytowane „zamknij się, kurwa”. Ale tym razem zostawiam to bez komentarza. Kim on dla mnie jest? Może i jestem piękna. Może nikłe światło wydobywa akurat to, co trzeba, może włosy ładnie opadają. Może bluzka dobrze się układa, może dupa wydaje się krągła i stercząca. Może został jeszcze jakiś błysk szminki. Pewnie, właśnie tak: piękna.

W spojrzeniu Bryana jest głupie wyzwanie. Cat wraca, a on nadal na mnie patrzy, ale ja odpadam. Pa, chłopczyku. Jestem już dorosłą dupą. Spojrzałam śmierci w oczy i przeżyłam, żeby opowiedzieć swoją żalną, zszokowaną, pozszywaną historię, a przede mną stoi przerośnięty chłopiec, który próbuje wykorzystać mnie do jakiejś gierki. Kim ja dla niego jestem?

Znikam w tłumie, zatracam się wśród spoconej młodzieży.

– Ojej! – Naomi prawie zwała mnie z nóg. – Przyszłaś!

W drodze powrotnej Cat siedzi na przednim siedzeniu i dosłownie pomrukuje. Bryan trzyma rękę na jej udzie i teraz, kiedy już wyszliśmy z imprezy, ona podryguje do muzyki z radia. Przeszła wyzwolenie. Może się naćpała. Nie jest sobą. Leżę wyciągnięta na tylnym siedzeniu, jeszcze spocona od tańca. Ostro tańczyłam. Jest jak we śnie.

– Pączki z drive-thru – pokazuje Bryan.

– Ojejciu, jedziemy? JEDZIEMY?! – Cat zupełnie odbiło i nawet ją taką lubię.

Nowy Rok. Robię kolację dla Mina i Bryana. Paul idzie na siłownię.

– To dobry człowiek – mówi Mina.

– Wiem – odpowiadam z rezygnacją.

Jest dobra czekolada, gorący rum z masłem i gulasz soczewicowy, niekoniecznie w tej kolejności. Mamy stertę kolorowych gazet, waporyzator, Bryana w roli DJ-a i dwoje śpiących dzieci. Jest ogień na kominku. Poza tym, że Bryan ciągle robi zdjęcia i wrzuca je do Internetu, jest całkiem miło.

– Zaraz się porzygam – mówi Mina. Rzuca we mnie swoją gazetą. Artykuł z pierwszej strony opisuje celebrytkę, która trafiła do szpitala po swojej czwartej cesarce w ciągu pięciu lat. Przez te wszystkie nacięcia. Macica pokryła się tkanką bliznowatą. Łóżysko nie miało się gdzie przyczepić.

– Nie zrzucaj winy na ofiarę – mówię.

– Fajnie, bądźmy wszyscy ofiarami, to nikt nie będzie nas za nic winił.

– Może powinniście, nie wiem, oficjalnie potępić porody operacyjne – mówi Bryan. – Zorganizować jakąś partyzancką kampanię PR o tym, jakie to dziwne i niebezpieczne, żeby dzieci rodziły się przez operację. Niezłe – mówi, sięgając po komputer.

– Wiesz, dlaczego nienawidzę kobiet?

– Nie, laleczko, powiedz nam – odpowiada mi Bryan. – Dlaczego nienawidzisz kobiet?

– Bo mnie nie przygotowały. Bo mi nie pomogły. Bo zostawiły mnie z tym samą. Bo w większości same wolały nie wiedzieć. Jak mogły pozwolić mi wpaść do tej króliczej nory? Wiedziały, co się wydarzy. Każda kobieta na świecie powinna wiedzieć.

– Dzięki Bogu, że nie mamy córek – mówi Mina.

– Dzięki, kurwa, Bogu, że nie mamy córek – zgadzam się z nią.

Sheryl powiedziała mi, że w czasie porodu grała w karty. Opowiadała o tym bez emocji. Maszyny zaczęły piszczeć. Bip bip bip. „A ja powiedziałam: O, to pewnie był skurcz”. Po tych słowach się roześmiała, jakby mówiła o czyimś ciele, o czyimś porodzie.

– Może po urodzeniu dziecka nie trzeba się już bać śmierci – mówi Mina.

Bryan stuka w klawiaturę. Moja matka pochyla się z założonymi rękami nad ekranem i mruży oczy.

– Boimy się porodu tak samo jak śmierci – mówię. – No bo po co próbujemy robić wszystko, żeby go znieczulić i poddać kontroli? Z jakiego innego powodu nikt nie lubi o tym mówić? Wszyscy się boją. Są tak przerażeni, że nie widzą nawet, że są przerażeni, że wszystko kręci się wokół strachu.

– Dobrze – mówi Bryan. – „Wszyscy są tak przerażeni, że nie widzą nawet, że są przerażeni”.

Moja matka przewraca oczami.

– Ludzie zawsze bali się porodu – mówi. – I zawsze bali się śmierci. Od zawsze tak było i zawsze tak będzie. Nic nowego pod słońcem.

Lokalna rozgłośnia NPR znowu puszcza nowelę *Dary magów* w ramach audycji specjalnej. „Myśl tylko o tym, co masz” – huczy niesamowicie głęboki, zdarty, męski głos – „a nie o tym, czego ci brakuje”.

– Hej – mówi Bryan później, kiedy idę na górę, do łóżka. Mina zasnęła na kanapie, a Zev na niej. W kominku żarzą się jeszcze węgle. – Powiedz mi szczerze. Myślisz, że ona ma tę, no, depresję?

– Yy... tak.

– Myślisz, że jest z nią, tak jakby, w porządku? Bo powiedziałem, że wrócę, ale nie mogę zostać na zawsze.

– Myślę, że to nie jest normalne, żeby urodzić dziecko i być samemu.

– Ona nie jest sama. Ma ciebie! Co ja mam niby robić?!

– Masz z nią być. Masz dziwić się, jakie to wszystko porąbane. Masz być wyrozumiały. To wymaga czasu. I tyle. Bądź przy niej. Karm ją.

– Ja jestem wyrozumiały. Nic nie robię, tylko ją wspieram. Wczoraj ni z gruszki, ni z pietruszki zaczęła płakać, powiedziała, że jest wyczerpana, że musi wymyślić jakiś humanitarny sposób na zabicie ich obojga. To wariactwo. I nie jestem pewien, czy ta cała zabawa – łapie swój własny cycek tak, jakby chciał mnie nakarmić – naprawdę pomaga. Dlaczego by nie dać dzieciakowi mieszanki i nie skończyć z tym.

– Ona tego nie chce.

– Ona zwariowała.

– Nie ona pierwsza.

– Jesteś jakąś wiedźmą czy co?

– Mhm – odpowiadam i zabijam go wzrokiem.

3 Styczeń

Kiedy pod koniec ciąży uległam namowom i przekonałam się do długich spacerów, zaczęłam włóczyć się po mieście i natknęłam się na Archiwum Towarzystwa Historycznego w Utrechcie, czyli na składowisko położone tuż obok Archiwum Elementów Architektonicznych w Utrechcie, czyli jeszcze większego składowiska, w którym można znaleźć wszelkiego rodzaju niezwykle stare drzwi i okna, żelazne dekoracje, witraże, żyrandole, wanny na lwich łapach, akcesoria hydrauliczne, gzymsy kominkowe, kominki, kaloryfery, wrzeciona, balustrady, słupki od balustrad, ozdobne gzymsy, wyroby z drewna i podłogi. To idealne miejsce dla ekscentrycznych antybohaterów, o których marzą wrażliwi studenci. W zakurzonej stercie starych czasopism znalazłam poradnik karmienia piersią z 1941 roku.

„Pierwszego dnia karm swoje dziecko przez minutę. Drugiego dnia karm swoje dziecko przez dwie minuty, trzeciego przez trzy, aż po dwóch tygodniach dojdiesz do piętnastu minut, czyli do maksymalnego czasu, jaki twoje dziecko powinno spędzać przy piersi. Płacz dobrze robi na rozwój płuc”.

Zapłaciłam za to pięć centów i powlokłam się dalej.

Bryan patrzy, jak karmię Zeva. Mina ucina sobie drzemkę.

– Czy Paul ssie twoje cycki?

Jeśli powiem tak, wyjdę na zboczoną i nielojalną, ale jeśli powiem nie, zrobię z siebie cnotkę.

– Chcesz possać moje cycki?

– Pewnie!

– Sorry.

– No weź. Masz najładniejsze suteczki na świecie.

Odsłaniam je, mile połączona.

– Żydowskie sutki. Najsmaczniejsze.

Śpiewam małemu Zewowi spokojny refren z piosenki The Misogynists, w którym jest pełno nowych, fascynujących wyrażen: „nie wstyd mi i nie przeproszę”.

To wszystko jest fantastyczne, te dzieci i te moje cycki.

Ludzie nie chcą o tym mówić, nie chcą w ogóle przyjmować tego do wiadomości. Rzesze internautów lubią patrzeć, jak dwie nagie dziewczyny srają do miski, a potem to zjadają, ale niemowlęta, które z lubością ssą piersi, czyli najlepsze źródło niekończącego się, darmowego pokarmu i zdrowia, to nadal dla wszystkich temat tabu. Niech ktoś mi to wytłumaczy bez pomijania imperatywu historycznego, jakim jest mizoginia. No proszę. Niech ktoś spróbuje.

Jestem w tym dobra. Spójrzcie na mnie, karmię dwoje dzieci w tandemie. Jestem cholernie dobrą mamką. Jestem bardziej niż wystarczająca. Jestem wszystkim. Dajcie mi trzecie. Dajcie mi czwarte.

Jestem źródłem. Mam mnóstwo do rozdania. Niech tylko usiądę, a życie popłynie dookoła mnie, we mnie, przeze mnie, po mojej za dużej bluzce, na wieki wieków, amen.

Wchodzi zaspana Mina.

– Czy ty go właśnie nakarmiłaś?

– Tak.

– Ale teraz ja już mogę.

– To nakarm Walkera.

– Dobra. – Wydaje się trochę poirytowana. A to z kolei mnie trochę irytuje.

Odwracam się z powrotem do Bryana.

– To co?

– No?

– Powiesz nam, co się wydarzyło między tobą a Cat w Nowy Rok?

– Nic ciekawego.

– Ja to ocenię.

– W ogóle nie miała ochoty robić mi krzywdy i za nic w świecie nie mogła wydusić z siebie czegoś interesującego, co ja mógłbym jej zrobić. I ciągle tak na mnie patrzyła, jakby chciała się ze mną bzykać, a ja myślałem tylko: słuchaj, nie, ja to bym chciał, żebyś tak długo ścisnęła mnie za jaja, aż się porzygam.

– Powinieneś napisać opowiadanie o świecie, w którym wszyscy muszą mieć dzieci – odzywam się nagle.

– Jak to, pod przymusem?

– Tak – mówię. – Pomyśl tylko, w jaki pieprzony obłąd ludzie by wpadli.

– Prawdopodobnie nie większy niż pieprzony obłąd, w jaki teraz wpadają – mówi Mina. – Poza tym nie mówi się pisarzowi, o czym ma pisać.

Sheryl zaprasza mnie do miasta, żebym się „rozerwała”. Paul jest całym sercem za. Niemalże wyrzuca mnie za drzwi.

– Jedź, skarbie. Poradzimy sobie.

Sheryl chce, żebyśmy zrobiły sobie paznokcie. Jest zachwycona tym pomysłem. Ale ja nie chcę robić sobie paznokci. U kosmetyczki pachnie toksyczną śmiercią.

– Na miłość boską, Ari, rozchmurz się. To co ty byś chciała zrobić?

Nie mogę nic wymyślić. Albo raczej nie potrafię tego zawęzić. Chciałabym dostać pustą, pięćdziesięciometrową kawalerkę w Chelsea z jakimś innym nazwiskiem na dzwonku do drzwi. Chciałabym usiąść przy oknie w kawiarni, z książką i długopisem w ręku, podczas gdy na zewnątrz padałby deszcz. Chciałabym pojechać kolejką do północnej części miasta i spotkać się z kimś na

impresie. Chciałabym założyć kapelusz i nie wyglądać w nim głupio. Chciałabym się naćpać i przymierzać luksusowe ciuchy po butikach. Chciałabym spędzić godzinę w dobrym szmateksie na Brooklynie. Chciałabym ubrać się w coś ładnego i wyjątkowego i pójść do muzeum z jakimś uwodzicielem. Chciałabym, żeby pod koniec kolacji (z przystawkami i dużą ilością wina) położył mi delikatnie rękę na piersi, aż rozpali mnie to do tego stopnia, że będziemy musieli natychmiast stamtąd wyjść, no już, płac, po prostu chodźmy, to nic, że duży napiwek, to nic, kto by się tym przejmował, no chodźmy już. Chciałabym obudzić się następnego dnia w południe w jego cudownie jasnym, niezagraconym mieszkaniu, pocałować go na pożegnanie, obiecać, że niedługo się z nim zobaczę, może nawet naprawdę tak myśleć. Chciałabym przejść się na spacer, na targ, znowu przesiedzieć całe popołudnie przy mocnym latte, znowu z książką i znowu z długopisem, drżąc jeszcze na wspomnienie nocnej fali orgazmów. Chciałabym pójść do kina z przyjaciółką, porozmawiać z nią o tym, czym się zajmujemy, co chcemy osiągnąć, o czym myślimy. Chciałabym się pośmiać. Chciałabym mieć mały domek w górach Catskill, w którym mogłabym położyć materac, palić szawie, ogolić sobie głowę jak pokutnica, spędzać całe dni na czytaniu, spaniu, pisaniu, rozciąganiu się i gotowaniu w ciszy. Jestem prawie pewna, że w poprzednim życiu poszłam do klasztoru.

No więc idziemy z Sheryl zrobić sobie paznokcie, a potem nie poznaję swoich dłoni z tymi idiotycznie perfekcyjnymi kwadracikami.

Późnym popołudniem idę na kawę z Marianne. Obrzuca wzrokiem mój manikiur.

Poleciała mi książkę Chodorow *Reprodukcja macierzyństwa*; według mnie to kupa gnoju. Opowiadam jej o Susan Weed, Inie May Gaskin, Mai Tiwari i Pemie Chödrön.

– Ari, proszę cię, tylko nie te wszystkie pierdoły o bogini matce ziemi.

– A właśnie, że tak, Mari, wszystkie te pierdoły o bogini matce ziemi. Właśnie tak.

Prostuję się. Teraz właśnie te pisarki feministyczne są według mnie ważne. Feminizm, który nie skupia się na ciele, na duszy i na zależnościach pomiędzy nimi – na tym, jak biologicznie kobiece ciała podejmują czysto kobiece zmagania – przestał być dla mnie interesujący. Ciało jest mieszkaniem i odbiciem duszy. Ciało jest wszystkim. Naruszanie kobiecego ciała to pierwotna i jedyna zbrodnia.

Jej brwi są tak wysoko uniesione, że wyglądają, jakby za chwilę miały wystrzelić w powietrze. Trzeba bardzo uważać na wszelkiego rodzaju napięcia mięśni twarzy, bo powoli, ale nieuchronnie zostają nam one na stałe.

– Nie wyobrażam sobie, żeby robienie za mamkę mogło być aktem politycznym, Ari.

– No cóż, kochana, może to po prostu fatalny brak wyobraźni z twojej strony.

Jej uśmiech jest zarazem słaby i sztuczny. Mam ochotę ją udusić.

– Dobrze. – Wzrusza ramionami. – Udowodnij mi, że się myłę.

Przegląda zdjęcia Walkera na moim telefonie. Znudzony uśmiech. Zapala kolejnego papierosa.

– Jest słodki.

Wiecie, co w tym jest absurdalne? Wydawało mi się, że będzie dumna z Walkera, że pokocha go, bo jest mój. Że dla niego też będzie chciała być jak matka. Że będzie częścią naszej nowej rodziny.

Rozstajemy się na rogu Bleecker i Charles.

– Życzę ci szczęścia, Ari – mówi.

Chwilę później mijam pędem trzydzieści budynków wzdłuż Seventh Avenue, żeby zdążyć na pociąg – cycki mam pełne, twarde i obolałe. Myślałam, że mogę spędzić cały dzień z dala od moich osesków. Błąd. Dobrze, już dobrze, ciało ty moje, rozumiałam, wyrażasz się jasno i wyraźnie. Obficie.

– Dobra – mówi Bryan. – Akcja wygląda tak. Mamy rok 2115. Ludzkość straciła zdolność do laktacji. Rząd sprawuje kontrolę nad mieszanką dla niemowląt, która jest produkowana w tajemniczych warunkach i przypuszczalnie wzbogaćta środkami umożliwiającymi kontrolę umysłu. Żeby z dzieci nie wyrosli przypadkiem ludzie zdolni do kwestionowania władzy albo do samodzielnego myślenia. Została tylko jedna kobieta, która potrafi karmić piersią. To prosta, wiejska dziewczyna z jakiejś zatrutej amerykańskiej dziury. Otrzymała tę wiedzę od matki, a tamta od swojej matki i tak dalej przez cały ród kobiet, które kierowały się odwagą i zasadami w czasach, kiedy ta sprawa była jeszcze przedmiotem gorących dyskusji, czy coś w tym stylu. Rząd nie może pozwolić, żeby ta dziewczyna karmiła swoje dzieci albo czyjeś inne. Stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwowego, nie wspominając już o interesach licznych korporacji.

– Na jedno wychodzi – wtrąca Mina.

– Gdyby podzieliła się wiedzą z innymi kobietami, w ciągu jednego pokolenia mogłaby wyrosnąć armia buntowników, którzy obaliliby *status quo*. Więc napuszczają na nią zabójcę, a wiejska dziewczyna ze swoją trzódką zaczyna uciekać.

Spogląda na nas z uśmiechem.

– Tak – mówię.

– Zdarzają mu się dobre pomysły. Nie potrafi tylko tego pociągnąć.

Obrzuca ją groźnym spojrzeniem.

– Nie no, słuchaj – mówi Mina – problem polega na tym, że nikt nie interesuje się dziećmi. Jasne, ludzie zauważają je, ale ograniczają się do czegoś w stylu „o, jakie śliczne dziecko” albo „ha, ha, ha, jaki śmieszny niemowlak z podłożonym męskim głosem”, a nikt nie interesuje się nimi naprawdę. Są nudne. Proszę – pokazuje na zagracony stół. – Laktatory, lecytyna, krostki na sutkach, kozieradka, krzeselka do karmienia. Powiedzcie, kogo to obchodzi? Nawet mnie nie obchodzi.

– Zapytaj ją, kto jest ojcem – mówi do mnie Bryan.

Nie mam odwagi.

– Niepokalane poczęcie – odpowiada Mina.

– Nic więcej od niej nie usłyszysz.

– Zobacz – mówi do mnie Mina. Nagranie, na którym Kristin Hersh udziela w Danii wywiadu i jednocześnie karmi swoje roczne dziecko.

– Wszystkie jesteście takie same, suki – mówi Bryan.

Spoglądamy na niego równocześnie. Jesteśmy jednym, ona i ja. Jedno ciało. Granice są niczym innym jak odrzuceniem życia i miłości.

– Och, przepraszam, wszystkie jesteście takie same, drogie panie.

– Lepiej.

– Zadręczacie się, bo chcecie mieć dziecko, nie chcecie mieć dziecka, obojętne wam, czy będziecie mieć dziecko, ojej-czas-się-kończy-a-ja-chcę-dziecko, a potem w końcu macie to dziecko i nagle posiadanie dziecka zaczyna was wkurwiać. No zaraz, chciałaś dziecko, masz dziecko, wyluzuj i ciesz się dzieckiem.

– Nie sądzisz – pyta Mina – że to może być ciut bardziej skomplikowane?

– Sam nie wiem, zdaje się, że ludzie miewają dzieci jakoś tak chyba od zawsze? Trzeba mieć jaja, drogie panie.

– Jesteśmy tępymi pizdami – wyjaśniam.

– Właśnie tak. Jesteście tępymi pizdami.

– Naprawdę, możesz mi wierzyć.

– O rany, patrzcie. – Mina ściska swoją prawą pierś i zalewa się mlekiem, tryska z niej na kilkadziesiąt centymetrów.

Klaszczemy, gwizdźmy, przybijamy piątki.

Mam nową koleżankę na zmianie w sklepie. Niedawno została babcią i właśnie wróciła z dziesięciodniowej wizyty w Oregonie u córki i u nowej wnuczki.

– Łał – mówię. – Twoja córka ma szczęście, że cię ma.

– Tak – odpowiada. – Była naprawdę wdzięczna.

Dziesięć dni, wyobraźcie sobie. Gotuje, sprząta, pierze, wstaje do dziecka w środku nocy. Mówi w porządku, wszystko będzie dobrze.

Układam na półce gorzką czekoladę ze Sprawiedliwego Handlu; świeża babcia pracuje nad wystawą ekskluzywnego karmelu z orzeszkami ziemnymi. Łamię jedną tabliczkę czekolady i rozkładam do degustacji.

– Ta czekolada – odzywa się. – Najlepsza!

- Genialna – przytakuje.
- Czasami po prostu nie można jej się oprzeć.
- Co to jest, że kobiety tak lubią czekoladę?
- Nie wiem, czy to taka *stricte* kobieca cecha – odpowiada.

Ojoj, policja drugiej fali ruszyła do akcji. Żeby tylko, broń Boże, nie okazało się, że kobiece ciało rzeczywiście jest inne. Żebyśmy tylko, broń Boże, nie przyznały, że zamieszkiwanie kobiecego ciała ma swoją specyfikę. Jest w nim straszniej i cudowniej. Bo co by się stało? Straciłybyśmy prawa wyborcze? Zapakowaliby nas w chusty albo do więzienia? Najlepiej zaprzeczać, zaprzeczać, dostać się do Gabinetu Ovalnego, wygrywać, wygrywać, wygrywać.

– O, to z całą pewnością kobieca cecha – stwierdzam, po czym odwracam się plecami i do końca zmiany pracuję w ciszy.

Oczywiście chcielibyście wiedzieć, w jaki sposób moja babcia ocalała.

Matka mojej matki. Dręczycielka mojej dręczycielki. Mam wszystkie jej listy. Na pewno jesteście ciekawi, w jaki sposób od Auschwitz doszła do Park Avenue, do Westchester, do płacenia gotówką za fortepian, za zegar stojący, porcelanę kostną, mieszkanie i dom, w którym wszystko pokryło się kurzem. Jak dokładnie wyglądały dawne udręki, przez które przeszła i od których uciekła? Wszyscy chcą zawsze wiedzieć. Dopytują się.

Ale przecież wiecie, prawda?

Przeżyła dzięki temu, że obciążała nazistom. Miała dziewiętnaście lat. Ocalała z ustami pełnymi pulsującej nazistowskiej parowy.

Wszystko jasne?

Na dnie szkatułki należącej do mojej matki znalazłam listy z czasów powojennych.

Przeżyła ukryta pod grubą warstwą nazistowskiej spermy. Ocalała, bo pozwalała nazistom posuwać ją w dupę. Myśleliście, że to nowy wynalazek?

Właśnie w taki sposób przeżyła. Może w listach nie było to dokładnie tak sformułowane, ale przesłanie dotarło do mnie jasno i wyraźnie.

Szokujące? Bulwersujące? Podniecające? Proszę, tylko nie udawajcie teraz przygnębionych. Myśleliście, że ocalała, bo wierzyła w triumf ludzkiego ducha? Dzięki wierze, nadziei, medytacji transcendentalnej?

Dajcie spokój.

Przeżyła dzięki temu, że oddawała się wszystkiemu, co lubisz oglądać w Internecie. Tak, ty. Oszczędź mi przedstawienia i idź wyczyścić historię w przeglądarce.

Wszystkiemu, co chcieli jej robić, i wszystkiemu, co chcieli zobaczyć, jak inni jej robią. Ocalała dzięki temu, że w pełni się na to zgadzała. Rżnięta na wszelkie możliwe sposoby we wszystkich możliwych kombinacjach. Przez trzy lata.

To teraz już wiecie.

Pieprzyłam się raz z dwoma facetami. W pewnym sensie mi się to podobało, ale chwilę później czułam się okropnie i to uczucie samo w sobie było jak pobudzający, zły narkotyk, którego chciałam więcej. Odkryłam wielką wolność w byciu przedmiotem. W pozwalaniu im, żeby mnie wykorzystali, żeby moje ciało stało się czymś, co można wykorzystać. Miałam wtedy niejasne poczucie wyższości. Nawet nie takie niejasne, gdyby się nad tym zastanowić. Jakbym wzniosła się ponad własną duszę, raz na zawsze porzuciła ten kłopotliwy twór, jakbym jej nie potrzebowała. Uciążliwa bestia.

Nie wszyscy naziści źle się do niej odnosili. Niektórzy byli w pewnym sensie uroczy. Niektórzy robili to powoli. Jeden był prawiczkiem. Napisała, że się rozpłakał. Wtulił twarz w jej ramię i szlochał jak dziecko.

Miała jedzenie, ciepło, łóżko. Przywilej mycia się i prania ubrań. Nie zamarzała, nie głodowała ani nie chorowała na tyfus.

Jasne? Właśnie w taki sposób ocalała. Ocalenie nie jest piękną sprawą. Zakochana w książkach, uzdolniona muzycznie wiejska dziewczyna, duma i radość ojca masarza, straciła dziewictwo. Ukochana pierworodna, opiekunka młodszych dzieci. Marzyła o nauce w konserwatorium w wielkim mieście, po którym włóczą się artyści. Gwałcona pod obłokiem dymu, w starych dobrych czasach, kiedy nikt nie miał jeszcze komórki, żeby zrobić zdjęcia dla serwisów informacyjnych. Chociaż serwisy informacyjne i tak by się tym nie zainteresowały. Jej młodsze rodzeństwo nie miało nawet w połowie tyle szczęścia.

Scena: Deportacja. Obóz zagłady. Zimno. Strach.

Wyganiają ich z pociągu i ustawiają w kolejce. Z przodu stoi oficer, który wysyła większość na prawo, a tylko nielicznych na lewo. Moja babcia trzyma się swojej przyjaciółki z dzieciństwa, Elsy. Już wcześniej oddzielili ją od rodzeństwa. Dochodzą na przód kolejki. Oficer przygląda im się. Stoją razem skulone i starają się nie płakać.

– Kto uszył tę sukienkę? – odzywa się ostro do Elsy, która ma na sobie śliczną wełnianą sukienkę z podwyższoną talią, podwójnymi szwami i wyszukaną linią dekoltu z zakładkami przypominającymi płatki kwiatów. Elsa pochodziła z długiego rodu utalentowanych szwaczek.

Spogląda oficerowi prosto w oczy.

– Ja – odpowiada. Jej niemiecki jest bez zarzutu.

– Ty?

– Tak. Tym się zajmuję.

– Uszyłaś tę sukienkę?

– Tak.

– Szyjesz sukienki?

– Tak.

– Na lewo!

Potem oficer ocenia moją babcię. Piękność, blada cera, jasne oczy, ładne cycki.

– Obie! Na lewo.

Wspaniała historia. Kiedyś mieli nawet nakręcić o tym film. Dwie dziewczyny, najlepsze przyjaciółki z dzieciństwa, po tym jak straciły rodziny, zostają ocalone dzięki urodzie, własnym umiejętnościom i przyjaźni.

No cóż, Elsa zdzierała sobie palce do kości, tworząc wspaniałe stroje dla żon i dzieci nazistów; moja babcia obciągała. Filmowcy chcieli to trochę wybielić. Scenarzysta wymyślił sobie, że moja babcia będzie po prostu wybranką pewnego nazistowskiego oficera o czułym sercu. Generalnie zrobił z tego romans. Moją matkę rozwścieczyło to do tego stopnia, że zablokowała całą sprawę.

Nie przeszkodziło im to nakręcić filmu o samej Elsie. Zdobył nawet nominacje do Oscara. Bardzo poruszająca muzyka.

To jedno trzeba oddać mojej matce.

Elsa żyła sobie w nieskończoność i trochę dłużej nad jeziorem w Michigan razem ze swoją wielką rodziną. Dumna Ocalona, matka rodu, odmiana klasyczna.

Inne dziwki pokazały mojej babci, jak się to robi. Véronique z Paryża i Helge z Berlina. Pokazały jej, jak ukryć część siebie. Stały się siostrami, zjednoczonymi w brutalności i odłączeniu. Zrodziła się między nimi gwałtowna miłość. Z konieczności były praktycznymi dziewczynami. Żadnych głupot, żadnych gier. Każda z nich została z uwagą wybrana przez samego komendanta: tylko te najbardziej egzotyczne i najszcuplejsze, o najczarniejszych włosach, najbielszej żydowskiej skórze, najciemniejszych migdałowych żydowskich oczach, najwyższych żydowskich kościach policzkowych.

Jedno trzeba przyznać komendantowi: miał świetny gust. Niektórym oficerom dziewczyny naprawdę się podobały, przynosili im prezenty. Konfitury, wstążki, pozytywki, perfumy. Sztuka polegała między innymi na tym, żeby każdemu mężczyźnie dać poczucie, że jest tym jednym jedynym.

A po tym wszystkim wkracza Czerwony Krzyż i rozdaje owsiankę. Babcia spotyka dziadka w obozie dla uchodźców. Jest miłym i łagodnym mężczyzną, mężczyzną wzniosłym, nie interesuje go pieprzenie, bo jest za bardzo zrujnowany własnym ocaleniem, którego szczegółów nikt nie zna – a nawet jeśli, to nigdy o nich nie opowiadał.

Znałam go jako bardzo starego człowieka. Kiedy wybuchła wojna, miał już żonę i córkę. Wojna. Zawsze jakaś wojna, czyjaś wojna. Żona i córka oczywiście nie przeżyły.

Dziadek jest moim hasłem do wszystkiego: *IsaacRadnor36*. Szczęśliwa liczba. Chaj razy dwa. Tyle miał lat, kiedy wojna się skończyła.

Pamiętam, jak poklepywał mnie bezwiednie po głowie, wsuwał mi do ręki piąta, nakładał sobie pełny talerz jedzenia, ciągle człapał do kredensu i z powrotem. Nie mówił za dużo. Pamiętam, jak raz śmialiśmy się razem z jakiejś bzdury, na moment zrównaliśmy się ze sobą. Robił na mnie przede wszystkim wrażenie głupiutkiego, stareńkiego brata. Śmieszny staruszek. „Twój wiecznie kochający dziadek” – mawiał ze swoim ciężkim akcentem. „Twoja wiecznie kochająca wnuczka” – odpowiadałam wiernie.

– Nie lubię rozmawiać z dorosłymi – powiedział mi kiedyś. – Dorośli są nudni. Ty nie jesteś nudna, babele. – To najdłuższa wypowiedź, jaką od niego usłyszałam. Umarł, zanim skończyłam dziesięć lat.

Podobały mi się specjalne względy, jakie okazywano mi w szkole w Dniu Pamięci o Ofiarach Holokaustu. Mnie, Tricii Ginsburg i jeszcze Danielowi Jak-mu-tam-było. Podobało mi się to, jak historia mojej rodziny sprawiała, że w drobnych sprawach byłam społecznie nietykalna. Wystarczyło powiedzieć Holokaust, wystarczyło wspomnieć o Ocaleniu, a wszyscy reagowali tak, jakbym powiedziała „mam okres”. W odpowiedzi dostawałam jakiś ekwiwalent tekstu „biedactwo, idź położyć się u pielęgniarki, nie przejmuj się”.

– Ale przecież było dużo narodów zniszczonych przez wojnę – powiedziałam matce wyzywająco któregoś dnia po tym, jak w szóstej klasie przerabialiśmy na historii rozdział o Wietnamie. Nie tylko Żydów to spotkało. A co z Hiroszimą? Co z każdą ciągnącą się od wieków wojną? Co z Palestyną? – Chciałam ją podpuścić.

– Nie wiesz, co to był za koszmar – odpowiedziała matka, rzucając się na mnie. Im gorzej się czuła, tym bardziej była nieprzyjemna, a może im bardziej była nieprzyjemna, tym gorzej się czuła. – Nie jesteś nawet w stanie sobie tego wyobrazić. Nie masz o tym zielonego pojęcia. Zielonego. Więc po prostu zamknij tę pieprzoną jadaczkę, co?

Wracając, dziadek uwielbia babcię do granic możliwości, chce się nią zaopiekować, jest nieskończenie czuły. Pobierają się, ale przez całe miesiące ledwo się w ogóle dotykają. Zmierzają w stronę Pani Wolności z wyciągniętą w górę i tak dalej. Dziadek to twardy facet. Bystry. Cudownie wesoły, mimo wszystko. Jeden z tych, co to wierzą, że „ludzie są w głębi serca dobrzy”. I ma niezły dryg do nieruchomości, jak się później okazuje. Zaczyna od kupna jednej kamienicy, kiedy tylko pensja kierownika drukarni pozwala mu uzbierać na zadatek, a dziesięć lat później jest właścicielem tej drukarni i jeszcze dwóch magazynów w SoHo.

Wtedy pojawiają się problemy.

Swoją najlepszą przyjaciółkę Molly poznałam na jakiejś imprezie, kiedy miałyśmy obie po

dwadzieścia trzy lata. Chyba miałyśmy wspólnych znajomych, nie pamiętam dokładnie. Dwie absolwentki w wielkim chujmieście. Urocza głupiutka zabawna Molly w depresji.

Typowa ślicznotka ze sztetlu. Krzepka i symetryczna. Wysportowana. Chłodne, szare oczy. Najładniejsza dziewczyna w żydowskiej szkole dziennej, bez dwóch zdań. Oznacza to mniej więcej tyle, co gdyby powiedzieć „najwyższy facet na zjeździe karłów”, ale i tak. Nogi jak kołki, co wielu mężczyznom, jak się okazało, wbrew zaleceniom pism kobiecych, nie przeszkadzało. Wcale. A mówię tu o braku jakiegokolwiek zwężenia od uda aż po stopę, więc Molly miała prawo być trochę drażliwa na tym punkcie.

Ubierała się fatalnie, nie interesowało jej, co nosić ani jak to nosić, zero stylu, trzymała z irytującą kliką bezbarwnych koleżanek z żydowskiej grupy młodzieżowej, z których bez przerwy sobie kpiła. Ze względu na nieobecny styl, kołkowate nogi i wyszukaną autoironię nie stanowiła zagrożenia dla tego żydowskiego stadka, więc cieszyła się powszechnym uwielbieniem.

Chryste, jaka ona była urocza.

Na wpół obłąkana, błysk w oku nie do pomylenia. Miała depresję, to na pewno, ale jakimś cudem tryskała też entuzjazmem. Jak, do cholery, można mieć depresję i jednocześnie tryskać entuzjazmem? Urok, tak to się nazywa. Kiedy się śmiała, czuć było delikatny powiew życia. A jeśli ktoś potrafił ją rozśmieszyć – a ja z zachwytem odkryłam, że potrafię, i to z łatwością! – czuł się jak spragniony człowiek, który natknął się na strumień.

Nie pamiętam, o czym rozmawiałyśmy tamtego wieczoru, pamiętam tylko, że siedziałyśmy razem przez ładnych parę godzin i sącyłyśmy słabe drinki, zgadzając się, że impreza jest kiepska, i patrząc, jak pozostali stopniowo coraz bardziej się nawalają. Śmiałyśmy się, pamiętam, że się śmiałam. Skupiałyśmy się wyłącznie na zapewnieniu sobie dobrej zabawy. Co jest jedną z form zakochiwania się. Miałyśmy z Molly takie samo poczucie humoru. Przy niej zrozumiałam, że jest to stosunkowo rzadkie, bo nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło. Dwie zwariowane, głupawe, perwersyjne, tępe pizdy z depresją, obdarzone upodobaniem do absurdu. Uwielbiałam ją. Była bystra. Nie bystra, czyli na wszystko miała gotową odpowiedź, bystra, czyli zabawna, dołująca, szczerą, pełną entuzjazmu, jak dziecko. Bystra, czyli zadawała właściwe pytania. Nie potrafiła kłamać na swój temat, nie dawała przedstawienia. Człowiek spoglądał w te jej śliczne, szare oczy i widział ją tam: tadam, we własnej osobie. Żadnych zasłon, żadnych filtrów, żadnych bzdur. Nie chowała się w sobie związana, zakneblowana, wściekła i rozzalona pod jakąś piskliwą, dokładnie zapakowaną, chaotyczną wesołością. W przeciwieństwie do tej jej młodzieżowej kliki. Wszystkie jej zmagania, cały smutek i absurd, wszystko było na wierzchu. Nie zatrudniała jakiejś sztucznie wyprodukowanej wersji samej siebie na stanowisku pełnoetatowego agenta prasowego swojej rzeczywistej osoby, tej tchórzliwej samotniczki z agorafobią, która żyła w głębi jaskini własnego umysłu, rozumiecie? Ta dziewczyna nie potrafiła kłamać na swój temat. Natychmiast ją pokochałam.

Obie miałyśmy koszmarne mieszkania i pierwsze „prawdziwe” prace. Ona mieszkała w dwudziestometrowej kawalerce w suterenie w East Village; ja mieszkałam w Cobble Hill z przypadkową współlokatorką z obozu żydowskiego. Korpulentna dziewczyna, rok starsza ode mnie, która codziennie o siódmej rano suszyła swoje sztywne loki suszarką z dyfuzorem rozmiarów jej głowy, a potem ruszała do pracy asystentki administracyjnej w Fundacji Hillel na Uniwersytecie Nowojorskim. Nie była złą dziewczyną, ta moja współlokatorka, po prostu była nieciekawa. Niemalże interesująco nieciekawa. Jej wielki bunt polegał na tym, że nie chciała zrobić sobie chemicznego prostowania włosów. Używała hektolitrów perfum – fantazyjnych przycisków do papieru, jakie akurat w danym roku opychali ludziom w domu towarowym. Jej ojciec płacił za nią czynsz. Mój też, ale to było co innego, bo ja nie suszyłam włosów dyfuzorem ani nie używałam perfum! Bo ja nie polowałam na męża! Bo ja pieprzyłam się z nieznajomymi w barowych toaletach, brałam wszystkie narkotyki, jakie ktokolwiek mi proponował, i w ogóle Żyłam Pełnią Życia! Od nadmiaru perfum łupało mnie w głowie. Nie byłam dla niej zbyt miła.

Molly parzyła kawę na planie koszmarnego programu telewizyjnego, ale marzyła o własnych stand-upach, chciała być jak Tina Fey.

Jej rodzice byli żydowskimi karierowiczami, grubymi rybami w żydowskiej społeczności przedmieść Waszyngtonu, zakłopotanymi jej wrażliwością.

– Moim „alternatywnym trybem życia” – powiedziała, przewracając swoimi ślicznymi, szarymi oczyma. Czyli jej niechęcią do studiów z pracy socjalnej i/lub do znalezienia męża, jakiegokolwiek męża! No dalej: jakikolwiek bogaty żydowski mąż! Najszybciej jak się da.

No i była jeszcze kwestia powtarzających się u niej załamań nerwowych, nieprzemijającej słabości do własnego psychiatry, serii marnie płatnych stanowisk. Wprawiała te grube ryby w zakłopotanie. Teoretycznie wspierali ją w jej stand-upowych marzeniach, ale ona nigdy nie pozwalała im przychodzić na swoje występy w klubikach komediowych, w których dostawała najgorsze przedziały czasowe.

Ja w tym czasie parzyłam kawę dla jednego producenta filmowego. Odniósł pewien sukces w latach osiemdziesiątych, kiedy nakręcił komedię romantyczną o głupekowatym facecie, który skonstruował sobie niezdarną, kiepsko działającą dziewczynę-robotę. Film stał się hitem i miał trzy (na razie) sequele. Wypuszczali to od razu na DVD, ale potężne rynki zagraniczne błagały o więcej.

- Może prześpię się z twoim szefem, żeby nakręcił mój spektakl jednej aktorki.
- Myślisz, że tak to działa?
- Moja droga, to działa dokładnie tak.

Moim ulubionym kawałkiem w jej wykonaniu był ten, w którym powtarzał się tekst „ojejciu dzięki tatuś no nie?”. Najpierw był opis jakiejś kabały, w którą się wpakowała, typowe przygody walniętej pindy w wielkim chujmieście – brodawki weneryczne po numerku z bankierem

inwestycyjnym, wykopana z mieszkania za urządzenie imprezy, w czasie której ktoś przedawkował na klatce, wywalona z roboty za objechanie szefa w monitorowanej korespondencji – i opis tego, jak jej niedoinformowany tata wyciągnął ją z kłopotów, utrzymując wszystko w sekrecie przed jej matką. Podtekst był niesamowity – dziewczyna jest bezradną córeczką tatusia, a inni mężczyźni mogą sobie co najwyżej pomarzyć o rywalizacji z nim. Stąd aspekt zawiedzionej miłości. Molly potrafiła w nieskończoność zmieniać melodię i intonację tego tekstu.

– Ojejciu. Dzięki tatuś. No nie? Ojeeeeeeeeejciu. Dzięki tatusno nie? Ojejciudzięk tatusnonie?

– Jesteś genialna – mówiłam. Nie wierzyła mi.

Ludzie odrzucali ją jako naśladowniczkę Sary Silverman, ale ona była zabawna na swój własny sposób. Była bardziej spadkobierczynią niż naśladowniczką, to na pewno.

– Silverman to cipa bez talentu – mówiła. – Wypieprzyła sobie drogę na szczyt. – Była to trochę śmieszna krytyka, bo Molly zapraszała wtedy do siebie na niedzielne wieczory prezentera z koszmarnego talk-show, żeby bił ją po tyłku i dymał.

– Przecież nie jest tak, że na świecie może się zmieścić tylko jedna urocza, popieprzona żydowska komiczka – przypominałam jej.

Wstawiała wtedy cała śliczna, zdrowa, słodka i sarnooka, że aż miało się ochotę wziąć ją za rękę i pobiec przez łąkę pełną kwiatów. W jej oczach pojawiał się autentyczny strach, nie kryła się z nim, przez co budziła w człowieku jeszcze większe uwielbienie. Jak przysłowiowa sarna w świetle reflektorów. I wtedy mówiła:

– Jestem dużo bardziej zadowolona ze swojego wyglądu, odkąd usunęłam sobie zarost z twarzy.

Albo:

– Nawet gdyby mój były chłopak mnie nie zgwałcił, pewnie mówiłabym, że to zrobił, bo wtedy wszystkim byłoby mnie żal. A kiedy ludziom jest kogoś żal, to są dla niego strasznie mili, a potem już naprawdę zostawiają go zupełnie samego i nikt mu nie zawraca głowy. Jak chcesz mieć trochę prywatności, po prostu wpędź się w głęboką depresję i rozgrzebuj rany. To niesamowite, ale ludzie natychmiast całkiem cię porzucą i wreszcie zaznasz nieziemskiego spokoju i ciszy... które sprzyjają rozmyśleniom nad najlepszym sposobem skończenia ze sobą.

Byłyśmy żaloszne, ale przynajmniej razem. Były drinki i kolacje, spotkania w weekendy. Byli znajomi znajomych, którzy organizowali imprezy, wyjścia do fajnych restauracji i barów. Były koncerty i wycieczki. Brunch za brunchem za brunchem. Byli kochankowie, potencjalni kochankowie i facet z tamtego wieczoru, nie, nie, z tamtego innego wieczoru, wszystkich pod dostatkiem.

Ale czas nie był dla nas łaskawy.

Stare koleżanki Molly zaczęły rozsyłać zawiadomienia o ślubach, w sekrecie organizowały wymyślne wieczory panieńskie. Zbliżałyśmy się do trzydziestki, a wszyscy zakładali, że po stand-upowych wygłupach Molly znajdzie sobie miłego (bogatego, żydowskiego) męża przez Internet

i wróci do domu, żeby zaplanować z mamą wesele i urodzić kilkoro dzieci. Niepisana umowa była taka, że do niej należały lata dwudzieste; potem zaczynała należeć do nich. Molly nienawidziła swojej matki i nie miała problemu z tym, żeby przy pierwszej lepszej okazji powiedzieć jej, gdzie może sobie wsadzić tego rodzaju banalne projekcje, ale Tatusia nie mogła zawieść. Nie mogła złamać Tatusiowi serca. Nienawidziła samej siebie za to uleganie konwencjom, ale czas życia-na-własnych-zasadach zmierzał ku końcowi. Raz po raz była zatrudniana jako druhna przez kolejne dziewczyny ze swojej kliki.

Ja złożyłam papiery na studia magisterskie i się dostałam. Zachwycona samą sobą, bo skopałam teoretyczno-feministyczne tyłki, i na dodatek dostałam stypendium. Zaczęłam spędzać czas z Marianne.

Molly patrzyła, jak komicy, z którymi zaczynała, osiągają pewne sukcesy, jeden został asystentem scenarzystów programu *Saturday Night Live*, drugi wyruszał z występami w wielką trasę po uniwersytetach, a trzeci dostał się niedawno do obsady nowego programu telewizyjnego.

Ja zaczęłam spotykać się z Paulem; Molly przerzuciła się na nowy zestaw antydepresantów, przy których nie wolno jej było pić. I tak piła. Pieprzyła się z jakimś facetem i na jakiś czas pogrążyła się w depresji, jeśli nie zadzwonił. Ślęczała nad zawiadomieniami o ślubach w niedzielnym „Timesie” i groziła samobójstwem za każdym razem, kiedy pojawiał się tam ktoś z jej byłej klasy. Nie była w stanie dokończyć scenariusza próbnego, którego potrzebowała, żeby dostać porządną fuchę dla początkującego scenarzysty, więc brodziła w syfiastej kałuży bycia popychadłem, podczas gdy z Ligi Bluszczowej napływała nowa fala ludzi. Piła i piła. Była wrakiem człowieka. Rodzice chcieli, żeby poszła na studia magisterskie. Nieważne jakie. Chcieli, żeby coś wybrała i poszła. Tam miała spotkać męża. I zamienić się w swoją matkę, która nie przestawała mówić dosłownie na pięć minut za pierwszym razem, kiedy ją spotkałam. Tatus był cichy, obarczony władzą i autorytetem. W pewnym sensie seksowny.

Którejś czerwcowej niedzieli zadzwoniła z płaczem znad ogłoszeń o ślubach.

– Mnie to nigdy nie spotka.

– Co cię nigdy nie spotka, kochanie?

Paul leżał nagi w mojej pościeli, trzymał sobie moją prawą stopę pod pachą i czytał dodatek motoryzacyjny. Nigdy przedtem ani potem nie widziałam nikogo, kto by czytał dodatek motoryzacyjny.

Molly załkała.

– Słuchaj – powiedziałam. Znudzona do granic. – To twoje życie, skarbie. Rób, co chcesz, albo to, czego oni chcą, ale nie zdręczaj się. – Powtarzałam to w różnych formach od kilku miesięcy. Ludzie w depresji są tacy nudni!

Chyba po prostu się wycofałam. Z poczuciem winy. Nie odbierałam od niej telefonów. Jęczała

tylko o swoich rodzicach, o ostatnim upokarzającym wieczorze panieńskim, o jednym gorszym komiku, który prowadził dobrze rokujący program, o aktualnym zaproszeniu na wesele wyjazdowe i o facecie, który nie zadzwonił, a powiedział, że zadzwoni.

Jeśli akurat nie piła na umór ani nie obciągała w zamian za lepszy przedział czasowy, jeździła rowerem (bez kasku) po całym mieście. Jej długie włosy powiewały za nią i można było sobie pomyśleć: fantastyczna dziewczyna. Gdyby tylko ta dziewczyna miała choćby cień podejrzenia, jaka jest fantastyczna.

– Wygląda na to, że w twoim życiu wszystko układa się po prostu świetnie – powiedziała. Tak jakbym była jej wrogiem. Tak jakbym ja nie cierpiała. Najpierw stopniowo, a potem nagle, zrozumiałam, że lubiła mnie tylko dlatego, że byłam tak samo żałosna jak ona.

W końcu przeprowadziła się do LA i przez rok nie odzywałyśmy się do siebie, potem przeprowadziła się z powrotem z LA i nie zadzwoniła, a potem zobaczyłam ją gdzieś, ale ona mnie zignorowała, więc ja też ją zignorowałam.

Między nami nie było już nic.

Nie było nawet żadnego my.

Paul czekał na poród w dobrym nastroju, czekał, czekał i czekał z naszym starym słownikiem wyrazów bliskoznacznych pod ręką. Nie byłam zwyczajnie wielka. Byłam baniasta, baryłkowata, beczułkowata, bombiasta, brzuchata, bulasta, bulwiasta, elipsoidalna, klocowata, kobylasta, kolista, kolubryniasta, kopulasta, łukowata, nabrzmiała, napęczniała, obła, odęta, opasła, pełna, pękata, półokrągła, sferyczna, soczewkowata, spęczniała, stercząca, tęga, wybrzuszona, wydatna, wypuczona, wypukła, wzdęta, zażywna, zdenerwowana.

Wyciągnął gitarę i ułożył piosenkę. Przy „kobylastej” wyraziłam swój sprzeciw, a gdzieś pomiędzy „kolubryniastą” a „spęczniałą” zaczęło się to dla mnie robić trochę przykre. Pod koniec ciąży człowiek robi się drażliwy.

Mój termin minął i byliśmy już oficjalnie spóźnieni. Zlecili mi USG, zaczęli szukać problemów, opowiadali o potencjalnych problemach. Robili zmartwione miny i kreślili możliwości nie do zaakceptowania.

Standardowa praktyka.

Człowiek tyle słyszy o „monitorowaniu”, „małowodziu”, „toksyczności”, „rozmiarach”, „proaktywności”, „ułożeniu potylicowym tylnym”, „liczeniu ruchów” i „oddzielaniu błon”, że zaczyna sobie myśleć: Jezu, dobrze, kurwa, róbcie, co do was należy, co tam sobie chcecie, tylko zróbcie tak, żeby było dobrze.

Mimo że powiedziałam temu cholernemu lekarzowi, że chcę „spróbować” urodzić normalnie.

– Pewnie – powiedział. Nic złego nie mogło mi się stać, kiedy on był na dyżurze. – Proszę

spróbować. Jestem całym sercem za. Świetnie. Twarda dziewczyna. Posiłujemy się.

Udawałam posłuszną, prawie że trzepotałam rzęsami.

– Chciałabym spróbować.

– To bardzo dobrze – odwrócił się do Paula. – To mi się podoba. Twarde ciacho.

Ale przyznaję, nie oglądałam filmów dokumentalnych. Byłam przesądna. Nie chciałam zapeszyć. Byłam tym wszystkim przytłoczona. Nigdy nie znalazłam na to czasu.

(– Leniwa – mówi moja matka. – Jak zawsze).

– Moi drodzy. – Jest i mój krzepki gin, facet, którego wyobraziłam sobie raz, ale tylko raz, na samym początku, jak przekłada mnie przez swoje biurko i posuwa po studencku. (Oda do libido ciężarnej).

– Tylko od nas zależy, czy to w końcu ruszy. – Seksowny, szpakowate włosy, fartuch chirurgiczny, fluorescencyjne gumowe chodaki. Nawet sympatyczny, wrodzona pewność siebie. – Dziecko robi się duże. Wygląda na dobrze upichcone. Nie chcemy, żeby nam jeszcze bardziej urosło. Mogą się zacząć problemy. Musimy to trochę popchnąć. Gotowa na spotkanie z dzieckiem?

No bo słuchajcie. Przecież wiedziałam, że od zawsze trzeba było bronić swojego ciała, że mogli zabrać je kobiecie i powiedzieć, żeby nie zawracała nim sobie swojej ślicznej główki. Podobno jestem na dobrej drodze do zrobienia doktoratu ze studiów kobiecych, do jasnej cholery. Wiedziałam coś o wczesnych badaniach Barbary Ehrenreich na temat akuszerki, polowań na czarownice i podejścia przemysłu medycznego do kwestii kobiecych. Słyszałam, że Ani DiFranco rodziła w domu.

Ale tam, wtedy byłam wielka, dezorientowana, niecierpliwa i przestraszona. Beczułkowata, bombiasta, brzuchata. Wydałam samą siebie. Oddałam im swoją drogocenną wypukłość, żeby zrobili, co uważają za stosowne.

– Tak, jestem gotowa, żeby urodzić to dziecko.

– Koniec z darmowymi lunchami dla malucha – zażartowała otyła pielęgniarka w fartuchu w szczeniaki, podłączając mnie do kroplówki z oksytocyną, którą jak się później dowiedziałam, syntetyzuje się z bydłęcej przysadki mózgowej.

Indukować: nakłonić, namówić, pobudzić, popchnąć do, dać impuls, podkusić, przekonać, zachęcić, zmobilizować, ponaglić, przycisnąć, podjudzić, sprowokować, spowodować, doprowadzić, wywołać.

Przeprowadzić siłą.

No bo wiecie, słowa „skurwiel” można używać we wszelkiego rodzaju kontekstach. Dzisiaj jesteśmy dosyć liberalni pod względem powszechnego użycia tego słowa. Ale spróbujmy je trochę zawęzić, dobrze? Uściślić. Jeśli jesteś ginekologiem albo położną, a twój wskaźnik cesarskich cięć wynosi powiedzmy ponad dziewięć procent, to od dzisiaj oficjalnie jesteś skurwielem, zwyczajnym matkojebcą.

– Żal mi ciebie – mówi Mina, jej oczy są wilgotne i szczerze.

To się nazywa bezpośredniość. Aż boli. Litość jest tak cholernie definitywna, nieskończenie bardziej przykra niż pogarda.

Zima najwyraźniej nigdzie się już nie wybiera. Nie możemy jej po prostu przeczekać w domu. Zaczyna nas nosić, a jutro ma przyjść podobno jakaś wielka zamieć.

– Jest takie jedno miejsce.

– Lubię miejsca.

Wycieczka samochodowa. Stara fabryka w mieścinie zwanej Victory. Kiedyś była to fabryka tekstylna. Otwarta w 1846. Zamknięta w 1989 i sayonara, miasto. Żegnajcie, ludzie. Witaj, rozkładzie.

Dzieciaki ze sklepu mówią, że chcą zaplanować na lato kolejną zbiórkę pieniędzy, żeby pomóc sfinansować zamianę fabryki w centrum sztuki. Co jest niesamowicie urocze z ich strony, bo na pierwszy rzut oka Donald Trump musiałby zaciągnąć z siedemnaście długów hipotecznych, żeby ocalić tę ruinę.

– Chcą to nazwać „W Dole Rzeki”.

– Dlaczego?

– Fabryki zazwyczaj były budowane w dole rzeki, a miasta w górze. Żeby nie truć ludzi zanieczyszczeniami.

– Przez jakiś czas nie truć.

– Przynajmniej przez kilka pokoleń.

– A, to spoko.

To nie jest fajne miasto. Żadnego espresso, żadnych ręcznie tkanych materiałów, żadnych sklepów vintage. To nie jest jedna z tych sekretnych hipsterskich kryjówek. Rozkoszna enklawa, w której można spotkać dobrze ubranych pieprzonych artystów z dziećmi o imionach Zenith, Phoenix, Fidel; to nie tu. To są zwłoki zamordowanego miasta. To jest miasto schyłku imperium.

Fabryka jest rozległa, opuszczone pomieszczenia ciągną się jedno za drugim. Kiedyś jeździłam do supermarketu, żeby wprawić się w przyjemne odrętwienie. Kupowałam jakąś bieliznę, zjadałam coś syntetycznego, wracałam do domu otumaniona jak przejeżdżone zwierzę z fermy na bezterminowej antybiotykoterapii, siłą oddzielone od swoich młodych.

To jest o wiele lepsze.

Mamy dzieci w chustach. Zev śpi na niej z przodu, a Walker na mnie z tyłu. Przypominamy postindustrialnych wspinaczy, opatulonych przed zimnem. Jesteśmy na trzecim piętrze, pewnie z piętnaście metrów nad ziemią. Przed nami nie ma całej południowej ściany budynku, a drewniana

podłoga kończy się w powietrzu. Chcę podejść bliżej, wyrzec za krawędź, poczuć smak strachu, ale Mina trzyma mnie mocno za ramię.

Podobno dzieci powinno się zabierać na dziecięcą gimnastykę w salach bez okien, na dziecięce zajęcia muzyczne czy na inne pierdoły. A nie do rzeczywistego, ponurego, zepsutego świata, gdzie można skaleczyć się szkłem, podłoga może się zawalić, a na świeżej brzydocie można codziennie zbić kasę.

– Cały świat jest nowy – mówi Mina. – Jest całkiem nowym miejscem. I to jest właśnie najbardziej szalone. Myślę, że już nigdy nie będę się nudzić.

Zeschnięty kalendarz ścienny z 1989 roku. Czas oficjalnie się zatrzymał.

– Jest pioruńsko zimno.

Schodzimy z powrotem na dół do ogromnego otwartego pomieszczenia z oknami od podłogi do sufitu. Wszędzie metalowe kolumny. Pewnie pracowało tu z pięćset osób. Mina pokazuje mi taflę lodu na podłodze pod rzędem brakujących okien.

– Kobiety, które nie mają siostr, są poszkodowane – mówię.

– I te, które mają główniane siostry! – dodaje Mina.

– A zespół nie był czymś w rodzaju siostrzeństwa?

Mina wzrusza ramionami.

– Przez chwilę. Na samym początku. Potem już nie. Poza tym wcale nie byliśmy takie dobre.

Idziemy ostrożnie do wyjścia, przekraczając śliskie płyty lodu i rozbite szkło.

– O czym ty mówisz? Wszyscy was uwielbiali.

– Może. Ale nie byliśmy zbyt dobre.

Zatrzymuje się, żeby złapać oddech.

– Byliśmy jak... opowiadania o autorach opowiadań.

– One mogą być dobre.

– Chodzi mi o to, że to był taki wewnętrzny żart. Miałyśmy coś do zaoferowania tylko ludziom, którzy bawią się w bycie ludźmi. Nie było nic głębszego. Ironia to żadna nowość, wiesz? Nie byliśmy szczerze. A jak jesteś młoda, to nieszczerłość wydaje ci się wielkim odkryciem? Wysublimowanym sposobem na powiedzenie „pieprzcie się wszyscy”? Ale jest tylko sposobem na marnowanie czasu. Kelly była czysta, więc od razu ją to zniszczyło. Ale Stef w to weszła. Najdrobniejszy przejaw uznania, nieważne jak mały, katapultował ją pod samo niebo. Tylko tego chciała. Żeby robili jej zdjęcia, żeby jej nazwisko było w gazetach.

– Tak – mówię. – No cóż. Karma to suka.

– Trochę jej zazdrościłam. Czy nie byłoby cudownie być takim prostym człowiekiem?

– Boże, i to jak.

– Czasami pokazują zdjęcie Kelly obok Jimiego Hendriksa, Janis Joplin, Jima Morrisona, Kurta Cobaina i całej reszty. Zmarli w wieku dwudziestu siedmiu lat. I zawsze pomijają Mię Zapatę, najbardziej imponującą z nich wszystkich.

– Kto to jest Mia Zapata?

– No właśnie. Założę się, że Stef do tej pory denerwuje się, że nie jest tak znana jak Kelly.

– Albo jak ty.

Śmieje się.

– Nie zrozum mnie źle, byłam wtedy popieprzoną wariatką – mówi Mina. – Ale ta suka była diabłem wcielonym.

Legenda głosi, że podczas czuwania przy ciele Kelly Mina i Stef musiały zostać rozdzielone siłą. Stef twierdzi, że Mina pośrednio zamordowała Kelly, bo dała jej heroinę, miłość jej życia; Mina mówi, że wszyscy ich znajomi przynajmniej raz jej próbowali. Stef twierdzi, że Kelly nigdy nie chciała, żeby Mina została w zespole na dłużej; Mina mówi, że Stef to tępa dziwka, która sprzedaje się dla sławy.

Stef prowadzi teraz swój chrześcijański obóz rockowy koło Nashville.

– W pewnym sensie – powiedziała jakiś czas temu w wywiadzie dla lokalnego szmatławca o sztuce – umarłam i zostałam oczyszczona. To znaczy nie umarłam dosłownie, ale w każdym innym sensie poza dosłownym.

To było na wyludnionym peronie linii Q, obok mnie Molly, pijana, późno w nocy, metro się nie spieszyło. Siedziałyśmy na ławce, a Molly oparła głowę na moim ramieniu i zapadła w półsen.

Z drugiego końca peronu jakaś kobieta szła długimi, nierównymi krokami w naszą stronę. Powłóczyła nogami, kluczyła. Zatrzymała się w połowie drogi, żeby porozmawiać szeptem z kimś, kogo nie było. Była niechlujna.

Nie poruszyłam się.

Moja matka się zbliżała.

– Na co się, kurwa, gapisz?

Nic nie odpowiedziałam.

– Myślisz, że niczego nie żałuję? Myślisz, że tego właśnie chciałam?

Nie mogłam na nią patrzeć.

– Nie wiem.

– Ty bezyteczna gówniaro. Myślisz, że tego właśnie chciałam? Myślisz, że to był mój wybór?

Nie chciałam na nią patrzeć.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Nie dam się mieszać z błotem, ty niewdzięczna smarkulo! Myślisz, że coś ci się należy od świata? Nic ci się nie należy! NIC CI SIĘ NIE NALEŻY! NIC! NIC!

Serce mi waliło: walczyć czy uciekać? Walczyć czy uciekać? Co za żałośnie upośledzone zwierzę może zdecydować w końcu... że nie zrobi nic?

Nie mogłam oddychać. Próbowalam powiedzieć „pomocy”, ale wyszedł z tego idiotyczny pisk.

– Wszystko gra? – zainteresowała się w końcu Molly.

Nie mogłam odpowiedzieć. Napierały na mnie ściany.

„Ten, kto nie ma przyjaciół, musi tłumaczyć się przed obcymi” – przeczytałam kiedyś w jakimś wierszu i zobaczyłam wtedy, jak bardzo nieprawdziwe są nawet moje „najlepsze” przyjaźnie: bez przerwy musiałam się tłumaczyć, zawsze, przed wszystkimi.

Dlaczego nie postarała się bardziej – zadręcza się moja babcia. Dlaczego nie spróbowała przypochlebić się któremuś oficerowi, wkraść się w jego łaski i tym sposobem odnaleźć jakoś i ocalić choć jedno z rodzeństwa? Samo wspomnienie ich imion jest dla niej nie do zniesienia. I dlaczego nie może przestać się zadręczać? To przecież koniec. Przeszłość. Są teraz w Ameryce. Wojna już za nimi. Mają nowe życie.

Ale zaczęły się poronienia. Dzieje się coś bardzo złego. Jej ciało ciągle zabija dzieci. Ona i dziadek robią się właśnie bogaci, mocno się dokładają do starego dobrego american dream. Ale z niej ciągle wyciekają niedoszłe płody, budzi się z krzykiem, zapłakana, spocona, zakrwawiona.

Nie jest jedną z tych, co wierzą, że „ludzie są w głębi serca dobrzy”. Budzi się z koszmarów, w których jej spalone rodzeństwo woła z piskiem o pomoc z czarnej dziury w ziemi. Z koszmarów, w których oficer SS ustawia ją w rzędzie razem z koleżankami z podstawówki i masakruje je gradem kul wychodzących z jego malutkiego kutasa.

Poronienie za poronieniem, a przy trzecim czy czwartym grozi jej wariatkowo. W tamtych czasach wystarczył silniejszy podmuch wiatru, żeby odesłać dziewczynę do psychiatryka.

– Odpoczynek – zapewnia lekarz w rozmowie z moim zdezorientowanym dziadkiem. – Krótki odpoczynek może zdziałać u niej cuda.

W każdej rodzinie był ktoś taki, stuknięta ciocia-babcia, ktokolwiek. Nawet u Kennedych! Zwiążcie ją, wmuście środki uspokajające, zresetujcie mózg. Wyciągnijcie jej ten cholerny mózg, jeśli wszystko inne zawiedzie.

Schizoidalni głosiciele prawdy, torturowani prorocy, prześladowani intuicjoniści, rozwścieczone, negowane lesbijki.

Dostała dwie serie elektrowstrząsów.

– Łagodny przypadek – mówi zadowolony lekarz. Żadnej lobotomii. Odsyłają ją do jej nowego domu w Westchester, żeby mogła dalej „odpoczywać” u siebie „na wsi”.

Może teraz będą mieli dziecko.

Wkracza cudowny lekarz.

Wkracza cudowny lek.

A niecały rok później przerażająca malutka dziewczynka. Córka.

Ale najpierw: poród, styl amerykański z połowy wieku. Do kupienia pół godziny drogi w dół rzeki, w dobrych sklepach z antykami.

Pielęgniarki właśnie przypinają ją do łóżka, jest naszpikowana lekami, wrywa się, wrzeszczy, ma pręgi od pasów na nadgarstkach i kostkach. Zamaskowane położne pojawiają się, znikają i znowu się pojawiają. Jedna naciska mocno na jej brzuch. Przychodzi lekarz, wybiera sobie narzędzie tnące i rozcina ją jednym, wprawnym ruchem. Ona to czuje, mimo że nie powinna czuć nic. Dociera do niej, że została rozdzielona u podstawy, poluzowana, ale nie odczuwa tego bardzo wyraźnie, nie na tyle wyraźnie, żeby miała pewność, że to rzeczywiście ona.

Niedobrze tak leżeć przypiętym do łóżka z walącym sercem i szukać wzrokiem pielęgniarki, proszę, ktokolwiek. Szlocha z rozpacz. Próbuje coś powiedzieć. Nikt jej nie słyszy. To stworzenie w środku upiera się, że wie lepiej. Dlaczego miałyby jej coś takiego robić? Po tych całkiem przyjemnych dziewięciu miesiącach wspólnego życia? Czuje, jakie jest uparte.

Chce jej się pić. Na pewno zaraz umrze z pragnienia. Ile by dała, żeby się napić. „Wody” – próbuje powiedzieć – „wody”. Ignorują ją. Są na nią źli? Zrobiła coś nie tak? Bardzo dużo zrobiła nie tak. Próbuje powiedzieć „wody”, ale nikt nie rozumie. Stworzenie chce wyjść. Jest monstrialne.

– Proszę – próbuje. – Och proszę, pomóżcie mi.

Teraz lekarz podnosi kolejne lśniące narzędzie, wielkie i imponujące, otwiera się i zamyka. Coś w rodzaju pułapki. Dwie zamaskowane pielęgniarki przytrzymują ją. Są dla niej przerażające. Nie może zobaczyć ich twarzy. Trzecia naciska na jej brzuch, a lekarz wprowadza stalowe szczęki do środka, to jego ulubiony moment, właśnie tak, do środka przez to piękne, równe nacięcie, ścisnąć miękką główkę i mocno pociągnąć.

Uparte, niewiarygodne, przerażające, monstrialne stworzenie zostaje z niej usunięte.

– Idealnie! – mówi lekarz, trzymając je za kostki. Daje mu klapsa, a ono wrzeszczy, dyszy, trzęsie się i jest całe czerwone. Lekarz uwielbia swoją pracę. Małe płuca od razu zabrały się do roboty, tak, dobrze, to właśnie lubi. Dziesięć palców u rąk, dziesięć u stóp.

Podnoszą je, żeby mogła zobaczyć, po czym szybko gdzieś zabierają. Zostaje tylko echo wrzasków. Słyszała już kiedyś ten odgłos, bo sama go wydawała, dawno temu albo wcale nie tak dawno.

Młoda matka jest półprzytomna, wymiotuje, trzęsie się, szuka czegoś gorączkowym, ślepym wzrokiem – tylko czego? Lekarz zszywa ją i ucieka.

Tak na marginesie, Véronique i Helge nie przeżyły. Zaledwie kilka tygodni przed wyzwoleniem

wybrały się razem na spacer po obrzeżach obozu, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, wypalić wspólnie cennego papierosa: co za głupota, co za arogancja! Jakiś durny kapo nie rozpoznał osławionych oficerskich dziwek, zobaczył po prostu dwie żydowskie dziewczyny i zastrzelił je.

Potem, dla równowagi, kapo dostał wpierdol od komendanta i paru starszych oficerów. Wspomnienie idealnej, różowej cipki Véronique doprowadziło ich do szału.

Ale matka mojej matki przeżyła, bez cienia wątpliwości. Dotarła aż do Ameryki, do elektrowstrząsów, do DES-u i skopolaminy. Przywiązana do łóżka w obcym kraju, błagała, żeby ktoś jej pomógł, w języku, którego nikt nie rozumiał.

Mąż, gdzie jest jej mąż, nie ma go tu, nie wolno mu tu być. Teraz dają jej kolejny zastrzyk. Kolejny narkotyk, ołowiana pięść. Stłumiony ból jest, jak się okazuje, dużo gorszy od wyraźnego. Wyraźny jest wymierny. Można się z nim zmierzyć, można się dogadać, wykazać odwagą. A tego, czego się nie czuje, nie da się zrozumieć. Nie ma się z czym dogadać. Już zawsze będzie to człowieka prześladowało, przerażało. I mimo to określają ją tym śmiechu wartym słowem: „Ocalona”.

Osiemnaście lat później wsadza głowę do piekarnika. Niesamowite, że aż tyle wytrzymała. Idealna dziewczynka, moja matka, odebrała telefon w akademiku Uniwersytetu Wellesley. O jedną Ocaloną mniej.

Koleżanki ze studiów magisterskich nienawidziły mnie. Wszystkie chciały być ulubienicami Marianne, ale tylko ja nią byłam.

Na początku chciałam wykorzystać teorię feministyczną jako soczewkę, przez którą można czytać literaturę.

Marianne odrzuciła powieści:

– Są od rzeczy, bo bez przerwy opowiadają o czymś, co kręci się wokół tego jednego; gdyby tylko spróbować nazwać to jedno, cała intryga od razu stałaby się niekonsekwentna. Powieściopisarze wiedzą o tym. To chleb powszedni tworzenia opowieści. Powieści powstają, kiedy ludzie zabierają się do czegoś, ale nie mają na tyle wytrwałości, żeby przejść prosto do sedna sprawy i zająć się nią w sposób naukowy. Powieść to teatr, unikanie polityki, aktywizmu, wściekłości i smutku. Jest dla pisarki sposobem na oderwanie się od rzeczywistego problemu.

– To... myślisz, że nie powinnam robić magisterki?

Było dużo wspólnych kolacji, dużo wina. Zaprosiła mnie do swojego domu w północnej części stanu. Więcej wina. Jej efektowne życie, liczni kochankowie. A najważniejszy z nich, malarz, niedługo wcześniej zmarł. Nie mieszkali razem; on miał żonę, dużą rodzinę, wszystko. Ale przez wiele lat raz po raz się ze sobą wiązali. Nie wchodziła za bardzo w szczegóły. Miałam podejrzenie, że kupił jej ten dom na północy. I co z tego.

Nie była typem dzieciatej. Nie interesowało jej rodzenie dzieci. Przez nie straciła zbyt wiele

przyjaciółek.

– To były dobre kobiety – mawiała. Raczej rzeczowo niż z goryczą.

Pracowała nad tym, jak patrzymy na kobiety, jak je rozumiemy i zawłaszczamy, patrząc na nie. Rozważała różne metody, których skrupowana z konieczności kobieta używa do przyswajania sobie tego spojrzenia – na swoją korzyść albo niekorzyść.

Tak, pomyślałam, kiedy czytałam jej prace w ramach przygotowań do seminarium. Taaaaaak. W latach osiemdziesiątych wyrobiła sobie dzięki nim nazwisko i mimo że dzisiaj wnioski, do których doszła, są uznawane za oczywistości, jej zasługi pozostają tak naprawdę niezauważone. Zwróciłam kiedyś uwagę, że w swoim gabinecie nad biurkiem ma przypiętą pocztówkę Barbary Kruger. „Twoje spojrzenie uderza mnie w twarz”. Zdjęła ją i mi dała. Do tej pory trzymam ją, już pożółkłą, na lodówce.

Była fascynująca. Te miejsca, w których była, ci ludzie, których znała. Usadowiłam się od razu u jej stóp. Jak powinnam myśleć? Co powinnam czuć?

Kiedy zrobiłam magisterkę, dała mi zegarek kieszonkowy swojego dziadka. Kiedy opublikowałam pierwszy poważny artykuł, broszkę z granatami swojej babci. „Nigdy nie miałam córki” – napisała na bileciku zrobionym z wysokiej na osiem centymetrów czarno-białej fotografii ze sklepu charytatywnego, przedstawiającej rozmazane niemowlę w czepku.

Jeśli inne dziewczyny cię nienawidzą, nie masz wyjścia, potraktuj to jako komplement: musisz być świetną laską. Tak czy inaczej, nienawidziły mnie. Między innymi dlatego, że ich faceci chcieli się ze mną pieprzyć.

Jedna szczególnie mnie nie cierpiała. Coś do mnie miała. Dla mnie było to zabawne. Przecież nie stanowiłam żadnego zagrożenia! Nie do końca. Niezupełnie. Co za kretynka mogłaby wyobrażać mnie sobie jako zagrożenie? Zacznijmy od tego, że sama siebie nienawidzę tak bardzo, że ledwo jestem w stanie mówić! Tak bardzo, że do dzisiaj czasami nie daję rady się ubrać. No i co, kurwa, gdybym się pieprzyła z twoim głupim, pieprzonym chłopakiem? Wściekaj się na kiepskiego chłopaka, laluniu. Ale w pewnym sensie uwielbiałam tę dziewczynę. Zawsze można przynajmniej w jakimś sensie kochać to, co się w pełni rozumie.

A potem była Anna, wszędzie trafi się jakaś dziwaczka. Właśnie zaczynała studia, kiedy ja byłam już na wylocie. Biała protestantka. Pozbawiona jakiegoś podstawowego poczucia rzeczywistości. Uprawiała mistrzowską imitację życia. Anorektyczna anorektyczka. Prawdziwa głodowa artystka, do szpiku kości. Nigdy się z nikim nie umawiała i dopiero kilka lat później, kiedy miała pod trzydziestkę i robiła za asystentkę akademicką w jakimś średniej wielkości mieście na południu, zaczęła się spotykać z wiceprezesem lokalnego banku. Facet miał jedno dziwactwo: nalegał, żeby zapuściła sobie bardzo długie paznokcie i postarała się, żeby zawsze były idealnie zadbane. Na pierwszej albo drugiej randce powiedział, że jest skłonny płacić za cotygodniowy manikiur. Nie przeszkadzało jej to, ale

wprawiało w spore zakłopotanie.

– Wiem, jak to brzmi – powiedziała mi. – To interesujący facet. Ale wiem, jak to brzmi.

– Daj spokój – odpowiedziałam.

– Wiem. Wiem. Ale jest miły. Lubię go.

Ostatni raz widziałam się z nią, kiedy byłam w ciąży. Zjadłyśmy razem kolację. (Ja zjadłam).

Przyznała się do głębokiego, uporczywego lęku, jaki wzbudzają w niej brzuchy ciężarnych.

– Właściwie to wywołują we mnie obrzydzenie – powiedziała.

Po urodzeniu nie miałam z nią żadnego kontaktu. Nic. Zadzwoiłam do niej któregoś dnia, kiedy siedziałam sama z wózkiem w parku i byłam w tak opłakanym stanie, że zamierzałam wszystko jej opowiedzieć, gdyby tylko odebrała. Była sprytna, a sprytne dziewczyny nie są łatwo osiągalne. Nie oddzwoniła.

Siedziałam jeszcze przez chwilę na zimnej, parkowej ławce i nie przychodził mi do głowy nikt inny, do kogo mogłabym zadzwonić. Czy człowiek naprawdę powoli traci wszystkich? Staje się coraz bardziej samotny, aż w końcu umiera?

Spróbowałam jeszcze raz kilka miesięcy później. Tym razem odebrała:

– Heeeeej! Co u ciebie? – Uprzejma, daleka. – Właściwie to nie mogę teraz rozmawiać – powiedziała – ale może oddzwonię do ciebie za jakieś dziesięć minut? – Obłudna suka!

– Jasne – odpowiedziałam.

Nadal czekam na ten telefon.

No dobra, nieistotne. To nic osobistego. Jeśli nie chodzisz na pogrzeby, to dlatego, że nie jesteś w stanie na nie chodzić. Bo ogarnia cię strach, bezwład, fobia. Bo zawijasz się ciasno we własną małośćkowość. Bo nie możesz tego znieść. Może nawet wstydzisz się tego, że nie udaje ci się pojawić na którymś pogrzebie. Ale sorry, po prostu nie jesteś typem, który chodzi na pogrzeby. Znanym również jako dupek.

Kiedy przekazałam Marianne wiadomość, że jestem w ciąży, popatrzyła przez okno w swoim gabinecie, zaciągnęła się papierosem i odchyliła lekko głowę w długim, eleganckim wydechu.

– Skoro. Wydaje ci się. Że tego. Chcesz.

Siedzę na schodach przed domem i przez dwadzieścia minut, które zostały mi do odebrania Walkera, przeglądam książkę Firestone. Jakieś drugofalowe pierdoły o tym, że biologia to nie przeznaczenie. Pokonaj kobiece ciało i uwolnij się od niego.

Chciałabym puścić w obieg artykuł na ten temat, opatrzony długim, zawiłym, akademickim tytułem. Cała treść wyglądałaby tak: Pierdoły! Pierdoły! Pierdoły! Pierdoły! Pierdoły!

Dzień jest pogodny, a ja wystawiam twarz do słońca. Widzę własny oddech. Ale przecież jest słońce, słońce, słońce!

Cat wychodzi zza rogu, pchając przed sobą wózek. Podobno jej sąsiadka urodziła właśnie dziecko.

– Po prostu potrzebowała paru godzin dla siebie – mówi mi Cat autorytatywnie.

– A ty ją wyręczasz.

Błogi uśmiech.

Przekaz jest jasny: ty znalazłaś sobie inną przyjaciółkę i ja, i ja, i ja też, też, też.

– Czy ty, kurwa, żartujesz? Jaja sobie ze mnie robisz?

– Co?

– Nic. To bardzo miło z twojej strony. Naprawdę.

Przy Main Street zawalił się dom. Dziewiętnastowieczny, ceglany szeregowiec. Większość fasady i południowo-wschodnia ściana. Wygląda teraz jak domek dla lalek. Od przodu widać wszystkie pokoje. W sąsiednim budynku robili jakiś remont, a wiecie, jak to jest – czasami jak ktoś nabruździ w fundamentach dwustuletniego domu, to ten obok postanawia runąć. To tak jakby dom powiedział: No super, znowu jacyś durnie, kolejne pokolenie hałaśliwych głupków, chyba czas ze sobą skończyć.

Stoję jakiś czas po drugiej stronie ulicy razem z jakimiś trzydziestoma innymi osobami i oglądam ciężarówkę i reflektory. Walker śpi w wózku.

Uwielbiałam tamten domek dla lalek, który ojciec przyniósł mi, kiedy matka po raz pierwszy zachorowała. Mogłam oglądać wnętrze całego domu, każdego pokoju, wszystkie te prywatne przestrzenie, które budują życie rodzinne. Byłam jak Bóg, wszechwiedząca. Znałam każdy kąt. Wszystkie problemy były tam takie malutkie, maciupieńkie i takie łatwe do rozwiązania w porównaniu z moimi. Żadnych nieznanych pokoi, żadnych znanych, w których nie dałoby się mieszkać.

Boleśnie świeże dziecko w sklepie.

– Ile ma?

– Prawie dwa tygodnie.

Miniaturowa osóbką. Mamusia nie jest zbyt przyjemna. Czy uśmiech naprawdę tyle ją kosztuje?

Starszy brat małej podbiega i całuje ją w twarz, po czym znowu ucieka.

– Jej obrońca – mówi tata.

Kiwam głową.

– Szczęściara.

Kiedy kończę zmianę, Naomi wręcza mi ulotkę.

– W tym miesiącu będzie zajebiście. Przyjedzie kupa farmerów z Germantown, ruszają

z miesięcznymi promocjami na paczki od rolnika. Genialne, nie? W czasie imprezy będzie można wybrać sobie produkty.

W styczniu paczki od rolnika zawierają wyłącznie ziemniaki, cebulę i kalarepę, ale ja lubię takie rzeczy, teoretycznie.

– Moja kiepska książka – mówi Mina, kiedy wyznaję jej w końcu, jak bardzo mi się podobała.

– Wcale nie jest kiepska. Naprawdę byłam pod wrażeniem.

– Dziękuję. Miło to słyszeć.

– No i to była głośna sprawa, prawda?

– Chyba dla ciebie.

Obie dobrze wiemy, że o tej książce było głośno. Udaję niezorientowaną, żeby nie pomyślała sobie, że taka ze mnie pozeraczka kultury. Jeśli dajesz do zrozumienia, że nie potrafisz posługiwać się Internetem, świadczy to tylko o twoim dobrym wychowaniu. Jeśli udajesz, że nie wiesz, jak dowiedzieć się wszelkiego rodzaju pierdół o człowieku, jeszcze zanim go poznasz. Albo zamiast tego.

Wzrusza ramionami. Nie będzie się o to targować. Ani śladu arogancji.

– Może miałabym o niej lepsze zdanie, gdyby nie była taka głośna. Cholery można dostać, jak ludzie nagle wyłażą z siebie i chcą być dla ciebie tacy mili. Najpierw przez lata olewają cię, bo jesteś walniętą suką, a potem nagle się zatrzymują, zwracają uwagę i dają nagrody za to, że jesteś walniętą suką. Pieprzony obłąd. A skoro mowa o obłądzie. Wygląda na to, że pod koniec miesiąca jedziemy na Brooklyn.

– Tak w odwiedzinach?

– Nie.

Wolałabym, żeby po prostu dała mi w twarz.

– Czekać, jedziecie na Brooklyn na stałe?

– Na razie tak.

– Ale. Co? Dlaczego? Crisp i Jerry wracają dopiero za pół roku.

– Skończyłam wykłady. To miasto jest w sumie straszną dziurą, a moja siostra zrobiła się dziwnie miła.

Najlepsze dziewczyny już mają siostry. Jeśli uda ci się znaleźć dziewczynę, którą jesteś w stanie pokochać, zaraz okaże się, że już ma siostrę.

– Więc jedziecie na Brooklyn. Na stałe.

– Moja siostra ma dużo wolnego miejsca.

– Aa, czyli kamienicę?

– Ma dużo miejsca.

– Ale masz tu swoje środowisko.

Przez co chcę powiedzieć: ja mam tu swoje środowisko i jesteś nim ty.

– To zawsze było przejściowe.

– Tak tylko myślałam.

– Brooklyn to nie tak daleko.

– Ale poważnie? Brooklyn?

– Co jest nie tak z Brooklynem? – Ale nie udaje jej się utrzymać obojętnej miny dalej niż do „Brook”.

– Ja cię, dziewczyno!

– Przez kilka ostatnich tygodni moja siostra była naprawdę niesamowita przez telefon. Bardzo wspierająca.

– Spodoba ci się życie z burżujami. To tacy dobrzy ludzie. Sól ziemi.

– To moja siostra.

– Ja jestem twoją siostrą, ty pieprzona dziwko.

– Nie zachowuj się dziwnie.

– Masz pojęcie, jak wyglądało moje życie przed tobą?

– Tak – odpowiada.

– Nie będziesz mogła tam wytrzymać.

– Pewnie masz rację.

– Nie, zapomnij, jedź i żyj tam sobie małym, świetnie zorganizowanym życiem razem z innymi skazanymi na małe, świetnie zorganizowane życie.

– Moja siostra chce pomóc. Wydaje mi się, że tęskni za czasami, kiedy jej dzieci były małe. A w ten sposób dzieci się poznają. Poza tym mieszka w wielkim domu, a jej małżeństwo zdaje się nie potrwać już za długo...

– To po co, kurwa, rzucałaś na mnie urok?

– Uratowałaś mi życie.

– Jak miło z mojej strony.

Kolejna idzie do piachu. Nic już nie uratuje tego domu. Będę musiała całkiem go rozwalić.

Kiedy odbieram Walkera, ogarnia mnie przelotna ochota na pasierba Nasreen. Umięśniony, szeroki, dwadzieścia pięć lat, na obu ramionach tatuaże-rękawy w jaskrawych kolorach, emanuje seksem.

Zaskakuje mnie ta ochota i wnioskuje, że już mi trochę lepiej.

Nie potrzebuję jej.

Zapomnij o niej.

– Wszystko okej? – chce się dowiedzieć Paul na trzydzieści sekund przed zaśnięciem.

– Nie bądź jedną z tych, które bez przerwy trują swoim mężom o innych kobietach – radzi mi śpiewnym głosem matka. – Mężczyźni nie obchodzą dramaty kobiet i męczą ich kobiety, które o nich gadają. – Próbuje pomóc. I właściwie to ma rację.

– Tak – odpowiadam Paulowi.

– Co? Co się stało?

Mój kochany mąż.

– Oszczędź mu tego – nuci moja matka.

Ale nie można się wyzalić do źródła żalu, więc:

– Ona wyjeżdża.

– Kto wyjeżdża?

Zaczyna chrapać, zanim zdąży odpowiedzieć.

Kolejny wieczór w mieście.

W drodze powrotnej siedzę w pociągu obok jakiejś piętnastolatki, która przez całą drogę tylko pisze, pisze i pisze SMS-y. Nie cierpię takich dziewczynek, bo one nigdy nie muszą być same ze sobą. Życie będzie dla ciebie cholernie okrutne, ty mała, nadęta suko.

Więc wychodzi na to, że jestem starszą osobą, która nienawidzi młodych. Zły znak.

Wpadam z niespodziewaną wizytą do Eriki i Steve’a, bo jest u nich darmowo, luksusowo, przestronnie, są widoki, no i dochodzę do wniosku, że należą im się odwiedziny. Mają wystrój jak w drogim, modnym hotelu.

– Hej, łał, twoje cycki wyglądają prawie normalnie. Przyzwyczaiałam się, że są potwornie wielkie – mówi Erica zamiast powitania. Ma na nogach najbardziej przerażające buty, jakie w życiu widziałam. – No co? No co? Mówię, że twoje cycki ładnie wyglądają! Nie bądź, kurwa, taka drażliwa.

Okazuje się, że lubię Steve’a. Jest nieprzyzwoitym hedonistą. Rubaszny, zabawny, naiwny pokątny ćpun o najbardziej odrzucających poglądach politycznych, jakie można sobie wyobrazić. Nic na to nie poradzę: lubię faceta.

Zainteresował się ostatnio robieniem fantazyjnych drinków i teraz przez dwadzieścia minut, ze zmarszczonym w głębokim skupieniu czołem jaskiniowca, przygotowuje nam coś do picia.

Ale oprócz tego mam też przy Stevie poczucie, że ponieważ jestem kobietą, którą trudno mu od razu sklasyfikować, wywołuję u niego pewnego rodzaju napięcie. Nazwijmy to niegroźną mizoginią. Nie jest to mizoginia porno-ekstremalna ani mizoginia zaraz-cię-zgwałcę-i-zabiję, tylko prosta, stara,

zwyczajna, na wpeł uświadomiona mizoginia w stylu „kobiety-są-do-pieprzenia-i-do-rodzenia”. Strach przed kobietą. Cykl menstruacyjny jako coś tajemniczego, złowrogiego i tak dalej. Kobieta jako popychadło i/lub towar, i/lub dziwka, koniec kropka. Intuicja to absurd. Życie sprowadza się tylko i wyłącznie do tego, co można dotknąć/wypowiedzieć/posiadać. A ja tu się domagam kontaktu wzrokowego, mam własne opinie! Jestem bezpośrednia! I zawsze! Mam! Tyle! Uczuć! Jest w nim coś, co daje poczucie, że tego typu mężczyźni nigdy nie przyszłoby do głowy spotkać się z kobietą tak po prostu, porozmawiać z nią tylko dlatego, że jej spojrzenie na życie może być z natury wartościowe. A przynajmniej nie, jeśli nie ma przy tym szansy, żeby ją wydymać.

Paul ma takiego kolegę, który był z nim na studiach, a potem je rzucił. Jest zawodowym muzykiem jazzowym. Kilka lat temu widzieliśmy jego występ. Wielki talent. Żona zostawiła go dla innego faceta i mam przy nim poczucie, że obwinia mnie za to, bo też jestem kobietą. Albo może chodzi o to, że osobowość nie jest przywilejem przyznawanym kobietom z automatu. Trzeba sobie na nią zapracować, przewyciężyć fakt, że ma się takie, a nie inne usta, piersi, cipę, dupę. Powiedzieć coś dowcipnego i inteligentnego, nawiązać do ezoteryki, dowieść, że w głębi serca nie jest się zwykłą ladaczną, i w ten sposób zasłużyć sobie na osobowość. Kobiety są inne, nieprzewidywalne. Nie rozmawiaj z kobietą. Nie daj się złapać w jej sidła. Zasadniczo kobieta nie ma sensu. Wciągnie cię gdzieś, usmaży twojego fiuta na patelni i zje na śniadanie razem z jajkami.

Ale Steve jest w porządku, zwłaszcza naćpany. Naprawdę uwielbia swój zestaw stereo. Podaje mi wyszukanego drinka.

– A wy nie pijecie?

Erica się uśmiecha. Steve się uśmiecha.

– O mój Boże.

– Nooooo!

– Ojej – mówię ze łzami w oczach. – Kochanie.

Podnoszę szklankę, żeby wznieść toast.

– Obyś nauczyła się być matką dla siebie, tak jak nauczysz się być matką dla swojego dziecka – mówię. – Obyś ufała swojemu ciału i szanowała je i oby inni ufali twojemu ciału i je szanowali, i oby twoje ciało wprowadziło cię w zdumienie.

– Właśnie tak – mówi Steve, udając, że pije do dna.

– Łał, Ari, to dopiero było głębokie.

Później wychodzę na drinka z Subeeną. Przez godzinę opowiada mi, jak to teraz jest w dobrym momencie na zamrożenie swoich jajeczek, bo właśnie zyskuje popularność na blogu. Nie zadaje mi ani jednego pytania.

O północy wracam do Steve’a i Eriki. Wszędzie są pozapalane światła.

– Hej, jesteście?

Śpią rozwaleni w swoim gigantycznym łóżku. Erica ma na oczach jedwabną maseczkę, a w nogach łóżka ich mops z zapalem ogryza kość. Z ogromnego telewizora ryczy jakiś reality show o stukniętej, smutnej, wściekłej, obwieszanej biżuterią starej kobiecie, która ma za dużo pieniędzy.

Powrót pociągiem do domu, mam dobrą miejscówkę od strony rzeki. Słońce zachodzi. Wszyscy dookoła beznadziejni. Kobieta w rzędzie przede mną jest chora, kaszle i bez wątpienia zaraża. Koleś, który sprawdza mi bilet, nadyma się i na pewno jest gwałcicielem.

Nina Simone śpiewa: „No use old girl / You might as well surrender”.

Próbowałam nie tylko z Cat i z martwooką żoną z wydziału. Była też ambitna instruktorka jogi dwie miejscowości dalej. Była grupa mam i ta druga grupa mam. Mówię, próbowałam. Zaprzyjaźniłabym się z Hitlerem, gdyby chciał się umówić na luźne spotkanie. Trzeba szukać ludzi, ludzi z dziećmi i właściwie można nawet ich nie lubić, bo wdzięczność za sam kontakt, za jakikolwiek zbawienny kontakt, okaże się tak wielka, że pozornie nie będzie to miało znaczenia. Ale tylko pozornie, bo w końcu przyjdzie samotność i poczucie potwornego rozbicia, a śmierć można zacząć traktować jako uśmierzenie bólu.

Problem polega na tym, że dziecko otwiera kobietę. Nie da się tego obejść, chyba że ma się ochotę zapłacić komu innemu za rodzenie. Jest to, co przed, i to, co po. Życie we własnym ciele przed to jedna rzecz. Życie we własnym ciele po to druga. Niektóre kobiety radzą sobie dzięki próbom mikrozarządzania; niektóre wariują; inne od razu idą w cholerę. Albo wszystko naraz. Kilka szczęściar nie poddaje się temu, a kiedy spotka się jedną z nich, można ją od razu poznać po wyrazie twarzy: zmęczona, spokorniała, chwiejna, ale jeszcze stoi. Przytomna, chociaż ledwo. Nie spotyka się ich za często.

Pocztówka od Crispina.

heja, co u ciebie, cycana, tęsknię za twoim podnoszeniem świadomości. Dbasz o siebie? jesteśmy w montepulciano i jest, kurwa, pięknie. Kochamy cię. buziaki

Crisp i Jer są razem od dwudziestu lat. Pierwszy partner Crispa zmarł w latach osiemdziesiątych na zarazę. W salonie stoi jego śliczne zdjęcie. Jer nie ma absolutnie nic przeciwko. Zobaczył raz, jak przyglądam się fotografii.

– Piękność, no nie?

Dlaczego Crisp też się nie zaraził? Głupie szczęście. Nie mają pojęcia. Nieczęsta zagadka. On stara się o tym nie myśleć.

– Halo, tu firma cateringowa! – słyszałam co jakiś czas, jak Jer woła z naszych schodów,

a w rękach ma za dużo jedzenia i wina, żeby nacisnąć dzwonek.

Ci dwaj mnie uratowali.

– Sama się uratowałaś, piękna – powiedział Crisp. – Potrzebowałaś tylko małej pomocy, żeby zacząć się z tego śmiać.

Dwieście lat temu – cholera, sto lat temu – rodziłabyś w otoczeniu innych kobiet: swojej matki, jej matki, sióstr, kuzynek, szwagierek, teściowej. I byłabyś nastolatką, za młodą, żeby mieć jakieś własne życie. Dzieliłabyś się opieką nad dzieckiem z gromadą kobiet. Pomagałyby ci, dotrzymywały towarzystwa, pokazywały co i jak. A potem ty robiłabyś to samo. To byli ludzie, którzy nie tylko wspólnie pracowali nad wychowaniem dzieci, ale też wspólnie te dzieci kochali.

A teraz może i zarabiasz na sobie, może poznajesz samą siebie na własnych warunkach. Może spotykają cię przygody, nieszczęśliwa miłość. Może masz ożywione ambicje. Może odkrywasz własną seksualność. A potem: rozcinają cię, kurwa, bezceremonialnie na pół, dają noworodka i wracaj do swojej małej izolacji, radź sobie, ale nie waż się wrzucać za dużo zdjęć do Internetu. Nie chcesz być jedną z tych.

Paul chciał dobrze. Paul jest wcieleniem przyzwoitości. Ale Paul nie mógł mi pomóc. Trzeba mieć świadomość, do czego ludzie są zdolni, i wybaczać im to, do czego nie są.

– Będzie coraz łatwiej – zapewnił mnie Jer.

– Skąd wiesz? – zapytałam.

– Mam sześć starszych sióstr, kotku. Jestem katolickim pedałem z Georgii. Koszmarnie się jąkałem, ledwo w ogóle mówiłem przez pierwsze kilkanaście lat życia. Widziałem z bliska, przez co przechodzą kobiety. Moja matka urodziła siedmioro dzieci w ciągu dziewięciu lat, a jedno z nich zmarło przed pierwszymi urodzinami. Nie wiedziałem, że jest pogrążona w depresji, dopóki w końcu, kiedy miała siedemdziesiąt pięć lat i podróżowała po świecie z wycieczkami grupowymi, po raz pierwszy w życiu zobaczyłem zdjęcie, na którym naprawdę się uśmiecha.

– No właśnie, kampania społeczna – powiedział Crisp. – Jeśli kobieta, którą kochasz albo po prostu bardzo lubisz, albo chociaż trochę znasz, rodzi dziecko, IDŹ DO NIEJ Z JEDZENIEM I POSIEDŹ Z NIA, powtarzaj to regularnie przez jakiś czas.

– Nie musisz się zapowiadać – zgodziłam się.

– To trochę tak, jak kiedy ktoś umrze – powiedział Jer.

– Nie przysyłaj, kurwa, kwiatów.

To dokładnie tak, jak kiedy ktoś umrze. Lepiej się przyzwyczaić do sytuacji.

Dolaliśmy sobie wina.

Pobraliśmy się z Paulem w Brooklyn Borough Hall, a potem wydaliśmy kolację w naszej ulubionej restauracji.

Przyszła Molly. Erica. Był mój ojciec z Sheryl. Pokazała się Marianne, ale wyszła po jednym drinku. Był ten muzyk jazzowy, stary znajomy Paula. Zaprosiliśmy ich na tydzień przed: „we wtorek bierzemy ślub! potem kolacja”. Aż się prosiło, żeby to zlekceważyć.

Miałam na sobie złotą suknię z naturalnego jedwabiu, szytą na ukos, zrobioną przez kobietę, która wystawia przy Atlantic Avenue, a do tego klasyczne kowbojki i czarne koronkowe bolerko vintage. Włosy miałam luźno upięte, ozdobione z lewej strony ogromną, czerwoną orchideą. Tamtego wieczoru byłam taka dumna, opanowana, wyprostowana i wypełniona po brzegi. Byłam panią samej siebie, miałam pełne prawo się oddać. Trzymałam się blisko Paula, czułam się przede wszystkim jego żoną. Nic nie miało takiego znaczenia jak to, ile znaczyliśmy dla siebie nawzajem. Małżeństwo to po prostu przywrócenie porządku.

Prezenter ślubnym od Sheryl była dziwna książeczka z dowcipami pod tytułem *Miły żydowski goj: Małżeństwo mieszane i ty*. Z osobistą dedykacją autora.

Sheryl i Norman czuli się wyraźnie nieswojo, ale zagryźli swoje wielkie, żydowskie wargi. W przeciwieństwie do mojej stukniętej ciotki Ellen, która przysłała mi tamten list o „wstydzie”, „odcięciu”, „rozczarowaniu”, „historii”, „twoich dziadkach” i „dużo dla nas”. Prawdziwy klasyk.

– To kompletna wariatka – powiedziała Erica o swojej matce. – Strasznie mi przykro. Zupełnie jej odwaliło.

Jedna z kuzynek Paula wyszła za Żyda. Odwiedziliśmy ich raz, mieli mezuzę powieszoną do góry nogami po złej stronie drzwi wejściowych.

Molly wzniosła toast. Chyba nie trzeba dodawać, że była pijana. Coś o tym, „jak to wspaniale, kiedy człowiek odnajduje tego, kto jest mu pisany, a przynajmniej tak słyszałam, nie żebym cokolwiek o tym wiedziała, ale w każdym razie dziękuję ci, że jesteś?”.

Kiedy kolacja się skończyła, mój ojciec zadzwonił nożem w kieliszek. Facet czekał do końca deseru.

– Ariello. Byłaś najcudowniejszą niespodzianką w naszym życiu.

Po raz pierwszy od lat powiedział coś, co miało jakikolwiek związek z moją matką. Czekałam na więcej. I co jeszcze? Jak to z nią było? Jak to było z nią?

– Małżeństwo – ciągnął – jest niewiarygodnie proste, jeśli wybierzesz sobie właściwą osobę. – Spojrzał promiennie na Sheryl i usiadł z powrotem, przemówienie skończone.

– No cóż, to jest oczywiście totalna bzdura – szepnęłam Paulowi. – Ale i tak cię Kocham.

– Znajdźcie sobie jakiś pokój – wymamrotała koło północy Molly. Siedzieliśmy już tylko we trójkę w migoczącym blasku świec w naszej pięknej restauracji, pozdejnowaliśmy buty, a ja położyłam stopy na kolanach Paula.

Oczywiście kiedy czułam się najbardziej zrelaksowana i najsilniejsza, to już jej się nie podobałam. Prezenter z talk-show poszedł na odwyk i zniknął. Moje szczęście było zdradą.

Molly wyszła i pojechała na imprezę do Brooklyn Heights.

Wszystko wróciło do normy.

Zbieram najlepsze materiały, jakie mam, nawet film dokumentalny, którego sama nie obejrzałam, i załączam w mailu do Eriki. Rany, ale ona ma szczęście, że mnie ma. Szkoda, że ja nie miałam takiej siebie.

Dorzucam jej jeszcze linka: „Dziesięć najczęstszych sygnałów, że twój lekarz planuje niepotrzebne cesarskie cięcie”.

nieoceniony artykuł! mam nadzieję, że dobrze się czujesz! uściski! ps obejrzyj dokument!

Dwie sekundy później dostaję odpowiedź.

wiem, że to z miłości, ale i tak jestem wystarczająco zestresowana, więc uprzejmie proszę o zaprzestanie, dzięki! ;)

Pieprzona buźka z oczkiem?!

Nie no, chwila. Stukam zawzięcie:

Proszę, doksztalc się. Wiedza dobrze robi, słowo.

Mam plan, który jest ok dla mnie i steve'a i powinnaś to uszanować!

A, pewnie, jasne, spoko, okej. Plan, według którego udajesz, że jest rok 1950, dajesz się ogłuszyć, a kiedy odzyskujesz przytomność, masz już potomstwo i zaczynasz udawać, że nie było żadnego bólu. Plan.

Dosłownie trzęsę się z wściekłości. Tępa cipa! Trzęsę się! Niesamowite, do czego jest zdolne ciało.

Ile wart jest ktoś, kto wybiera ignorancję? Kto poddaje się strachowi? Co dobrego może wyjść z takiej osoby? Małpa nie widzieć, małpa nie słyszeć, małpa nie mówić.

Dosłownie się trzęsę. Czuję się jak najwięksi wojskowi psychole na myśl o dezenterach. Mięczaki. Rozmiękczone mięczaki. Idźcie sobie i zostawcie sprawy ludzkości tym, którzy sobie radzą.

– Każda kobieta boi się porodu – recytuje znudzonym głosem moja matka. – Poza tym jej matka to idiotka. Niedaleko pada jabłko. Wiesz, na czym polega twój problem?

– Zajebicie, Janice. Na czym polega mój problem?

– Na tym, że ty kochasz te wszystkie dziewczyny dużo bardziej niż one ciebie. Chciałabyś dostać kobietę, którą mogłabyś uratować. Albo która uratowałaby ciebie.

– Unikanie bólu do niczego nie prowadzi. Unikanie bólu sprawia, że ból rośnie wykładniczo.

– Spróbuj obronić tę tezę.

Jedna z licealnych Lindsay, obecnie kierowniczka w telewizji, wrzuca zdjęcia swojego nowego dziecka z nianią. Niania przytulająca dziecko, niania całująca dziecko, niania czuwająca w fotelu metr od śpiącego dziecka. Fizycy twierdzą, że energia nie ginie, tylko się przenosi, zmienia. Klikam wirtualne lubię to, mój wkład w pokój na świecie.

Co poza tym? Wygląda na to, że Molly wyszła za mąż. Pojawiają się zdjęcia. Facet jest przystojny na swój symetryczny sposób. Ale ma na rękę złotego rolexa, co u mężczyzny przed osiemdziesiątym piątym rokiem życia wygląda wprost absurdalnie. A on nie wydaje się za bardzo ironiczny. Ma minę, jakby chciał powiedzieć: oto ja i moja wybranka; niedługo ją zapłodnię, kupimy sobie ładny dom i staniemy się mniej więcej tacy jak moi rodzice, którzy są zupełnie niesamowici. Człowieku, miej przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby nie okazywać takiego zadowolenia z siebie.

Molly i jej długo wyczekiwany mąż, któremu wkłada do ust tort weselny, a tu kpi sobie z wkładania do ust tortu weselnego. Jest miło i tradycyjnie. Sala balowa w hotelu. Molly! Która obciągała kiedyś dwóm facetom naraz za adres mailowy głównego scenarzysty jakiegoś tasiemcowatego serialu.

Siedzę w gównianej pozycji, jakbym próbowała wejść do ekranu. Wtedy dopiero naprawdę ją widzę, tuż przed moimi rozpalonymi oczami.

Jest ubrana identycznie, co do najmniejszego szczegółu, tak jak ja w dniu ślubu. Dokładnie taki sam krój sukni, takie samo bolerko, tak samo ułożone włosy, upięte luźno z wielką orchideą za lewym uchem. Jest ubrana dokładnie tak jak ja. Tylko cała na biało, jak prawdziwa panna młoda.

No dobrze, nienawidzę kobiet.

– Jakie to oryginalne – mówi moja matka.

Są takie posłuszne i zdradzieckie. Pochodzą od tych, które oskarżały inne kobiety o czary.

– Nie da się ukryć. – Wzrusza ramionami.

Jedne wybierają sobie ładniejsze przyjaciółki, żeby jednocześnie męczyć się i wygrzewać w ich blasku. Inne wybierają sobie brzydsze, żeby się podbudować. Jedne są autodestrukcyjne, inne jeszcze bardziej autodestrukcyjne, a jeszcze inne naprawdę chore i opuszczane w końcu przez te mniej autodestrukcyjne. Kobiety w wiecznej, niekończącej się pogoni za mężczyzną, jakimkolwiek, tym, nie, nie, tamtym.

– Ty nie masz problemu z nawiązywaniem przyjaźni. To akurat łatwo ci przychodzi. Nie potrafisz tylko ich utrzymać.

Bo nie lubię kobiet.

– One najwyraźniej też cię nie lubią.

Najbardziej stuknięte próbują przedłużyć swoją płodność, biorą hormony, obtaczają się w masie

pieniężnej. Ale, hej, zgadnijcie, drogie panie, co wam powiem? Wspaniała wiadomość. Otrzymałyście przebaczenie! Jesteście wolne! Bramy więzienia stoją otworem. Idźcie! Kaucja wpłacona! Jesteście wolne, odsiedziałyście swoje, wyrok skończony! Włóżcie wygodne buty i ubrania, w których da się ruszać, i Stańcie się Osobami! Idźcie wolno! Ubierajcie się w spodnie z gumką, nauczcie się paru przydatnych rzeczy, czytajcie książki, odkrywajcie, myślcie samodzielnie, żyyyyyyyjcie!

– Problem jest w tobie, kochanie.

Ale z nimi jest chyba jak ze zwierzętami, które wychowały się w niewoli, które nigdy nie będą potrafiły wrócić do natury. Które nie uciekną, choćby drzwi klatki były nie wiadomo jak szeroko otwarte.

– To prawda – przyznaje moja matka. – Nie wyglądacie ładnie, drogie panie. Farba na włosach sprawia, że przypominacie stare babcie z farbowanymi włosami. Dzięki perfumom pachniecie, jakbyście śmiertelnie się bały swoich ciał. Dajcie spokój. Zostawcie to. Zestarzejcie się, suki. Bądźcie ciałami. I tak nimi jesteście.

Nie przemawia do mnie ta cała gadka daj-się-wypier-dolić-systemowi-bierz-pigułki-ukrywaj-prawdę-swojego-życia-aż-umrzesz.

– Chciałabyś po prostu wykombinować, jak zostać szczęśliwą starszą panią. Tyle. Jak zostać szczęśliwą, przekonującą, pewną siebie, zadowoloną starszą panią? Bądź przyjaciółką grawitacji. Przyjaciółką własnego ciała.

Wszystkie próbujemy wygrać z tym samym gównem, ale niektóre z nas nie chcą się do tego przyznać, niektóre nie potrafią nazwać tego po imieniu i mówi się o nich wtedy, że są uciśnione.

– Oczywiście, Ariello – mówi układnie moja matka. – Zupełnie nie wiem, dlaczego nie udaje ci się utrzymać przyjaźni z kobietami.

Jesteś najmniej martwą zmarłą, jaką kiedykolwiek spotkałam.

Zgadzam się pójść z Miną do sklepu. Zev ma już sześć tygodni i ładnie się zaokrąglił. Zmienił się przez te kilka dni, kiedy go nie widziałam.

Siedzimy w milczeniu w kawiarni.

No dobrze. Dobrze. Dobrze. Dobrze.

– Kiepsko dzisiaj spałam – odzywa się w końcu Mina. Drażni mnie jej wystająca dolna warga. Wydaje jej się, że jest taka wspaniała z tymi swoimi nieumytymi włosami, starymi butami i tajemniczym nieobecny tatusiem dziecka.

– Nie pracujesz, nie jesz – mówię. Co jest, kurwa? Ja też nie za dobrze dzisiaj spałam. Pełnia, północno-wschodni wiatr. Brak snu źle wpływa na mózg.

Mina karmi teraz Zeva jak nakręcona, początkowy bajzel posprzątany. Nie potrzebuje już moich usług.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować – powtarza ciągle. – Nigdy nie uda mi się odwzajemnić.

Im częściej to mówi, tym bardziej jej nienawidzę.

Daje mi Zeva i idzie do łazienki; czy wiecie, że odczuwanie agresji jest praktycznie niemożliwe, kiedy trzyma się na rękach niemowlę? Kwestia chemii. Żegnaj, mały człowieku. To będzie ostatni raz. Jestem szybka, tylko jeden ostatni łyk, zanim Mina wróci. Napęlnia mnie to takim spokojem.

Dziwnie ciepło jak na styczeń. Cały śnieg z zeszłotygodniowej zamieci już się stopił.

W lecie zeszłego roku potężne, dwustuletnie drzewo w parku zostało uznane za martwe na skutek ataku korników i musiało zostać usunięte, a cały proces wymagał kilku dni, wielu krzyczących mężczyzn i paru wielkich ciężarówek. Korniki miały się wyjątkowo dobrze dzięki niezbyt zimnej zimie. Kiedyś, przyszłego lata. Nie mogę sobie wyobrazić, jak to jest się spocić. Pomyślcie, ile nowych drzew umrze. A w lecie trudno sobie wyobrazić, jak to jest trząść się z zimna. Podczas suchych lat ludzie zapominają o deszczowych; podczas deszczowych zapominają o suchych. A Rosasharn, która urodziła martwe dziecko, podsuwa swoją pełną pierś umierającemu z głodu mężczyźnie, on pije i zostaje uratowany.

Droga Marianne, zdecydowałam raz na zawsze, że napiszę doktorat o lukach religii tradycyjnych i o kulcie kobiecej potęgi.

Mina wraca i zabiera Zeva.

– Wykorzystała cię – mówi moja matka.

– Nauczyliśmy się – szczebiocze do niego Mina. A on wymachuje rączkami z radości. – Prawda, maluchu? Prawda, że się nauczyliśmy? O tak, już umiemy, mój słodziaku. Już mamy wszystko pod kontrolą. Jesteśmy gotowi do drogi.

– No to jedźcie – mówię. – Cześć.

Siedzę w samochodzie na parkingu Starbucksa przed centrum handlowym ze śpiącym Walkerem i Adrienne Rich. Nie czytam Rich; czytam Internet w telefonie, powoli ślepnię i głupieję. Chce mi się sikać.

Dziecko się porusza. Panikuję. Powinna była zdjąć mu kurtkę, czapkę i rękawiczki, ale jak wsiadaliśmy, było strasznie zimno. Patrę na niego w tylnym lusterku. Śpi jak zabity. To dobrze. To kluczowe. Drzemka jest wszystkim. Ale, rany, jak mi się chce sikać.

Mina dzwoni do drzwi. Dziewiąta trzydzieści rano, a ja nie mam pomysłu na zapełnienie dnia.

– Mam coś dla ciebie.

Stoję w drzwiach z rękami na biodrach i patrzę na nią groźnie.

– Możemy przejść od razu do rzeczy?

Daje mi rzemyk z bursztynem.

– Naszyjnik do karmienia – tłumaczy, zawiązując mi go na szyi. Tradycyjnie nosi się go przez cały okres niemowlęcy dziecka i w czasie ząbkowania, jako swego rodzaju atrakcyjny trzeci sutek, który służy dziecku do zabawy, do gryzienia i ogólnie przynosi radość w trudnych okresach przejściowych.

– Jesteśmy jak towarzyszki broni – mówi. – Siedzimy w tym gównie razem.

Mina żyje już na granicy. To taki płciowy rytuał przejścia.

Naszyjnik jest solidny, ciąży mi w dłoni. Ściskam go.

– Dziękuję – udaje mi się wychrypieć.

– Nie ma za co – odpowiada.

– Przepraszam – mówię.

– Nie szkodzi – odpowiada. – No chodź tu. Biedactwo.

Podchodzę do niej, a ona przytula mnie mocno.

Otrzymałam przebaczenie. Przynajmniej na razie.

Paul znajduje na strychu świeże zwierzęce odchody.

– To są już chyba jakieś żarty – mówi, zanim runie na łóżko jak wielkie, powalone drzewo.

– Zadzwoń do Willa – odpowiadam, ciesząc się po kryjomu z wymówki.

– Śśśśśświetnie – mówi Paul w poduszkę.

Każdy głupi by się zorientował, że facet potrzebuje odrobiny uwagi, więc mu obciążam. Natychmiast poprawia mu się nastrój, dochodzi w kilka sekund.

– Rozumiem to, Ari – mówi rano Will, leżąc na plecach z latarką w rogu strychu. Błysk skóry nad paskiem. Umięśniony brzuch oprószony drobnymi, ciemnymi włoskami. – Wiesz? Świetnie to rozumiem. Wiem, jak to jest, kiedy nie interesuje cię to, czego ludzie od ciebie oczekują.

– Aha.

– No bo masz pojęcie, jak rozczarowany był mój ojciec, kiedy zostałem tym pieprzonym cieślą? Człowiek, który pisał książki o książkach o książkach? Był strasznie zawiedziony. Jakbym mu powiedział wprost: „pierdol się”.

– Trudno, chrań to. Przerzucanie własnych ambicji na dzieci? Czysta porażka.

Usiadł i uśmiechnął się szeroko.

– Walker ma szczęście.

Przewracam oczami.

Dlaczego nie można się zakochać – prawdziwie i głęboko – bez narażania istniejącego porządku rzeczy na niebezpieczeństwo? W innym życiu moglibyśmy z Willem zedrzeć z siebie ubrania zębami i stworzyć zupełnie nowy świat z całkiem nowych problemów. Ale to nie to życie i ja to rozumiem.

Częste zakochiwanie się jest bardzo istotne. Tylko trzeba karmić się nim bez ulegania. Niby dlaczego całkiem je odrzucać? Niby dlaczego uśmiercać jakąkolwiek część samego siebie? Czy śmierć i tak nie zrobi tego za nas, i to już niedługo?

Jess z letniego obozu żydowskiego powiedziała mi kiedyś, że włosy przechowują mnóstwo energii.

Rozkładam pod sobą gazety i siadam przed lustrem sięgającym do podłogi.

Waham się. Jestem dzielna. Ścinam. Wszystko.

Krótsze niż kiedykolwiek. Czuję się z nimi świetnie przez jakąś godzinę. Pustka, nie ma ich. Walker klaszcze, śmieje się, pokazuje palcem i bawi się ścinkami, aż robi się z tego za duży bałagan.

– Pięknie wyglądasz – mówi Paul.

Przez cały wieczór co chwilę ich dotykam. Walker ciągle pokazuje na mnie palcem i śmieje się jak wariat.

– Mama? – pyta, rozglądając się dookoła, jakbym zniknęła, taka nowa zabawa. – Mama? Mama! Mama!

Znalazł mnie. Jestem nowa.

Kiedy budzę się następnego dnia rano, czuję się z nimi fatalnie, eksponują całą moją okropną twarz, nie mam za czym się schować, nie ma już we mnie nic ładnego, katastrofa. Paul się śmieje.

Coraz lepiej poznaję tę skomplikowaną naturę. Podsuwam jej herbatki, zapachy, zapewniam o pokojowych stosunkach, potrafię udobruchać, wyblagać, żeby zostawiła mnie samą, w spokoju. Czasami jestem przerażona swoją władzą. Wyraźnie kobiecą. Powinnam któregoś dnia ogolić nogi. Miesiącami tego nie robiłam. Zaczynam wyglądać jak jaskiniowiec. Nie żeby Paulowi to przeszkadzało. Albo żeby się do tego przyznał. Pożądanie Paula opiera się wyłącznie na tym, że jestem sobą. To wspaniała cecha u mężczyzny. Na przykład ta koszmarna fryzura nic a nic nie zmienia. Ani ta potworna blizna, wszystkie zmiany, jakie poczynił we mnie Walker. Paul nie wymaga, żebym miała manikiur. Kocham go. Jest jedną z wielkich przyjemności mojego życia.

Dzisiaj wieczorem śpiewam Walkerowi kołysankę z filmu *Trzech mężczyzn i dziecko*. To jedyna kołysanka, jaka przychodzi mi do głowy. Walker się denerwuje. Czy mi też ktoś śpiewał? Na pewno. Ktoś musiał. Jakąś anonimową karaibską pieśń żałobną, jakąś południowoamerykańską piosenkę o miłości. Jakaś anonimowa śpiewaczka z grubymi ustami na moim czole. Ktoś musiał mnie kochać, wtedy, dawno temu. Przytulała mnie jakaś nieznana pracownica. Oddalona od swoich własnych dzieci, zamiast nich kochała mnie.

– Dobranoc, skarbie, czas już spać (La la la la). – Sprawdziłam to kiedyś i nie ma tam dużo więcej

tekstu. – La la li la la li la li la la. – Wygląda na to, że działa, bo kiedy kończę, Walker śpi.

Adrienne Rich miała rację. Wszyscy mają macierzyństwo głęboko w dupie, chyba że mogą na nim skorzystać. Kobiety są zbędne, a opieka nad dziećmi, jeśli któraś poświęci się jej świadomie i w pełni, okazuje się nad wyraz pochłaniającą pracą. To kto ma o tym napisać, jeśli wszyscy, którzy się tym zajmują, zatracają się na zawsze? Chcecie przygód, chcecie poezji i sztuki, chcecie inspirujących spotkań u Gertrude i Alice, to lepiej zostawcie te pochłaniające dziecięce sprawy komu innemu. Rodzenie, karmienie, kołysanie, odwracanie uwagi, socjalizacja, gotowanie, mycie, ogrodnictwo i cerowanie: co to jest w porównaniu z kulami świszczącymi nad głową, z olśniewającą, choć destrukcyjną brawurą, z nagłówkami w gazetach, z przyjęciami, z chwałą, z tym wszystkim, co robiły Martha Gellhorn czy Zelda Fitzgerald, z narkotykami i rynsztokami, z muzyką i poezją, z pięknymi sukniami, znowu z przyjęciami, z pieprzeniem, pieprzeniem i przyjęciami?

– Zniszcz siebie – mówi moja matka. – Używaj życia. To jest materiał na dobre opowieści.

Ona chyba wie to najlepiej.

– A co do opieki nad dziećmi...

– Trzeba czasu, żeby coś mogło urosnąć...

– NUDA.

W zeszłym roku Crisp i Jer zorganizowali imprezę na cześć holenderskiego poety, poprzedniego pisarza wizytującego.

– Wpadnij – powiedział Jer. – Matki też potrzebują imprez.

Zapakowałam więc swój malutki Walkerowy tobołek, a Paul pomógł mi tam przykuśtykać. To dopiero dar: być zaproszoną gdzieś razem z moją przerażającą przyległością.

Holenderski pisarz był uroczy, ale zdystansowany. Tylko raz się do mnie odezwał.

– W Holandii mamy takie wyrażenie – powiedział, wskazując na mój tobołek. – Tropikalne lata. Bo widzisz, kiedy Holendrzy kolonizowali Indonezję, służba wojskowa liczyła się podwójnie. A trzeba ci wiedzieć, że było tam przeraźliwie gorąco. Do tego malaria, choroby i tym podobne. Więc odbywało się to tak, że jeden rok służby wojskowej w tropikach liczył się za dwa lata. Nazywali to tropikalnymi latami. Tak samo jest z posiadaniem małych dzieci, rozumiesz?

Zamawiamy pizzę na kolację pożegnalną, otwieramy butelkę czerwonego wina. Zapalam świece, puszcza Dinosaur Jr.

Will nie przyjął zaproszenia. Przychodzi mi to do głowy o wiele za późno: Will i Mina! Ale ona będzie nas przecież odwiedzać. Brooklyn nie jest aż tak daleko. Jej siostra będzie doprowadzać ją do szafu, ona będzie nocować u nas po parę dni, zakocha się w Willu i tak powstanie nasza mała komuna.

– Jasna cholera – mówi Mina o moich włosach. – Dziewczyno!

– Czyli seksualność to kontinuum – mówi Bryan w czasie kolacji.

– Zgadza się – wchodzę w to.

– Pośrodku jest czysty biseksualizm, na jednym końcu czyste hetero, a na drugim czyste homo.

– Większość z nas jest gdzieś w środku – mówi Mina.

– Oczywiście. Ale według mojej teorii kobiety muszą być dokładnie w tym samym punkcie na kontinuum biseksualizmu, żeby móc się przyjaźnić.

– Mów dalej.

– Jeśli skłaniasz się bardziej w kierunku homo, a twoja przyjaciółka w kierunku hetero, to ciągle będziesz chciała wejść z nią w bliższą relację, ale ona nie będzie tym zainteresowana.

– No tak – mówi Mina – tak jakby się bała, że zaraz na nią skoczysz i wgrzysz jej się w cipkę.

Nie mogę opanować śmiechu. Jestem wstawiona i dobrze mi. Paul idzie na górę do łóżka. Nie może już więcej znieść. Jest dopiero dziewiąta, ale Paul to Paul, a ja go kocham, rozumiem i nie ma problemu.

– Czekaj. To w jakim stopniu ja jestem homo?

– Ty możesz być w jakichś siedemdziesięciu procentach, a ty – odwraca się do mnie – bliżej pięćdziesięciu. Rzucam tak z głowy.

– I czekałeś, aż obetnę się na chłopaka, żeby mi to powiedzieć?

– Neeee, ja i Ari jesteśmy dokładnie w tym samym stopniu ciotami – mówi Mina. – Dokładnie. I jesteśmy w sobie zakochane.

– Ona się rumieni. Zobacz.

– Wiecie co? Niedawno znaleźli kałamarnicę olbrzymią – mówię.

– Co?

– Widziałam program w telewizji. Znaleźli kałamarnicę olbrzymią. Po raz pierwszy w historii. Znaczą istniały w mitologii, ale nikt nigdy żadnej nie złapał aż do tej pory.

– To fajnie.

– No tak, jedna łódź rybacka wypływa daleko w głąb Atlantyku, przypadkiem łapie to coś w sieci głębinowe, wciąga na pokład, a załoga nie może uwierzyć, bo nikt nie był nigdy w stanie potwierdzić istnienia tych stworzeń.

– Łał.

– I co robią, kiedy już wyciągają to stworzenie ze swoich sieci głębinowych i po raz pierwszy w historii ludzie mogą na nie spojrzeć?

– Zabijają je.

– Oczywiście. Wkładają w łódź i starają się jak najszybciej dostarczyć do jakiegoś laboratorium, żeby można było je pociąć, zbadać i co tam jeszcze.

– Jaki z tego morał?

– Nie daj się złapać?

– Nie bądź interesujący.

– Obrastaj sobie legendą w głębinach, daj im się zastanawiać nad twoim istnieniem, ale nie pokazuj się, na miłość boską.

– Może to coś potrzebowało ratunku.

– Nie ma ratunku.

Późno w nocy zaczyna mnie przerażać myśl, że Walker jest osobą; słyszy, co mówię, patrzy na mnie i chce mnie kochać, ale nie ma jeszcze pojęcia, jak bardzo jestem popieprzona. Jest z nami, sprowadziliśmy go tutaj, jest teraz jednym z nas, żyjących. Sprawa jest całkiem prosta: niemowlę trzeba przytulać, otulać, nosić. Karmić, pielęgnować, chronić. Bezbronne stworzenie. Człowiek uczy się uniażać wobec tego boga o pyzatej twarzy. A chcesz odczuć całą potworność tej sytuacji? Dostać prosto w twarz? Wyobraź sobie, że stanie mu się krzywda. Wyobraź sobie, że cierpi. Wyobraź sobie, że ktoś go zabierze. Wyobraź sobie, że umrze. Wyobraź sobie swoje puste ramiona. Wyobraź sobie, wyobraź, wyobraź.

W życiu tych małych ludzi nie chodzi o ciebie. Oni nie są dla ciebie. Nie należą do ciebie. Są pod twoją opieką, to wszystko, a ty masz za zadanie okazać się przyzwoitym człowiekiem, kochać je właściwie i wystarczająco, nie przerzucać na nich swoich własnych problemów, nie czynić swoich problemów ich problemami, nie wykorzystywać ich do zapełniania pustych miejsc w sobie samym.

– Czyli w końcu dorastasz – mówi moja matka, stojąc za mną przy zlewie, podczas gdy ja zabieram się do zmywania.

Czuję się staro. Moje ciało mówi nie. Myślę, że gdybym podniosła wzrok, mogłabym zobaczyć jej odbicie w ciemnym oknie, ale szyba jest tak zaparowana, że nie widzę nawet siebie.

– Na to wygląda – odpowiadam, żeby zostawiła mnie w spokoju. Jestem zbyt zmęczona na kłótnie i zrobię wszystko, co trzeba, żeby oszczędzić dziecku swoich słabości i błędów. Przysięgam, że jeśli skończy ze złamanym życiem, to nie przeze mnie.

Upierdliwe zamieszanie z komunikatem o błędzie w banku; mam do nich zadzwonić i to wyjaśnić.

– Nazwisko panięskie matki?

Waham się, jakby wypowiedzenie go na głos mogło ją przywołać. Jakby mogło obudzić ją z lekkiej drzemki.

– Halo?

– Hm.

– Halo?

– Walker – powiedział Paul. – Może Walker?

– Walker?

– No wiesz, jak Walker Percy, Walker Evans.

Sprawdziłam w telefonie.

– Walker znaczy czyściciel tkanin. Ze staroangielskiego. W średniowieczu byli to pracownicy, którzy chodzili po wełnie, żeby pozbyć się z niej zanieczyszczeń.

– Jest w tym coś sympatycznego, nie sądzisz?

– Tak. No może. Ale nie uważasz, że to dziwne, żeby sięgać po imię aż do staroangielskiego?

– Dlaczego?

– Ja jestem Żydówką. Ty jesteś kimśtam. Czeka, kim ty jesteś?

– Kimśtam.

– Nie, poważnie, przypomnij mi.

– Z dalekiego pochodzenia Szkotem. Z domieszką Włocha.

– No właśnie, więc ty jesteś kimśtam, ja jestem Żydówką. I on formalnie też będzie Żydem.

– Formalnie.

– No tak, ale formalności to w gruncie rzeczy jedyne, co się liczy u Żydów. Naród miłujący formalność.

– Więc chcesz coś hebrajskiego? Styl starotestamentowy?

– Tego nie powiedziałam.

– To dobrze. Bo to też byłoby dziwne.

– Walker mi się podoba. Podoba mi się znaczenie. I związek z chodzeniem. Chodzenie jest najlepsze.

– To może Biker? Rowery też są super.

– Nie żartuj sobie.

– A! Dobrze. To może jest jakiś zwyczaj?

– Nie ma.

– No dobra. A może... Janice-wersja-dla-chłopca?

– Poważnie?

– Nie. Cal. Clement.

– Carl.

– Cory.

– Rany, wszystkie są koszarne. Dlaczego wszystkie imiona brzmią tak głupio?

– Pamiętasz ten tekst z *Kronik Steinfelda*, że trzeba się spieszyć z posiadaniem dzieci, bo do czterdziestki każde imię będzie ci się kojarzyło z kimś, kogo nie lubisz?

- Tak, to zostaje nam tylko, nie wiem, Calyx.
- Nie znam jeszcze Calyxa, którego bym nie lubił.
- To może w ogóle Cambridge.
- Corrado.
- Corrida.
- Caramba.
- Casting.
- Caaa-tastrofa!

Dwa sny.

Pierwszy. Ze ściany gdzieś koło mojej szafy dochodzi słabe, jednostajne zawodzenie.

Cholera, co tym razem? Może szop dorobił się dzieci? Może to rodzina nietoperzy?

Przychodzi Will.

– Jestem przekonana, że to dziecko – mówię.

Stoi bez ruchu i przysłuchuje się zawodzeniu.

– To dziecko. Musimy zrobić dziurę w ścianie.

Kiwam głową. Ale najpierw nie mogę się oprzeć. Will sadza mnie powoli na krześle, jestem uległa, ciepła. Dziecko może chwilę poczekać. I wtedy zawodzenie ustaje.

Cisza. Jestem sama. Zaczynam rozrywać ścianę rękami, przedzierać się przez nią. Pokazuje się nieduże przejście i otwór. Zawodzenie ustało. Dziecko nie żyje. Dziecko było głodne. Dziecko zmarło z głodu. Dziecko się poddało. Dziecko nie żyje. Paul mnie pociesza.

Drugi. Jestem w ciąży. Jestem strasznie zdenerwowana. Wpadam w histerię. Od razu załatwiam sobie aborcję!

Sprawdzam numer, wykręcam, naciskam 4 w celu uzyskania informacji i czekam na linii, w tle gra badziewna muzyka, a ja zaczynam liczyć miesiące. To będzie sierpień. Upały i obfitość, noce w krótkim rękawku. Nowa dziewczynka, świeża, delikatna i naga na mojej piersi.

Będzie taka mądra. Taka wolna. Otwarta i życzliwa. Szczęśliwa, pewna. Nie będzie rzucać ukradkowych spojrzeń w każdą mijaną powierzchnię odbijającą. Rzadko będzie się czuła zagrożona. Będzie znała swoją wartość. W końcu posiwieje. Rzadko będzie się malować. Będzie jeść powoli, często będzie się ruszać, dużo potu i miłości. Będzie robić, co jej się podoba, mieć za nic powierzchowność, więcej słuchać niż mówić, zachowywać spokój. Będzie dobra dla siebie. Będzie tworzyć różne rzeczy. Naprawiać. Pielęgnować.

W końcu ktoś odbiera.

– Halo?

A ja będę świecić jej przykładem. Stanę się właśnie taka, żeby nigdy jej nie zawieść.

– Halo? Halo? Czy ktoś mnie słyszy?

A, i jeszcze jedno. Urodzę ją. Zrobię to, zapracuję sobie na nią. Żadnego unikania bólu, nie mogę się doczekać, kiedy w końcu go poznam, spojrzę mu w twarz, zmierzę się z nim. Już jestem podekscytowana. Czym jest ból, jeśli się go nie doświadcza? Zasłużę sobie na nią.

– Harlan, to ty? Słuchaj, powiedziałam już, że doniosę na ciebie, jeśli będziesz dzwonił częściej niż dwa razy dziennie. Harlan, bierzesz leki? Wiesz przecież, że będę musiała zadzwonić do twojego kuratora, jeśli będziesz nas nękał.

Rozłączam się. Rzucam słuchawkę na widełki. Telefon jest staroświecki, beżowy.

Zrobimy to razem – ja i ta dziewczynka. Przyjdzie na świat w czasie największych letnich upałów. Będziemy przedzierać się do siebie przez jęki, krzyki i zawrodozenie w ekstazie. Dziewczynka.

A co, jeśli przy tym umrę? Jeśli obie umrzemy?

Nie szkodzi.

Zimno. Więcej śniegu. Ta zima nigdy się nie skończy. Łód. Minus dziesięć stopni Celsjusza.

– Ludzie nie pamiętają, jakie kiedyś były zimy – mówi Didi ze sklepu. – Pierwszy śnieg spadał przed świętami albo zaraz po, a potem sypało aż do marca. I leżał bez przerwy. Moje dzieci dziwią się, że w tym roku jest tyle śniegu. To normalne. Dziwne było to, że przez ostatnich kilka lat było go tak mało.

Jesteśmy na dziale delikatesowym, pakujemy sałatkę z kaszy jaglanej i pieczone ćwiartki batatów, przyklejamy ceny. Walker śpi na moich plecach.

Do gabloty podchodzi śliczna rodzinka, wybierają kanapki. Ładna mamusia, lśniące włosy, urocza twarz, dziecko w chuście na piersi. Może mieć siedem miesięcy, idealny wiek, już nie tak przerażająco łatwo je zabić, a nie próbuje jeszcze forsować swojej irytującej niezależności. Wyglądają na spokojnych, dumnych, zgranych, na zespół. Mama odzyskała równowagę. A może w ogóle jej nie straciła. Może z nią wszystko było w porządku. Ale śmiem wątpić.

Tuż przed końcem mojej zmiany przychodzi ta kobieta z wydziału Paula, która maluje się jak klaun. Nie widziałam jej od imprezy w listopadzie. Postanawiam jej nie ignorować. Na początku wystarczy tak niewiele: chwila kontaktu wzrokowego, porozumienie, złożenie broni i w końcu umowa: kobiety zawierają umowę o przyjaźni albo o przyjaznym nastawieniu, która obowiązuje do momentu, kiedy jedna z nich przekracza pewną granicę, stwierdza, że tak naprawdę to wcale aż tak bardzo nie lubi tej drugiej, i wtedy kończy się przyjaźń albo przyjazne nastawienie. Czasami zajmuje to parę minut, czasami parę lat.

– Co u ciebie?

– Wszystko dobrze – odpowiada. – A u ciebie?

– W porządku. – Wzruszam ramionami.

– Tak? – Sprawia wrażenie, jakby rzeczywiście chciała się dowiedzieć.

– Tak – mówię bez przekonania. – No wiesz.

Ale ona już przejrzała mnie na wylot.

– Ciężko, co?

– No.

– Dla mnie to były kiepskie czasy.

– Naprawdę?

– Boże. I to jak. Ale to było dawno. Teraz mają dwadzieścia trzy i dziewiętnaście lat.

Kobieta ma w sumie klasę; nigdy wcześniej tego nie dostrzegałam. Wierność tego typu estetyce wymaga silnego charakteru. Odgarnia mi kosmyk z czoła. Chciałoby się powiedzieć po macierzyńsku. Ma chłodną, suchą rękę. W jej spojrzeniu nie ma wrogości. Cholera, ani krztyny lęku. Nie wiem, co powiedzieć.

Uśmiecha się, popycha wózek i skręca w następną alejkę.

– Do zobaczenia! – woła przez ramię.

A ja nie czuję do niej nienawiści. W ogóle nie mam z nią problemu. Jak dla mnie, jest w porządku. Może już mi lepiej?

Podziękowania

Wers „A person who doesn't have friends must explain herself to strangers” [w tekście: „Ten, kto nie ma przyjaciół, musi tłumaczyć się przed obcymi”] pochodzi z wiersza Bernadette Mayer zatytułowanego *Midwinter Day*, copyright © 1982 by Bernadette Mayer, wydawnictwo New Directions.

Wers „Pay attention to what they tell you to forget” [w tekście: „Słuchaj uważnie, o czym każą ci zapominać”] pochodzi z wiersza Muriel Rukeyser *Double Ode*, copyright © 1976 by Muriel Rukeyser. Można go znaleźć w książce pod tytułem *Home/Birth: A poem* napisanej przez Arielle Greenberg i Rachel Zucker, copyright © 2010, wydawnictwo 1913 Press.

Moi rodzice, Elissa Blaser, Katharine Noel, Nalini Jones, Ike Herschkopf, Amy Griffin, Binnie Kirshenbaum, Miranda Beverly-Whittemore, Allison Oberhand, Jessica Cherry, Amy Webb, Thea Carlson, Heather Samples, Hawa Allan, Rebecca Wolff, Brin Quell, Madhavi Tandon Batliboi, Elanit Weisbaum, Ann Wolf, Bill i Carol Schwarzschild, Heidi Factor, Margaret Wimberger, Emily Andrukaitis, Laura Gianino, Carla Gray, Hanna Harlow, pracownicy wydawnictwa HMH, Poppy Hampson i pracownicy wydawnictwa Chatto and Windus, DTV Germany, Niew Amsterdam, College of Saint Rose, Akademia Sztuk Pięknych Uniwersytetu Columbia, program rezydencyjny Djerassi, Centrum Aktywności Twórczej w Wirginii (VCCA), Holenderski Instytut Zaawansowanych Badań (NIAS) i mniej lub bardziej każdy, kogo znam, to ludzie i instytucje, którym chciałabym podziękować za inspirację, wsparcie i wszelką pomoc podczas pracy nad tą książką. Dziękuję agencji literackiej Writers House, dziękuję Simonowi Lipskarowi – jesteś wielki. Dziękuję Lauren Wein: redaktorce, książkowej douli i „chawrucie”. Dziękuję ci, Ed, mój kochany, i tobie Miller D., nasz kochany.

Spis treści

[1 Listopad](#)

[2 Grudzień](#)

[3 Styczeń](#)

[Podziękowania](#)

Tytuł oryginału:

After Birth

Copyright © 2015 by Elisa Albert

All rights reserved

Copyright © 2016 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE, an imprint of ILLUMINATIO Łukasz

Kierus

Copyright © for Polish translation by Aleksandra Weksej

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Projekt okładki: Krzysztof Kibart

www.designpartners.pl

Przygotowanie wydania:

CAŁA JASKRAWOŚĆ, www.calajaskrawosc.pl

redakcja: Anna Skowrońska, Agata Wawrzaszek

korekta: Anna Skowrońska, Agata Wawrzaszek, Anna Nowotnik

ISBN 978-83-65442-03-1

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku: www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

